

Nora Roberts



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Serce pełne złota

Miał wielką ochotę napić się whisky - rozgrzewającej i taniej. Po sześciu tygodniach spędzonych na szlaku zachciało mu się również takiej samej kobiety. Niektórzy mężczyźni zwykli dostawać to, co chcieli, a Jake był właśnie jednym z nich. Kiedy jednak wszedł do baru, uznał, że kobieta może jeszcze poczekać. W przeciwieństwie do whisky.

Od domu dzieliło go jeszcze dziewięćdziesiąt zakurzonych kilometrów. O ile w ogóle można nazwać domem Lone Bluff - tę spaloną słońcem miejscinę. Jednak niektórzy uważali ją za dom. Nie mieli wyjścia, pomyślał Jake, chwytając flaszkę i wlewając w gardło pierwszy, palący łyk.

On przywykł uważać za swój dom te niespełna dwa metry ziemi, na które padał jego cień. Ale przez ostatnie kilka miesięcy mieszkał w Lone Bluff - miejscu równie dobrym jak każde inne. Mógł tam zawsze dostać pokój z kąpielą i chętną kobietę - i to za umiarkowaną cenę. W Lone Bluff można było uniknąć kłopotów, albo je sobie znaleźć - zależnie od nastroju.

Jake, z gardłem piekącym od kurzu i pustym żołądkiem - jeśli nie liczyć jednej szklaneczki whisky - był zbyt zmęczony, żeby mieć ochotę na jakiegokolwiek kłopoty.

Zafunduje sobie jeszcze jedną whisky i coś do jedzenia - cokolwiek, co można dostać w tej pustynnej dziurze - a potem ruszy w dalszą drogę.

Popołudniowe słońce wpadało do baru przez wahadłowe drzwi. Na ścianie wisiał obraz, przedstawiający kobietę w boa z czerwonych piór - i było to jedyny damski akcent w tym lokalu. Nie oferowano tu klientom kobiet. Można się tylko było napić i pograć w karty.

Nawet w takiej mieścinie jak ta zawsze można było liczyć na jeden czy dwa saloony. Jeszcze nie nadeszło południe, a już większość stolików była zajęta. Powietrze zgęstniało od dymu - barman sprzedawał cygara po pół centa za sztukę. Whisky lała się strumieniami, rozgrzewając gardła i żołądki. Gdyby właściciel dodał jeszcze prawdziwą kobietę w czerwonych piórach, mógłby sobie liczyć za wszystko podwójną cenę i nie usłyszałby słowa protestu.

Cuchnęło whisky, dymem i potem. Jake też nie pachniał zbyt pięknie. Miał za sobą długą drogę z New Mexico i byłby pojechał prosto do Lone Bluff, gdyby nie to, że koniowi należał się odpoczynek, a on sam nabrał ochoty na coś innego niż tylko suchary.

Saloony zawsze wyglądały lepiej wieczorem, a ten nie był wyjątkiem. Bar był wyslizgany przez setki rąk i łokci, lepki od wypłutych drinków i podrapany czubkami zapalek. Podłoga to była gruba warstwa ubitego brudu, w który wsiąkły whisky i krew. Jake bywał jednak w gorszych miejscach.

Zaczął się zastanawiać, czy może sobie pozwolić na luksus papierosa już teraz, czy dopiero po posiłku. Gdyby później chciał jeszcze raz zapalić, mógłby dokupić tytoniu. W kieszeni miał miesięczną wypłatę. I niech go diabli,

jeżeli jeszcze kiedyś najmie się jako poganiacz bydła. To robota dla młodych i głupich - a może tylko dla głupich.

Kiedy brakowało mu pieniędzy, zawsze mógł znaleźć pracę jako ochrona dyliżansów, jadących przez terytoria indiańskie. Potrzebowano tam mężczyzn, którzy potrafili obchodzić się z bronią. Był rok 1875 i osadnicy wciąż napływali ze wschodu, w poszukiwaniu - ziemi i złota. Część z nich w drodze do Kalifornii zatrzymywała się na Terytorium Arizony. Na ogół gdy zabrakło im pieniędzy, energii lub czasu.

Ich pech. Jake, wlał w siebie kolejną whisky. Nawet on, który się tu urodził, nie uważał Arizony za szczególnie gościnne miejsce. Było tu gorąco, niebezpiecznie i zdradliwie. Ale jemu to odpowiadało.

- Redman?

Podniósł wzrok na zapocone lustro za kontuarem i zobaczył stojącego za swoimi plecami mężczyznę. Był młody, kościsty i wyraźnie szukał zwady. Kapelusz miał nasunięty głęboko na oczy, a pot perlił mu się na twarzy. Jake westchnął. Zbyt dobrze znał ten typ ludzi. Głupców, którzy nie zdają sobie sprawy, że proszą się o kłopoty.

- Słucham?

- Jake Redman?

- I co z tego?

- Jestem Barlow. Tom Barlow. - Mężczyzna oparł ręce na biodrach. - Nazywają mnie Slim, czyli Chudy. - Zupełnie jakby wszyscy powinni go znać i drzeć na sam dźwięk jego imienia.

Jake uznał, że nie ma ochoty na trzecią whisky. Rzucił garść monet na ladę i upewnił się, że ma broń w zasięgu ręki.

- Można w tym mieście coś zjeść? - zwrócił się do barmana.

- U Grody'ego. - Barman przezornie odsunął się na bok.

- Nie chcemy tu żadnych kłopotów.

Jake obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

- Chyba ich nie przysparzam?

- Mówię do ciebie, Redman! - Barlow rozstawił szeroko nogi i położył dłoń na kolbie rewolweru. Miał paskudną bliznę, ciągnącą się od nadgarstka do wskazującego palca. Kaburę nosił wysoko - skóra była wytarta przy sprzączce.

Jake zawsze uważał, że warto zwracać uwagę na szczegóły. Nie wykonując zbędnych ruchów, spojrzał mu w oczy.

- Masz mi coś do powiedzenia?

- Słyszałem, że jesteś szybki. Podobno w Tombstone załatwiłeś Freemonta.

Jake odwrócił się. W tym samym momencie stuknęły wahadłowe drzwi. Co najmniej jeden klient baru uznał, że lepiej zawczasu się ulotnić.

Barlow miał colta, czterdziestkę czwórkę z licznymi nacięciami na kolbie. Wyglądał na faceta, który lubi zabijać.

- Dobrze słyszałeś.

Barlow poruszył palcami obu rąk. Dwaj pokerzyści w rogu sali odłożyli karty i założyli się o wynik partii, która rozgrywała się na ich oczach.

- Ale ja jestem jeszcze szybszy. Szybszy niż Freemont i szybszy niż ty. To ja rządzę w tym mieście.

Jake powiódł wzrokiem po sali, a potem spojrzał w pociemniałe oczy Barlowa.

- Moje gratulacje. - Chciał odejść, ale Barlow zastąpił mu drogę. Jake obrzucił go zimnym spojrzeniem, na widok

którego każdy rozsądny człowiek byłby ustąpił. - Zajmij się kimś innym. Ja chcę tylko coś zjeść i przespać się.

- Ale nie w moim mieście.

Cierpliwość nigdy nie była cnotą Jake'a, jednak tym razem naprawdę nie miał ochoty wdawać się w burdy.

- Chcesz umrzeć za kawałek kotleta?

Barlow wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nie wierzył, że umrze. Faceci jego pokroju nigdy nie brali tego pod uwagę.

- Zgłoś się do mnie za pięć lat - powiedział Jake. - Z rozkoszą wpakuję ci wtedy kulę w łeb.

- Zgłaszam się teraz. A kiedy cię załatwię, nie będzie takiego człowieka na zachód od Missisipi, który by nie słyszał o Slimie Barlowie.

Dla niektórych był to zupełnie wystarczający powód, żeby sięgnąć po broń.

- Proponuję ci prostsze wyjście. Dla nas obu. - Jake zrobił krok w stronę drzwi. - Czy nie wystarczy, jak im powiesz, że mnie zabiłeś?

- Podobno twoja matka była indiańską squaw. - Barlow uśmiechnął się złośliwie. - Masz domieszkę psiej krwi.

Jake znał uczucie furii. Rodziło się w żołądku, a potem ogarniało mózg i przysłaniało oczy. Dlatego przezornie zdławił już pierwsze symptomy. Jeżeli miał walczyć - a zanosilo się na to - wolał robić to na zimno.

- Moja babka była z plemienia Apaczów.

Barlow znów się uśmiechnął i grzbietem dłoni otarł usta.

- Śmierdzący Metys. Nie chcemy tu Indian. Chyba będę musiał zrobić porządek w tym miasteczku.

Sięgnął po rewolwer. Jake zauważył ten ruch - nie ręki, raczej oka. Bez skrupułów wyciągnął broń. Ci, którzy to

widzieli, mówili potem, że było to jak błyskawica i grzmot. Błysnęła stal, huknął strzał. Jake stał w miejscu, strzelając z biodra. Zdał się na instynkt i doświadczenie. A potem jednym ruchem wsunął rewolwer do kabury. Tom Barlow, zwany Slim, czyli Chudy, runął jak długi na ziemię.

Jake wyszedł przez wahadłowe drzwi i podszedł do konia. Nie wiedział, czy zabił Barlowa, czy nie, ale było mu wszystko jedno. Ta głupia awantura odebrała mu apetyt.

Sarah była przerażona. Bała się, że zwróci ten marny posiłek, jaki udało jej się przełknąć podczas ostatniego postoju.

Nie była w stanie zrozumieć, jak można żyć w tak okropnych warunkach. To, co dotąd zdążyła zobaczyć, wystarczyło, by nabrała przekonania, że Zachód to miejsce dobre tylko dla jakichś wyrzutków. Albo dla węży.

Zamknęła oczy i otarła chusteczką czoło, modląc się, żeby udało jej się wytrzymać jeszcze przez kilka godzin. Dzięki Bogu, nie będzie musiała spędzać kolejnej nocy w jednej z tych okropnych noclegowni. Bała się, że mogłaby zostać zamordowana w łóżku. O ile w ogóle można nazwać łóżkiem te twarde barłogi bez pościeli. Nie mówiąc już o takich drobiazgach, jak brak bodaj odrobiny prywatności.

Ale teraz nie miało to już znaczenia. Była już prawie na miejscu. Po dwunastu godzinach jazdy zobaczy wreszcie ojca i zamieszka z nim w pięknym domu, który wybudował na obrzeżach Lone Bluff.

Kiedy miała sześć lat, ojciec zostawił ją pod opieką zakonnic, a sam wyjechał w świat, żeby szukać szczęścia. Na początku płakała po nocach z tęsknoty, ale potem, w miarę upływu czasu, jego obraz zatarł jej się w pamięci.

Żeby go do reszty nie zapomnieć, musiała często spoglądać na wyblakły dagerotyp. Na szczęście ojciec często do niej pisywał. Styl miał niezdarny i pismo niewyraźne, ale z jego listów biło tyle miłości i nadziei!

Co miesiąc dostawała od niego wiadomość - z każdego miejsca, w którym zatrzymał się w swojej drodze na Zachód. Po osiemnastu miesiącach i osiemnastu listach odezwał się z Arizony. Tam się osiedlił i tam zamierzał się dorobić.

Ojciec zawsze ją przekonywał, że postąpił słusznie, zostawiając ją w Filadelfii, w przyklasztornej szkole, gdzie powinna pobierać stosowną edukację, jak przystało na młodą damę. Miała tam pozostać, póki nie będzie na tyle dorosła, żeby móc do niego przyjechać. A teraz skończyła osiemnaście lat i wreszcie mogła z nim zamieszkać. Bo w tym okazałym domu, jaki dla nich wybudował, na pewno przyda się kobieca ręka.

Ojciec nie ożenił się powtórnie, dlatego Sarah wyobrażała go sobie jako roztargnionego starego kawalera, który nigdy nie wie, gdzie są czyste kołnierzyki i co kucharka ma podać na obiad. Ale już niedługo ona sama zajmie się wszystkim.

Człowiek na takim stanowisku powinien przyjmować gości - a do tego potrzebna jest pani domu. Sarah Conway wiedziała, że potrafi wydać elegancki obiad czy nawet bal.

Wprawdzie to, co przeczytała na temat Arizony, brzmiało dość przygnębiająco - te wszystkie historie o rewolwerowcach i najazdach Indian - ale był przecież rok 1875 i nawet tak odległe miejsce jak Arizona musiało już znaleźć się pod jakąś kontrolą. A ponure doniesienia na ten temat były z całą pewnością przesadzone na użytek prasy.

Jednak na pewno nie było przesady w tym, co pisano o tamtejszym klimacie.

Spróbowała przybrać wygodniejszą pozycję. Tęga kobieta obok niej - a także ciasny gorset - dawały jej małe pole manewru. A na domiar wszystkiego ten zaduch! Nie było od niego ucieczki, bez względu na to, ile wody lawendowej wylała na chusteczkę. W rozklekotanym, ciasnym dylizansie tłoczyło się siedmioro pasażerów. Brak powietrza potęgował jeszcze odór nieświeżych oddechów, potu, a także alkoholu, którym raczył się siedzący naprzeciw niej mężczyzna. Człowiek ten popijał wprost z butelki! Jego dziobata twarz i kolorowa chustka na szyi z początku nawet zaintrygowały Sarah. Ale kiedy podsunął jej butelkę, odwołała się do najsukuteczniejszej broni kobiety - czyli godności i dumy.

Niestety, trudno wyglądać dumnie, kiedy suknia klei się do ciała, a włosy poca się pod czepkiem. Trudno zachować godność, gdy tęga sąsiadka zaczyna pałaszować pieczoną kure. Jednak kiedy Sarah raz powzięła jakieś postanowienie, potrafiła się go konsekwentnie trzymać.

Pocziwym siostrzyczkom nigdy nie udało się złamać jej upor - ani karą, ani modlitwą, ani perswazją. Dumnie wyprostowana, z uniesioną głową, zamknęła oczy i próbowała zignorować obecność pozostałych pasażerów.

Dosyć się już napatrzyła na krajobraz Arizony - o ile w ogóle można to tak nazwać. Z tego, co zdążyła zobaczyć, całe terytorium wyglądało jak spalona słońcem pustynia. To prawda, że pierwsze kaktusy, jakie w życiu ujrzała, wydały jej się fascynujące. Nabrała nawet ochoty, żeby je narysować. Niektóre przypominały człowieka, z uniesionymi ku niebu rękami. Inne znów były małe i pękate, pokryte gęstwiną kolców.

Jednak po jakimś czasie widok ten zdążył jej się opatrzyć.

Owszem, skały były dosyć interesujące. Wyrastające z piasku kolumny lub płaskie bloki miały nawet swój czar, zwłaszcza gdy rysowały się na tle niezmiernego błękitu. Ona jednak wolała schludne uliczki Filadelfii, z ich sklepikami i herbaciarniami.

Ale kiedy już spotka się z ojcem, przestanie to mieć znaczenie - będą mogli mieszkać gdziekolwiek. Ojciec na pewno będzie z niej dumny. Sarah bardzo na tym zależało. To dla niego przez te wszystkie lata uczyła się pilnie, jak być damą. Bo córka takiego ojca musi przecież być damą.

Zaczęła się zastanawiać, czy ojciec ją pozna. Na ostatnią Gwiazdkę wysłała mu swój mały autoportret, nie była jednak pewna, czy udało jej się uchwycić podobieństwo. Zawsze żałowała, że nie ma łagodnej, kobiecej urody swojej ukochanej przyjaciółki Lucilli. Na szczęście natura obdarzyła ją dobrą cerą - Sarah często tym się pocieszała. W przeciwieństwie do Lucilli, nigdy nie musiała sięgać po słoiczek różu, przeciwko czemu tak kategorycznie protestowały zakonnice. Czasami wydawało jej się nawet, że wygląda zbyt zdrowo. Usta miała szerokie i pełne, choć wolałaby delikatny łuk Kupidyna, a oczy piwne, mimo że do jej jasnych włosów znacznie lepiej pasowałyby niebieskie. Była za to zdecydowanie zgrabna i nosiła się elegancko - przynajmniej zanim wyruszyła w tę nieszczęsną podróż.

Ale to już niedługo. Wkrótce zobaczy ojca i zamieszka z nim w jego pięknym domu. Cztery sypialnie! Wyobraźcie sobie! Do tego salon, wychodzący na zachód. Cudownie! Oczywiście trzeba będzie to wszystko pięknie urządzić.

Mężczyźni nie zaprzatają sobie głowy takimi drobiazgami jak zasłony czy dywany. Ale ona zajmie się tym z przyjemnością. A kiedy okna zalśni jak kryształ, a świeże kwiaty znajdują się w wazonach, ojciec przekona się, jak bardzo była mu potrzebna. I że te wszystkie lata rozłąki nie poszły na marne.

Strużka potu spłynęła jej po grzbiecie. Zaraz po przyjeździe weźmie kąpiel - chłodną, odprężającą kąpiel w pachnących solach, które Lucilla podarowała jej na pożegnanie. Westchnęła. Jak przyjemnie będzie móc zdjąć gorset i przepocone suknie i zanurzyć się w pianie. Pachnącej bzem, rozkosznej, niemal grzesznej.

Kiedy dyliżans podskoczył, Sarah rzuciło na grubą sąsiadkę. Zanim zdążyła się wyprostować, strumień whisky zmoczył jej suknię.

- Proszę pana! - zaczęła, ale zaraz urwała, bo na zewnątrz rozległy się okrzyki i strzały.

- Indianie! - Tłusta sąsiadka odrzuciła kurzą nogę i zasłoniła się Sarah jak tarczą. - Zabiją nas!

- Co za bzdury! - Sarah odepchnęła ją. Nie potrafiła powiedzieć, co ją bardziej zirykowało - niebezpieczna prędkość dyliżansu czy plamy z tłuszczu na nowej sukni. Wychyliła się w stronę okna, żeby krzyknąć do woźnicy. W tej samej chwili za szybą ukazała się twarz mężczyzny - dosłownie o centymetry od jej twarzy. Zawisała do góry nogami zaledwie przez kilka sekund, ale to całkowicie wystarczyło, żeby Sarah zobaczyła krew tryskającą z ust i strzałę, wbita w serce. Sąsiadka przeraźliwie krzyknęła, a ciało osunęło się na ziemię.

- Indianie! - wrzasnęła znów kobieta. - Boże, miej litość! Oskalpują nas! Co do jednego!

- To Apacze! - Ospowaty mężczyzna dopił whisky. - Woźnica chyba też oberwał. Trzeba uciekać. - To mówiąc, sięgnął po broń i zaczął strzelać przez drugie okno.

Sarah, kompletnie oszołomiona, nie przestawała wyglądać na zewnątrz. Słyszała krzyki, pohukiwania i grzmiący tętent kopyt. Iak diabły. Takie są pewnie diabły. Nie, to niemożliwe! Wręcz śmieszne! Przecież Stany Zjednoczone liczą sobie już prawie wiek. Ich prezydentem jest Ulisses S. Grant. Parowce przepływają Atlantycką w niespełna dwa tygodnie. W tych czasach diabły już nie istnieją.

A potem zobaczyła jednego, z nich. Nagi do pasa, miał długie włosy i jechał na niskim, krępym koniu. Spojrzała mu prosto w rozgorączkowane oczy. Twarz miał pomalowaną kolorową farbą, warstwa kurzu pokrywała lśniący tors. Uniósł łuk. Mogła dokładnie policzyć pióra w strzale. A potem nagle spadł z konia.

Czy to jawa czy sen? Musiała się uszczypnąć, żeby nie zemdleć.

W polu widzenia pojawił się kolejny jeździec, nisko pochylony nad siodłem, z rewolwerami w obu rękach. A chociaż nie był Indianinem, wyglądał równie dziko. Miał szary kapelusz, czarne włosy i skórę śniadą jak Indianin. Lecz w jego oczach nie płonęła gorączka - wyzierał z nich chłód.

Nie strzelił do niej, chociaż była pewna, że to zrobi, tylko ponad swoim ramieniem, najpierw z lewej, a potem z prawej ręki, nawet gdy strzała przeleciała mu tuż obok głowy.

To niesamowite, pomyślała, przerażona i podniecona. Co za wspaniały mężczyzna. Brudny, spocony, o lodowatym spojrzeniu, a jego szczupłe, muskularne ciało wydało się

przyrośnięte do końskiego grzbietu. Nie mogła oderwać od niego wzroku. A potem nagle gruba sąsiadka wczepiła się w nią i zaczęła rozpaczliwie zawodzić.

Jake wciąż strzelał za siebie i trzymał się końskiego grzbietu tak pewnie jak Indianin. Przez moment widział pasażerów dylizansu, a zwłaszcza tę pobladłą, ciemnooką dziewczynę w niebieskim czepku. Pomyślał beznamietnie, że jego kuzynom - Apaczom raczej by się nie spodobała, i schował broń do kabury.

Widział woźnicę, że strzałą w ramieniu, który próbował zapanować nad końmi. Mimo bólu, robił, co mógł, ale nie miał dość sił, żeby zaciągnąć hamulce. Jake zaklął, podjechał bliżej i uchwycił się pędzącego dylizansu.

Przez nieskończenie długą chwilę zwiślał tylko na palcach. Sarah mignęła zakurzona koszula, potężne przedramię, długa noga w skórze i zniszczony but. Potem mężczyzna podciągnął się na górę, na dach. Grubaska znowu wrzasnęła, a kiedy dylizans zatrzymał się, po prostu zemdląca. Sarah, zbyt przerażona, by zostać w środku, pchnęła drzwi i wygramoliła się na zewnątrz.

Mężczyzna w szarym kapeluszu zeskoczył na ziemię.

- Uszanowanie! - odezwał się, kiedy ją mijał.

Przycisnęła dłoń do rozkołatanego serca. Żaden bohater nie wydał jej się dotąd tak heroiczny.

- Ocalił nam pan życie... - zaczęła, ale on nawet na nią nie spojrział.

- Redman! - Zahuczał pasażer, który przez całą drogę raczył się whisky. - Dobrze, że zajrzałeś w te strony.

- Lucius! - Jake chwycił za cugle, żeby uspokoić swoje go konia. - Przecież było ich tylko sześciu.

- Uciekają! - wybuchnęła Sarah. - Pozwolicie im uciec? Jake popatrzył na obłok kurzu w oddali, a potem znów na Sarah. Miał teraz więcej czasu, żeby się jej przyjrzeć. Była dość drobna, a na ładnej twarzy miała wypisane, że pochodzi ze Wschodu. Spod niebieskiego czepka wysuwały się włosy w ciepłym odcieniu miodu. Wyglądała, jakby dopiero co opuściła szkołę, a pachniała... tanią knajpą. Uśmiechnął się mimo woli.

- Owszem.

- Tak nie można! - Posąg bohatera zaczął się w oczach kruszyć. - Przecież oni zabili człowieka!

- Wiedział, na co się naraża. Linie dobrze płacą takim ludziom.

- Zamordowali go! - powtórzyła Sarah, jakby mówiła do tępego ucznia. - Leży tam, że strzałą w piersi. - A kiedy Jake bez słowa podprowadził konia na tyły dylizansu, poszła za nim. - Przynajmniej zabierzemy jego ciało. Nie możemy zostawić tu tego biedaka.

- Trup to trup.

- To obrzydliwe, co pan mówi. - Nagle zrobiło jej się słabo. Zdjęła czepek i zaczęła się nim wachlować. - Trzeba go jakoś pochować. Nie mogłabym... Co pan chce zrobić?

Jake zerknął na nią i uznał, że jest niebrzydka. A bez tego czepka nawet całkiem ładna.

- Chcę przywiązać konia.

Sarah opadły ręce. Nie było jej już słabo. I nie była przerażona. Była po prostu wściekła.

- Bardziej dba pan o konia niż o człowieka?

Mężczyzna zatrzymał się. Przez moment stali twarzą w twarz, w promieniach słońca, wśród zapachu kurzu i krwi.

- Tak jest. Bo mój koń żyje, a ten człowiek już nie. Lepiej niech pani wsiada do dyliżansu. Byłoby niedobrze, gdyby Apacze wrócili i panią tu zastali.

Rozejrzała niepewnie. Wokół panowała cisza, tylko krzyk sępa rozdarł powietrze.

- Wrócę i sarna go pochowam - powiedziała.

- Wedle życzenia. - Jake podszedł do dyliżansu. - Wsadźcie tę głuptaskę do środka - zwrócił się do Luciusa.

- I nie pozwólcie jej już więcej pić.

Sarah otworzyła usta ze zdumienia. Zanim zdążyła się odciąć, Lucius chwycił ją za rękę.

- Niech się panienka nie przejmuję Jakiem. On zawsze gada, co mu ślina na język przyniesie. Ale tym razem ma rację. Apacze mogą tu wrócić lada chwila. Dlatego lepiej się stąd ulotnić.

Co miała robić? Próbując ocalić resztki godności, wsiadła z powrotem do dyliżansu. Tęga kobieta nadal szlochała, wsparta na ramieniu mężczyzny w meloniku. Sarah wcisnęła się w kąt, poprawiła czepek i, kiedy dyliżans ruszył, zwróciła się do Luciusa:

- Kim był ten okropny typ?

- Jake? - Lucius uśmiechnął się błogo. Co mogło być piękniejszego niż ostra walka, zwłaszcza jeżeli człowiek wyszedł z niej z życiem. - To Jake Redman, panienko. Naprawdę mieliśmy szczęście, że był w pobliżu. On zawsze trafia do celu.

- To prawda. - Sarah przypomniała sobie dzikie spojrzenie Indianina za oknem. - Mamy wobec niego dług wdzięczności. Czy on zawsze jest taki zimny i obojętny?

- Mówią, że ma w żyłach lód. Z domieszką krwi Apaczów.

- Chce pan powiedzieć, że on jest... Indianinem?

- Podobno tak. Po babce. - Lucius wsunął do ust prymkę tabaki. - Nie chciałbym nigdy wejść mu w paradę. Co to, to nie. Dobrze mieć go po swojej stronie, kiedy robi się gorąco.

Jakim trzeba być człowiekiem, żeby zabijać ludzi? Sarah wzdygnęła się i umilkła. Wołała o tym nie myśleć.

Jake tymczasem jechał na czele zaprzęgu. Konie biegły teraz równym tempem.

- Nasza linia mogłaby cię zatrudnić na stałe - zwrócił się do Jake'a ranny woźnica, który nie chciał przesiać się do Środka.

- Myślałem o tym - odparł Jake, ale tak naprawdę myślał o tej panience o piwnych oczach i włosach w odcieniu miodu. - Kto to jest? Ta dziewczyna w niebieskim czepku?

- Panna Conway. Z Filadelfii. - Woźnica syknął z bólu. - Mówi, że jest córką Matta Conwaya.

- Ach tak? - Panna Conway ani trochę nie przypominała swojego ojca, choć Matt rzeczywiście opowiadał od czasu do czasu o jakiejś córce na Wschodzie. Zwłaszcza gdy przypiął się do butelki. - Przyjechała w odwiedziny?

- Mówi, że przyjechała na stałe. Jake parsknął śmiechem.

- Po tygodniu będzie miała dosyć. Jak one wszystkie.

- Wygląda na to, że ona mówi poważnie. - Woźnica wskazał kufry, przytroczone na dachu.

Jake prychnął i głębiej nasunął kapelusz.

- Tak się jej tylko wydaje.

Przez okno dyliżansu Sarah zobaczyła w oddali Lone Bluff. Miasteczko rozpościerało się u stóp gór jak kupka

rozsypanych kamieni. Takie zimne, surowe góry. Wzdrygnęła się. Miała wrażenie, że są znacznie bliżej niż w rzeczywistości.

Na moment zapomniała się do tego stopnia, że wystawiła głowę przez okno. Mimo to nie udało jej się zobaczyć Jake'a Redmana. Zresztą, ten człowiek przecież jej nie interesuje. A nawet jeśli tak, to tylko jako barwna lokalna postać. Kiedy będzie pisała do Lucilli i jej sióstr, opíše im wszystkich miejscowych dziwaków.

A on był rzeczywiście dziwny. Zachował się jak rycerz, ryzykując życie dla grupki obcych pasażerów dyliżansu, a chwilę później zapomniał o chrześcijańskim obowiązku pochowania zmarłych. Nie mówiąc już o tym, że nazwał ją głupią.

Nikt jak dotąd nie ośmielił się oskarżyć Sarah Conway o głupotę. Prawdę mówiąc, powszechnie podziwiano jej inteligencję i wychowanie. Była odczytana, mówiła biegle po francusku i całkiem nieźle grała na fortepianie.

Wiążąc wstążki czepka, pomyślała, że nie potrzebuje uznania mężczyzny pokroju Jake'a Redmana. Jest raczej mało prawdopodobne, żeby go jeszcze kiedyś spotkała, gdy już zamieszka u ojca i zajmie stosowną pozycję w lokalnej społeczności.

Oczywiście podziękuję mu za ocalenie życia. Wyjęła z woreczka czystą chusteczkę i otarła skronie. To, że ten człowiek nie wie, co to maniery, nie zwalnia jej z obowiązku przestrzegania pewnych zasad. Może nawet poprosi ojca, żeby zaproponował mu pewną sumę.

Zadowolona z siebie, wyjrzała przez okno i gwałtownie zamruła. Nie, to nie może być Lone Bluff! Jej ojciec nigdy

by się nie osiedlił w tej ponurej namiastce osady. Przecież to tylko dwa rzędy budynków po dwóch stronach zakurzonego pasa, służącego za drogę. Minęli dwa sąsiadujące ze sobą salony, sklep i coś, co okazało się zajazdem. Konie uwiązane do słupów machały leniwie ogonami, oganiając się od wielkich, czarnych much. Kilku małych chłopców o umorusanych twarzach puściło się biegiem wzdłuż dyliżansu, krzyząc i strzelając z drewnianych rewolwerów. Dwie kobiety w wyblakłych perkalowych sukniach spacerowały po deskach udających chodnik.

Kiedy dyliżans zatrzymał się, usłyszała, jak Jake wzywa doktora. Pasażerowie zaczęli wysiadać na obie strony. Sarah, zrezygnowana, również wysiadła i otrzepała suknie.

- Panie Redman! - Rondo czepka okazało się niewystarczającą ochroną od słońca. Musiała podnieść rękę i osłonić oczy. - Czemu stoimy?

- Koniec jazdy, moja pani. - Kilku mężczyzn ścigało już na dół rannego woźnicę. Jake odwrócił się i zaczął rozpinąć pasy przytrzymujące kufry.

- Jak to, koniec jazdy? Gdzie jesteśmy?

Jake spojrział na nią z góry. Oczywiście miał ciemniejsze, niż myślała. Stalowszare.

- Witamy w Lone Bluff.

Odwrociła się z niedowierzaniem. Słońce niemiłosiernie obnażało wszelkie niedostatki tego „miasteczka” - brud, kurz, tandetę i wszechobecny zapach końskiego nawozu.

Dobry Boże! Więc to jest to! Koniec jazdy. Koniec podróży. Tak czy owak, dla niej nie ma to większego znaczenia. I tak nie będzie mieszkać w samym mieście. A złoto z kopalni jej ojca szybko sprawi, że osada zacznie się rozwijać

i przyciągać ludzi. Tak, to rzeczywiście nie ma najmniejszego znaczenia, pomyślała, prostując plecy. Jedyne, co się naprawdę liczy, to że wreszcie zobaczy się z ojcem.

Odwróciła się i zobaczyła, że Jake rzuca Luciusowi jeden z jej kufrów.

- Panie Redman, proszę zająć się moim bagażem. Jake zdjął z dachu kolejną walizę i podał ją Luciusowi.

- Tak jest, panienko.

Zacisnęła wargi i poczekała, żeby zeskoczył na ziemię.

- Bez względu na moje wcześniejsze zastrzeżenia, jestem panu bardzo wdzięczna za to, że pospieszył nam pan z pomocą. To było bardzo szlachetne z pana strony. Pewna jestem, że mój ojciec zechce to panu hojnie wynagrodzić.

Jake od dawna nie słyszał, żeby ktoś wyrażał się tak elegancko. Zsunął kapelusz na tył głowy, spojrzał przeciągle na Sarah i powiedział:

- Nie mówmy o tym.

Splonęła rumieńcem. Nie mówmy o tym? Więc ten człowiek tak potraktował jej wyrazy wdzięczności? Dobrze, więcej o tym nie wspomni, pomyślała, patrząc na jego oddalające się plecy. Odwróciła się, szeleszcząc spódnicą, i przeszła na skraj drogi, żeby poczekać na ojca.

Jake tymczasem wszedł do zajazdu. Nigdy nie było tam specjalnie czysto. Pachniało cebulą i kawą, a ściany były podziurawione kulami. Jedną z nich osobiście tam wpakował. Przez uchylone drzwi wlatywały chmary much.

- Maggie! - zawołał do kobiety, która stała u stóp schodów. - Masz wolny pokój?

Maggie O'Rourke była równie wysuszona i zylasta jak jej smażone steki. Miała siwe włosy, ciasno upięte w kok,

i twarz tak koścista, że nie powinny się na niej rysować żadne zmarszczki. A jednak była pomarszczona, i to jak! Jej maleńkie, niebieskie oczka zdawały się spoglądać z fałdów zmacerowanej, skórzanej derki. Interes prowadziła żelazną ręką, dobrze władała bronią i miała wyczulone oko na pieniądze.

- Kogo ja widzę? - powiedziała ze skrywanym zadowoleniem. - Przyszła koza do woza! Kto tym razem depcze ci po piętach? Prawo czy kobieta?

- Ani to, ani to. - Jake kopniakiem zatrzaskał drzwi, zastanawiając się, czemu zawsze tu wraca. Przecież ta kobieta nigdy nie dawała mu spokoju, a jej kuchnia była wręcz zabójcza. - Masz pokój, Maggie? I gorącą wodę?

- Masz dolara? - Maggie wyciągnęła kościstą rękę, a kiedy Jake wrzucił w nią monetę, ugryzła ją nielicznymi pozostałymi w niej jeszcze zębami. Nie dlatego, żeby nie ufała Jake'owi. Raczej dlatego, że nie ufała rządowi Stanów Zjednoczonych. - Możesz zająć ten, który miałeś przedtem. Jest wolny.

- Dobrze. - Jake ruszył ku schodom.

- Od twojego wyjazdu nic ciekawego się tu nie działo. Dwóch gości strzelało do siebie - obaj nic niewarci. Jeden nie żyje, drugiego szeryf posłał w diabły po tym, jak go nasz doktor pocerował. Mała Mary Sue Brody wpadła z tym chłopakiem od Mitchellów. Zawsze mówiłam, że ta dziewczyna to niezłe ziółko. A jednak wzięli ślub, jak należy. W zeszłym miesiącu.

Jake dalej wchodził po schodach, ale to nie powstrzymało Maggie. Prowadzenie zajazdu dawało jej ten przywilej, że miała nieograniczony dostęp do plotek.

- To straszna rzecz, z tym biednym starym Conwayem.

Tym razem Jake się zatrzymał. I nawet odwrócił. Maggie

wciąż stała u stóp schodów i rąbkiem fartucha machinalnie ścierała z poręczy kurz.

- Co się stało z Mattem Conwayem?
- Zginął w tej swojej nic niewartej kopalni. Zawaliła się. Pochowaliśmy go przedwczoraj.



ROZDZIAŁ DRUGI

Upał był wręcz morderczy. Za każdym razem kiedy ktoś przejeżdżał drogą, w powietrze wzbijała się chmura żółtego kurzu. Sarah marzyła już tylko o jednym - żeby się napić czegoś zimnego i usiąść w cieniu. Niestety, wyglądało na to, że w tym miasteczku nie ma miejsca, w którym młoda dama mogłaby znaleźć takie drobne luksusy. A nawet jeśli było, Sarah bała się zostawić bagaże przy drodze. Bała się też, że rozminie się z ojcem.

Była pewna, że ojciec będzie chciał osobiście ją powitać. Jednak tysiące spraw mogły zatrzymać człowieka na takim stanowisku. Praca w kopalni, problemy z robotnikami, a może nawet jakieś ostatnie przygotowania przed jej przyjazdem.

Skoro czekała dwanaście długich lat, może spokojnie poczekać jeszcze kilka chwil.

Minął ją wóz, wzniesając jeszcze większy kurz, tak że zmuszona była zasłonić usta chusteczką. Granatowa spódnica i żakiecik z ozdobną lamówką były już solidnie zakurzone. Z westchnieniem spojrzała na swoją bluzkę. Przepocona i wygnieciona, była bardziej żółta niż biała. Sarah nie wiedziała, co to próżność. Już zakonnice o to zadbały. Martwiło ją wyłącznie to, że ojciec zobaczy ją po raz pierwszy po tylu latach w tak opłakanym stanie. A ona chciała wyglądać jak najpiękniej na tę okazję. Niestety, jedyne co mogła teraz

zrobić, to poprawić wstążki czepka i po raz kolejny otrzepać spódnicę.

Czuła, że wygląda naprawdę okropnie. Ale postara się to ojcu wynagrodzić. Na dzisiejszą kolację przebierze się w muślinową sukienkę, ze stanikiem haftowanym w różane pączki. A do tego założy różowe pantofelki. Ojciec będzie z niej naprawdę dumny.

Tylko niech już wreszcie się zjawi. I niech ją stąd jak najprędzej zabierze.

Jake przeszedł na drugą stronę ulicy. Wcześniej musiał stoczyć ze sobą walkę. Ostatecznie to nic jego sprawa i nie jego zadanie. Patrzył na nią przez dziesięć długich minut i widział, jak w jej oczach zapala się błysk nadziei, ilekroć jakiś koń czy powóz przejeżdżał drogą. W końcu uznał, że ktoś musi powiedzieć tej dziewczynie, że jej ojciec nigdy po nią nie wyjdzie.

Sarah widziała, jak zmierza w jej kierunku. Szedł lekko sprężyście, mimo dwóch ciężkich rewolwerów na biodrach. Kabury poruszały się przy każdym kroku. Sprawiał wrażenie, że zawsze je nosi. Patrzył na nią wzrokiem, jakim mężczyzna z całą pewnością nie powinien patrzeć na kobietę - chyba że to jego kobieta. Serce zatrzepotało jej w piersi. Zaciśnęła usta i wyprostowała plecy.

To Lucilla zawsze mówiła o trzepoczącym sercu. To Lucilla roztaczała przed nią romantyczne wizje dzikich mężczyzn i dzikich miejsc. Marzenia Sarah były nieco bardziej ucywilizowane.

- Panienko - odezwał się Jake, zdumiony, że jeszcze nie roztopiła się w tym upale. Może to znak, że była twardsza, niż sądził.

- Słucham, panie Redman. - Dama powinna w każdych warunkach zachować godność i kobiecy wdzięk. Pomna tego, uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

- Mam wiadomość o pani ojcu.

Czarujący uśmiech rozjaśnił jej twarz, oczy zaśniły złotym blaskiem. Jake poczuł ostry ból, jakby ktoś wpakował mu kulę w pierś.

- Zostawił dla mnie wiadomość? Dziękuję, że mi pan to mówi. Mogłabym tu czekać bez końca.

- Panienko...

- Zostawił jakiś list? Ma go pan?

- Nie. - Skoro się zdecydował, musi to zrobić jak najszybciej. - Matt nie żyje. Miał wypadek w kopalni. - Był przygotowany na łzy, na rozpaczliwy lament, ale nie na atak furii.

- Jak pan śmie? Jak pan śmie tak kłamać? - Chciała odejść, ale Jake położył jej rękę na ramieniu. Zachnęła się, a potem spojrzała na niego bez słowa.

- Pochowali go dwa dni temu. - Zamarła pod jego ręką. Potem gniew zniknął z jej oczu, a krew odpłynęła z twarzy.

- Tylko proszę mi tu nie zemdleć.

Więc to prawda? Zresztą, ten człowiek ma to wyraźnie wypisane na twarzy. Jak również niesmak, że to jemu przypadła tak niewdzięczna rola.

- Jaki wypadek? - wykrztusiła.

- Szyb się zawalił. - Co za ulga, że jednak nie zemdlą. Niech jeszcze przestanie patrzeć na niego takim szklistym wzrokiem. - Pewnie chciałaby pani porozmawiać z szeryfem?

- Z szeryfem? - powtórzyła nieprzytomnie.

- Urzęduje po drugiej stronie ulicy.

Potrząsnęła głową bez słowa. Jej oczy miały zdecydowanie złoty odcień. Jak brandy, którą popijał czasami w barze „Srebrna Gwiazda”. Były olbrzymie i pełne bólu. Przygryzła wargi. Za późno. Uczucia, które chciała ukryć, odbiły się już wcześniej w jej oczach.

Gdyby zemdląca, zostawiłby ją najchętniej przy drodze. Pod opieką pierwszej lepszej kobiety, która akurat byłaby pod ręką. Ona jednak trzymała się i nie poddawała, co poruszyło w nim jakąś ukrytą strunę.

Zaklął, a potem chwycił ją za łokieć i zaczął prowadzić przez ulicę. Jak to się stało, że dobrowolnie wziął sobie na głowę taki kłopot?

Szeryf Barker siedział za biurkiem, pochylony nad stertą papierów i kubkiem kawy. Biedak łysiał w zastrasającym tempie, dlatego każdego ranka spędzał masę czasu przed lustrem, robiąc sobie misterną zaczeskę. Pyszne ciasta, z których słynęła jego żona, sprawiły, że zaczął rosnać mu brzuch. Miał strzec prawa w Lone Bluff, ale nie przejmował się przesadnie swoją funkcją. Nie dlatego, żeby był skorumpowany. Był po prostu leniwy.

Kiedy Jake stanął w progu, Barker podniósł głowę i westchnął. A potem strzyknął brunatną śliną do sopluchaczki. Obecność Jake'a Redmana oznaczała, że będzie musiał wziąć się do roboty.

- Więc wróciłeś? - mruknął. - Miałem nadzieję, że spodobasz się w New Mexico. - Na widok wchodzącej Sarah uniósł brwi i poderwał się z krzesła. - Witam panią.

- To córka Matta Conwaya.

- Niech mnie kule biją! Pani wybaczy, ale właśnie miałem zamiar do pani napisać.

- Szeryfie... - urwała, żeby opanować drżenie głosu. Nie rozklei się, nie tutaj, na oczach obcych mężczyzn.

- Barker, do służ. - Szeryf podsunął jej krzesło.

- Szeryfie Barker. - Usiadła, modląc się w duchu o to, żeby zdołała później wstać. - Pan Redman właśnie mi powiedział, że mój ojciec... - Nie była w stanie tego powiedzieć. Może to objaw słabości czy tchórzostwa, ale naprawdę nie mogła wymówić tych straszliwych słów.

- Niestety tak. Ogromnie mi przykro. Dzieciaki, które bawiły się koło kopalni, znalazły jego ciało. Musiał być w środku, kiedy załamały się stemple.

Sarah milczała. Barker głośno chrząknął, po czym otworzył górną szufladę biurka.

- Miał przy sobie ten zegarek i tytoń. - Miał też fajkę, ale ponieważ była równie potrzaskana jak kości Conwaya, Barker uznał, że nikomu na nic się nie przyda.

- Pochowaliśmy go z obrączką na palcu. Wydawało nam się, że tego by sobie życzył.

- Dziękuję. - Jak w transie wzięła z rąk szeryfa zegarek i kapciuch. Pamiętała ten zegarek. Omal nie załapała się łzami, kiedy sobie przypomniała, jak ojciec wyjął go, żeby sprawdzić czas, gdy zostawiał ją w pachnącym cytryną gabinecie matki przełożonej. - Chcę zobaczyć jego grób. Ktoś musi też zawieźć do domu moje bagaże.

- Panno Conway, gdybym mógł pani coś doradzić, niech pani tam nie jedzie. To nie miejsce dla takiej młodej panienki. Będziemy z żoną szczęśliwi, mogąc panią gościć. A za kilka dni, kiedy dyliżans będzie wracał na Wschód...

- To miło z pana strony - Sarah spróbowała się podnieść - ale ja wolę spędzić tę noc w domu ojca. - Przełknęła ślinę.

Gardło miała boleśnie wyschnięte. - Czy... czy jestem panu coś winna za pogrzeb?

- Nie. Sami dbamy o naszych mieszkańców.

- Dziękuję. - Musiała natychmiast zaczerpnąć powietrza. Ściskając w rękę zegarek, wypadła na dwór, oparła się o słup i spróbowała odetchnąć.

- Trzeba było przyjąć zaproszenie szeryfa.

Odwróciła się i spojrzała Jake'owi w oczy. Powinna być mu wdzięczna za to, że tak ją zirytował, nie pozwalając pograć się w bólu. Ani słowem nie wspomniał, że jej współczuje. Ani słowem! Może to i lepiej.

- Zatrzymam się w domu ojca. Może mnie pan tam zawieźć?

Jake przeciągnął ręką po podbródku. Nie golił się od tygodnia.

- Mam co robić.

- Zapłacę panu - powiedziała szybko, widząc, że zbiera się do odejścia.

Zatrzymał się i spojrzał na nią. Pomyślał, że musi być zdeterminowana. Ciekawe tylko, w jakim stopniu.

- Ile?

- Dwa dolary - odparła, a widząc, że patrzy na nią w milczeniu, dorzuciła przez zęby - Pięć!

- Ma pani pięć dolarów?

- Proszę. - Z wyniosłą miną wyjęła pieniądze z woreczka.

Jake spojrzał na banknot w jej rękę.

- Co to jest?

- Pięć dolarów.

- Ale nie tutaj. Tutaj to tylko papier. Schowała banknot i wyjęła monetę.

- Może być?

Obejrzał pieniądz, po czym wsunął go do kieszeni.

- Może być. Przyprowadzę wóz.

Co za nędzna kreatura. Nienawidziła go. A jeszcze bardziej nienawidziła świadomości, że jest jej potrzebny.

Podczas długiej jazdy nie odezwała się ani słowem. Nie myślała już ani o monotonnym, spalonym krajobrazie, ani o zimnokrwistym mężczyźnie, który jej towarzyszył. Zdławiła w sobie wszelkie uczucia. Każdy przejechany kilometr był po prostu kolejnym przejechanym kilometrem.

Jake Redman również nie miał ochoty na rozmowę. Powoził w milczeniu, ze strzelbą na kolanach i dwoma pistoletami u pasa. Wprawdzie od jakiegoś czasu w okolicy panował spokój, jednak atak Indian na dyliżans oznaczał, że wkrótce może się to zmienić.

W grupie, która napadła na dyliżans, rozpoznał Silnego Wilka. Jeśli ten waleczny Apacz zdecydował się najechać na te tereny, to prędzej czy później zaatakuje również posiadłość Conwaya.

Po drodze nie spotkali nikogo. Wokół ciągnęły się piaski i skały i tylko na niebie raz i drugi zakołował jastrząb.

Kiedy Jake ściągnął wodze, Sarah zobaczyła mały gliniany domek i kilka koślawych szop na spłachetku jałowej ziemi.

- Po co się tu zatrzymujemy? Jake zeskoczył z kozła.

- To dom Matta Conwaya.

- Wolne żarty! - Wysiadła w pośpiechu, zanim zdążył obejść wóz, żeby jej pomóc. - Panie Redman, zapłaciłam panu za to, żeby mnie pan dowiózł do domu mojego ojca. Spodziewałam się, że pan się z tego wywiąże.

Nim zdążyła go powstrzymać, postawił na ziemi jeden z jej kufrów.

- Co pan wyprawia?
- Wyładowuję bagaże.
- Niech pan przestanie! - Złapała go za koszulę i szarpnęła tak, że znaleźli się twarzą w twarz. - Przecież obiecał mi pan dostarczyć do domu ojca!

Co za dziewczyna. Nie dość, że głupia, to jeszcze irytująca.

- Dobrze - powiedział. Chwyił ją w tali i przerzucił sobie przez ramię.

To był szok. Dotąd nie dotknął jej żaden mężczyzna. A ten gbur, prostak, zdążył zrobić to kilka razy w tak krótkim czasie. Jego ręce bezwstydnie dotykały jej ciała. A na domiar wszystkiego byli sami. Zaczęła się wrywać, ale nie zdążyła nawet krzyknąć, kiedy Jake otworzył drzwi chaty i postawił ją tuż za progiem.

- Wystarczy?

Patrzyła na niego, a przed oczami przesuwaly jej się wizje tysiąca plag, które mogły spotkać samotną kobietę. W końcu cofnęła się, ciężko dysząc, i modląc się, żeby zechciał jej wysłuchać, powiedziała:

- Panie Redman, mam przy sobie bardzo mało pieniędzy. Nawet nie warto tego kraść.

Spojrzał na nią tak dziwnie, że zaparło jej dech w piersi. Wzrok miał groźny, wręcz nienawistny.

- Nie jestem złodziejem. - Światło wpadające przez drzwi ozłociło jego sylwetkę.

Sarah oblizwała wargi.

- Chce mnie pan zabić?

O mały włos nie wybuchnął śmiechem. Oparł się o ścianę i przyjrzał jej się uważnie. Ta mała miała w sobie coś, co na niego działało. Co to było, tego jeszcze nie wiedział, wiedział za to, że mu się to nie podoba. Ani trochę.

- Raczej nie. Chce się pani trochę rozejrzeć? - zapytał, a kiedy Sarah skinęła głową, dodał: - Podobno pochowali go za domem, przy wejściu do kopalni. Ja pójde zjrzeć do koni. Pewnie trzeba je napoić.

Po jego wyjściu Sarah nadal patrzyła na puste drzwi. Przecież to jakiś obłęd! Czy ten człowiek naprawdę się spodziewa, że uwierzy w te bzdury? Jej ojciec miałby mieszkać w takim miejscu? Przecież otrzymała listy - mnóstwo listów. Pisał w nich, że buduje dom, że go wykańcza, że wszystko jest już gotowe na jej przyjazd.

Nagle przypomniała sobie o kopalni. Jeżeli kopalnia jest nieopodal, może uda jej się znaleźć kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Wyrzała ostrożnie za próg, a potem obeszła cały dom.

Minęła mały, wyschnięty warzywnik, szopę, która służyła za stajnię, oraz pusty padok, ogrodzony kilkoma żerdziami. Za padokiem grunt zaczynał wznosić się ku górze.

Bez trudu znalazła wejście do kopalni. Okazało się, że to tylko zwykła dziura w skale. Na drewnianej tabliczce widniał koślawy napis „DUMA SARAH”.

Lzy napłynęły jej do oczu. Nie było żadnych robotników, żadnych wózków wypełnionych kruszywem. Było tylko marzenie człowieka, który tak naprawdę nic poza tym nie miał. Nagle zrozumiała, że ojciec nie był jednym z tych poszukiwaczy złota, którym się powiodło, ani też zamożnym właścicielem ziemskim. Był tylko jednym z tych wytrwałych

pasjonatów, którzy drażą skałę w nadziei, że trafią w końcu na żyłę złota.

Potem zobaczyła grób, nieopodal wejścia do kopalni. Jakaś miłosierna dusza postawiła na nim krzyż z wrytym nazwiskiem. Uklękła i dotknęła skalistej ziemi, pod którą spoczywał jej ojciec.

Oszukał ją. Przez dwanaście lat okłamywał ją, pisząc o bogatych złóżach. Roztaczał przed nią wizję pięknego domu z salonem i drewnianymi posadzkami. Czy sam w to wierzył? Kiedy się z nią żegnał, złożył jej pewną obietnicę.

„Będiesz miała wszystko, czego dusza zapagnie, moja słodka Sarah. Wszystko, czego chciałaby dla ciebie twoja matka”.

I dotrzymał obietnicy - z jednym wyjątkiem. I to bardzo istotnym. Nie dał jej samego siebie. A ona przez te lata tak naprawdę chciała tylko jednego - być z ojcem.

Mieszkał w glinianej chacie na pustkowiu, po to tylko, żeby ona mogła mieć ładne sukienki i nowe pończoszki. Żeby mogła się uczyć, jak podawać herbatę i jak tańczyć walca. Wszystko, co udało mu się wygrzebać z tej dziury, szło na pokrycie kosztów jej pobytu w przyklasztornej szkole w Filadelfii.

A teraz ojciec nie żyje. Umarł, a ona tylko jak przez mgłę przypominała sobie twarz. Utraciła go. Na zawsze.

- Papo, nie wiedziałeś, że to nie miało znaczenia? - Wreszcie dała upust łzom.

Długo nie wraca. Zbyt długo. Jake już miał za nią pójść, kiedy zobaczył, jak nadchodzi od strony kopalni. W pewnym momencie przystanęła i spojrzała z góry na dom, w którym jej ojciec mieszkał ponad dziesięć lat. Zdjęła czepek

i trzymała go za wstążki. Stała przez chwilę nieruchomo jak posąg - szczupła i elegancka o alabastrowej cerze. Włosy miała upięte do góry, ale kilka pasemek wymknęło się, tworząc złocistą aureolę wokół twarzy.

Jake po raz ostatni zaciągnął się papierosem. Piękna dziewczyna, pomyślał, patrząc na jej sylwetkę rysującą się na tle skał. Na jej widok krew zaczynała szybciej krążyć w żyłach. A potem nagle go zobaczyła. Uniosła dumnie głowę i zaczęła schodzić po zboczu.

- Panie Redman. - Choć miała zaczerwienione oczy i poblądle policzki, jej głos brzmiał mocno i zdecydowanie. - Przepraszam za tę scenę, którą przed chwilą urządziłam.

Na moment oniemiał, bo powiedziała to tak, jakby właśnie siedzieli w salonie przy herbatce.

- Nie mówmy o tym. Możemy wracać?

- Co pan powiedział?

Jake wskazał na wóz. Sarah zobaczyła, że zdążył już załadować z powrotem jej bagaże.

- Pytałem, czy możemy wracać?

Spojrzała na swoje dłonie. Rękawiczki były brudne. Zdejmując je, pomyślała, że nigdy już nie będzie tak samo jak dawniej. Wzięła głęboki oddech.

- Myślałam, że się zrozumieliśmy. Zostaję w tym domu.

- Niech pani nie będzie głupia. Me ma tu pani czego szukać.

- Czyżby? - W jej oczach malowała się determinacja. - Niech się dzieje, co chce. Zostaję. Byłabym wdzięczna, gdy by wniósł mi pan kufry. - Minęła go i weszła do domu.

- Nie wytrzyma tu pani nawet jednego dnia.

Spojrzała na niego przez ramię.

- To pańska opinia, panie Redman!
- To są fakty.
- Chce się pan założyć?
- Posłuchaj, księżniczko, to trudny kraj, nawet dla tych, co się tu urodzili. Upał, węże, kojoty - nie mówiąc już o Apaczach.
- Dziękuję, że mi pan o tym przypomniał. A teraz proszę przynieść moje bagaże.
- Co za głupia baba - mruknął, wracając do wozu. - Chce pani tu zostać - dobrze! Guzik mnie to obchodzi. - Wrzucił kufer do domku, a Sarah stała obok, z rękami skrzyżowanymi na piersi.
- Po co ten język, panie Redman?
W odpowiedzi zaklął głośno, po czym wniósł kolejny kufer.
- Zmieni pani zdanie, kiedy zrobi się ciemno. Wtedy nikogo już tu nie będzie.
- Nie zmienię zdania, ale dziękuję, że pan się o mnie troszczy.
- To nie moje zmartwienie - mruknął, lekceważąc jej ironiczny ton. Wniósł resztę pudełek i postawił je za drzwiami.
- Mam nadzieję, że oprócz strojów balowych zabrała też pani coś do jedzenia.
- Zapewniam pana, że dam sobie radę. - Podeszła bliżej. - Może mi pan powiedzieć, gdzie tu jest woda?
- Pół kilometra stąd na wschód jest strumyk.
- Pół kilometra? - Próbowała nie okazywać przerażenia.
- Rozumiem. - Ośloniła oczy i spojrzała w dal.
Jake zaklął cicho, chwycił ją za ramiona i odwrócił w przeciwną stronę.

- Tam jest wschód, księżniczko.
- Ach tak. - Cofnęła się. - Dziękuję, że mi pan pomógł. Życzę miłego dnia - dodała, po czym zatrzasnęła mu przed nosem drzwi.

Słyszała, jak odjeżdżając, kłął głośno i gdyby nie to, że była taka zmęczona, może by ją to nawet rozśmieszyło. Była również zbyt wyczerpana, żeby jego słownictwo mogło ją oburzyć. Skoro miała tu zostać, musiała się przyzwyczaić do prostych mężczyzn o szorstkich manierach.

Zostanie tu. Jeżeli to wszystko, co ojciec jej zostawił, postara się zrobić z tego jak najlepszy użytek.

Patrzyła za Jakiem tak długo, aż stał się obłoczkiem kurzu niknącym w oddali. Teraz była już zupełnie sama. Nie miała nikogo.

To nieprawda, miała jednak siebie. A nawet jeśli jedynym jej majątkiem jest gliniana chata, poradzi sobie. Jake Redman - ani nikt inny - nie zdoła jej zniechęcić.

Zdjęła żakiet, rozpięła mankiety i zakasała rękawy. Zakonnice zawsze powtarzały, że praca fizyczna rozjaśnia umysł i oczyszcza serce. Teraz zamierzała sprawdzić w praktyce tę maksymę.

Godzinę później znalazła paczkę listów. Na stryszku, który służył za sypialnię.

Ojciec zbierał jej listy! Wszystkie - od pierwszego do ostatniego. Znów poczuła pod powiekami łzy, ale nie pozwoliła im popłynąć. Łzy nie pomogą już ani jej, ani ojcu. Dobrze, że znalazła te listy. To wiele wyjaśnia. Będzie przynajmniej mogła się pocieszać, że myślał o niej, tak jak ona o nim.

Ostatni list, w którym pisała, że przyjeżdża, musiał przyjść na krótko przed jego śmiercią. Nadała go dopiero

w dniu, w którym wsiadła do pociągu. Chciała sprawić mu niespodziankę, a poza tym mieć pewność, że nie zdaży już jej powstrzymać.

Zabroniłbyś mi przyjechać, papo? A może wreszcie odkryłbyś przede mną prawdę?

Czy ojciec myślał, że jest zbyt delikatna i słaba, by dzielić z nim takie życie? A może rzeczywiście była taka?

Rozejrzała się wokoło i ciężko westchnęła. Cztery sypialnie, salon z oknami na zachód, pomyślała z gorzkim uśmiechem. Wprawdzie okna rzeczywiście wychodziły na zachód - tak przynajmniej powiedział jej Jake Redman, za to sam dom był niewiele większy niż pokój, który dzieliła z Lucilla. Był nawet zbyt mały, by pomieścić wszystkie rzeczy, które przywiozła z Filadelfii, ale jakoś udało jej się upchnąć kufry w jednym kącie. Żeby sobie poprawić nastrój, wyjęła kilka ulubionych przedmiotów - jeden z jej szkiców, flakonik perfum z niebieskiego szkła, haftowaną poduszczkę oraz lalkę z porcelanową główką, którą ojciec przysłał jej na dwunaste urodziny.

Nie znaczyło to jeszcze, że ta nędzna chata zmieniała się w dom, jednak Sarah od razu poczuła się lepiej.

Schowała listy do blaszanej puszkki przy łóżku. Teraz przyszła pora na bardziej przyziemne sprawy. Po pierwsze - pieniądze. Po zapłaceniu za przejazd zostało jej tylko dwadzieścia dolarów. Nie miała pojęcia, jak długo można tu przeżyć za tę sumę, obawiała się jednak, że niezbyt długo. Po drugie - żywność. Ta kwestia była znacznie bardziej nagląca. Znalazła trochę mąki, kilka puszek fasoli, trochę smalcu i butelkę whisky. Przyciskając rękę do żołądka, pomyślała że będzie się musiała zadowolić fasolą. Teraz pozostało jej już tylko rozpałcić ogień w starym, rozlatującym się piecu.

W skrzynce na opał znalazła kilka szczap oraz pudełko zapalek. Po półgodzinie rozpaczliwych prób, podczas których z jej ust padały słowa, o których istnieniu zakonnice nawet nie miały pojęcia, musiała wreszcie dać za wygraną.

Jake Redman. Spojrzała z rezygnacją na kupkę zwęglonego drewna. Ten człowiek mógł przynajmniej rozpałcić pod kuchnią i przynieść jej wody. Sama miała już za sobą jedną wyprawę do strumienia, skąd udało jej się donieść do domu pół wiaderka.

Trudno, zje fasolę na zimno. Udowodni Jake'owi Redmanowi, że poradzi sobie bez niczyjej pomocy.

Chwyciła nóż myśliwski ojca i wywierciła otwór w wieczku puszkki, a potem usiadła przy kominku i łapczywie pochłonęła całą jej zawartość.

Potraktuje to jako przygodę. Opíše to wszystko swoim przyjaciółkom z Filadelfii. To znacznie ciekawsze niż te mrozące krew w żyłach opowieści, które Lucilla przynosiła z biblioteki i które czytały potajemnie w swoim pokoju.

Kobiety to zazwyczaj bezradne ofiary, czekające, aż uratuje je jakiś bohater. Ona, na szczęście, nie jest bezradna, a w promieniu wielu kilometrów jakoś nie widać żadnego bohatera.

Jake'a Redmana trudno nazwać bohaterem, choć przez moment mogło się tak nawet wydawać, kiedy galopował obok dyliżansu. Jake Redman to gbur. Prostak bez wychowania. O zimnych oczach i wybuchowym temperamencie. Sarah nie tak wyobrażała sobie bohatera. Gdyby jakiś mężczyzna musiał ją ratować - a na to się raczej nie zanosilo - wolałaby kogoś z większą ogładą, na przykład oficera kawalerii. Z szablą u boku, bo szabla to broń dżentelmenów.

Grzbietem dłoni otarła usta i oparła się o ścianę pieca. Nagle straciła równowagę, bo jeden z kafli ustąpił. Przesunęła się, rozcierając stłuczony łokieć, i już miała wsunąć kafel na miejsce, gdy coś przykuło jej uwagę. Przykucnęła, wsunęła rękę w otwór i wyciągnęła płócienny woreczek.

Przygryzając wargi, wysypała na podolek złote monety. Dwieście trzydzieści dolarów. Podniosła ręce do ust, w niemym zdziwieniu, a potem raz jeszcze przeliczyła. Nie było mowy o pomyłce. Do tej pory nie wiedziała, jak wiele może znaczyć pieniądz. Będzie teraz mogła kupić świeżą żywność, opał i wszystko, co będzie jej potrzebne, żeby przeżyć.

Wsypała z powrotem monety do woreczka i ponownie wsunęła rękę w otwór. Tym razem wyciągnęła jakieś papiery. Był to akt własności kopalni.

Co za dziwny człowiek, żeby chować swój majątek w takim miejscu!

Ostatnią i najcenniejszą rzeczą, jaką znalazła w skrytce, był pamiętnik ojca. Sprawilo jej to wielką radość. Ta mała, brązowa książeczka, zapisana drobnym maczkiem, znaczyła dla Sarah więcej niż całe złoto Arizony. Przytuliła ją do piersi tak, jak chciałaby przytulić ojca. Nim wstała, ukryła pod kaflem pieniądze i dokument.

Postanowiła, że co wieczór będzie czytała zapiski z jednego dnia. W ten sposób codziennie będzie się po trochu zbliżać do człowieka, którego tak naprawdę nie знаła. Ale najpierw pójdzie nad strumień, umyje się i przyniesie wody na rano.

Jake zobaczył ją, jak wychodziła z domku, z wiadrzem w jednej i latarką w drugiej ręce. Urządził się wygodnie po-

między pobliskimi skałami. W torbie miał dość suszonego mięsa i sucharów na kolację.

Gdyby go ktoś zapytał, czemu postanowił mieć na nią oko, nie potrafiłby udzielić rozsądnej odpowiedzi. Los tej kobiety jest mu przecież zupełnie obojętny. Ale już wtedy, gdy wracał, klnąc, do miasteczka, wiedział, że nie potrafi odjechać i zostawić jej na pastwę losu.

Może to dlatego, że doskonale wiedział, jak to jest, kiedy człowiek wszystko straci? A może dlatego, że był sam przez tyle lat? Mogło to także mieć coś wspólnego z tym, jak wyglądała, kiedy schodziła z góry, z czepkiem w ręce i śladami łez na twarzy.

Jake nigdy by siebie nie podejrzewał o miękkie serce. Zwłaszcza tam, gdzie w grę wchodziły kobiety. Podniósł się z ziemi i pomyślał, że tkwi tutaj tylko dlatego, że nie ma akurat nic lepszego do roboty.

Postanowił trzymać się za nią w bezpiecznej odległości. Potrafił bezszelestnie przemykać się między skałami i przedzierać przez zarośla - i w słońcu i przy blasku księżyca, Od tego często zależało jego życie. W młodości spędził kilka lat pośród ziomeków swojej babki i nauczył się więcej na temat tropienia i podchodów niż inni przez całe lata.

A co do tej kobiety - nadal miała na sobie tę zabawną spódnicę z żakiekiem oraz buciki dobre na miejskie spacerki. Dwukrotnie musiał przystanąć i zaczekać, żeby utrzymać bezpieczną odległość.

Biedaczka, pewnie skręci nogę, zanim dotrze do celu. To i tak najlepsze, co mogłoby jej się przydarzyć. Odwiozłby ją wtedy z powrotem do miasta. Przypomniał sobie uczucie, z jakim wnosił ją do domu. Nie można powiedzieć, że było

mu nieprzyjemnie. Wręcz przeciwnie. Nagle dziewczyna krzyknęła i wylądowała na pupie, bo dziki królik przebiegł jej drogę.

Jake uśmiechnął się. Nie, ta mała księżniczka z Filadelfii nie przetrwa tu nawet jednego dnia.

Sarah poderwała się na nogi. Nigdy w życiu nie widziała tak wielkiego królika. Zauważyła też, że przy upadku naderwała rąbek spódnicy. Jak kobiety radzą sobie w tutejszych warunkach? W tym upale gorset wrzynał jej się w ciało jak rozpalona zbroja, a modna, wąska spódnica nie pozwalała zrobić normalnego kroku.

Kiedy dotarła nad strumień, usiadła na kamieniu i zaczęła rozpinąć buciki. Co za niebiańska ulga, móc je wreszcie zdjąć! Jeden obcas pękł, ale o to będzie się martwić później. Teraz marzyła już tylko jednym - żeby się ochlapać zimną wodą.

Rozejrzała się podejrzliwie wokoło. To niemożliwe, żeby ktoś tu był. Uczucie, że jest się podglądanym, to rzecz naturalna. Zwłaszcza jeżeli kobieta jest sama w takiej dziczy, a przy tym zaczyna robić się ciemno. Odpięła broszkę z kameą - jedyną pamiątkę po matce - i ostrożnie schowała ją do kieszeni.

Nucać cicho, żeby zagłuszyć lęk, rozpięła bluzkę i położyła ją na kamieniu. A potem, z największą ulgą rozsznurowała gorset i także go zdjęła. Nareszcie mogła normalnie oddychać - po raz pierwszy tego dnia.

Rozebrała się pospiesznie do samej koszuli, a potem zsunęła pończochy.

Cudownie! Zamknęła oczy i z westchnieniem rozkoszy weszła do płytkiego strumyka. Woda, spływająca z gór, była lodowata i kryształowo przejrzysta.

Co ta kobieta wyprawia?! Jake zaklął i odwrócił wzrok. Po co mu te dodatkowe atrakcje? Nigdy by jej nie podejrzewał o to, że zechce się rozebrać i wykapać przed nocą. Obejrzał się i zobaczył, jak nachylona ochlapuje twarz.

Woda zmoczyła bawełnianą koszulę, która tu ówdzie przykleiła się do jej ciała. Kiedy się ponownie nachyliła, falbanki haleczki zafalowały zalotnie. Skulony za głazem, zamiast niej, zaczął przeklinać siebie.

To jego wina. Przecież doskonale wiedział, że najlepiej opłaca się pilnować wyłącznie swoich spraw. Czemu musiał przejeżdżać obok akurat wtedy, gdy Apacze zaatakowali dyliżans? Dlaczego to on musiał powiedzieć jej o śmierci ojca? Czemu poczuł się obowiązkiem, żeby zawieźć ją na miejsce? I po co jej pilnuje?

Powinien zostać w miasteczku. Piłby teraz i zabawiał się u Carlotty, a potem spędziłby noc w miękkiej pościeli. Zjedna z tych kobiet, które wiedzą, czego mężczyźni potrzebują, i nie zadają zbędnych pytań. Z jedną z tych, do których człowiek nie musi przychodzić w niedzielę na herbatkę.

Obejrzał się i zobaczył, że Sarah opadło ramięczko koszuli. Nogi miała mokre i lśniące, a ramiona blade, gładkie i... nagie.

Widocznie zbyt długo był na szlaku. Cholernie długo. Skutki są potem takie, że człowiek zaczyna się oglądać za chudymi pannicami z miasta, które nawet nie potrafią odróżnić zachodu od wschodu.

Sarah napełniła wiadra, na ile jej się to udało, a potem wyszła ze strumienia. Zmierzchało się znacznie szybciej, niż myślała. Ale przynajmniej znowu poczuła się jak człowiek. Na myśl o gorsecie rozboleły ją zębra, więc nawet nie

próbowała go założyć. Narzuciła bluzkę i zaczęła się zastanawiać, czy włożyć pończochy i buty. Skoro nikt tego nie zobaczy... Włożyła spódnice, a z reszty rzeczy zrobiła węzełek. A potem ostrożnie ruszyła w powrotną drogę.

Musiała walczyć z instynktową chęcią pośpiechu. Po zachodzie słońca szybko robiło się chłodno. A poza tym te hałasy... Odgłosy, których nie znała i które ją przerażały. Wycia, pohukiwania i szelesty. Kamienie boleśnie wbijały jej się w stopy, latarka dawała więcej cienia niż światła. Pół kilometra wydawało jej się znacznie dłuższe niż poprzednio.

Znów odniosła niemiłe wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Apacze? Kojoty? Niech diabli wezmą tego Jake'a Redmana. Gliniana chatka wydała jej się teraz podobna do rajy. Prawie biegiem pokonała ostatnie metry, weszła do środka i zarygłowała drzwi.

Pierwszy kojot zawył na widok wschodzącego księżyca.

Sarah zamknęła oczy. Jeżeli uda jej się przeżyć tę noc, zapomni o dumie i wróci do miasteczka.

Nieopodał, wśród skał, Jake szykował sobie posłanie.



ROZDZIAŁ TRZECI

Sarah obudziła się tuż po wschodzie słońca. Przewróciła się na drugi bok, żeby jeszcze chwilę podrzemać, póki pokojówka Lucilli nie przyniesie porannej filiżanki czekolady. Tej nocy miała bardzo dziwny sen. Jakiś mężczyzna o szarych oczach wywiózł ją na rozpalone pustkowie. Był przystojny, jak to mężczyźni w snach, ale przy tym jakiś dziki i nieokrzesany. Cerę miał śniadą, rysy wyraziste, jak wykute w kamieniu, i cień zarostu na twarzy. Kruczoczarne włosy gęstą, niesforną falą opadały mu na kołnierz. Nawet we śnie zastanawiała się, jakby to było zanurzyć w nie

palce.

Miał przy tym w sobie coś swojskiego - jakby go już wcześniej poznała. Gdy zmusił ją do pocałunku, przez myśl przemknęło jej jakieś imię. A potem nie potrzebował jej już więcej namawiać.

Uśmiechnęła się. Będzie musiała opowiedzieć Lucilli swój sen. Pośmieją się trochę, zanim zaczną poranną toaletę. Otworzyła leniwie oczy.

To nie jest biało-różowy pokoik, w którym mieszkała, ilekroć odwiedzała Lucillę. Ani pokój, który zajmowała od lat na pensji u zakonnic.

To domek ojca! Nagle wszystko sobie przypomniała.

To dom ojca, ale jej ojciec nie żyje. A ona została sama na tym świecie. Siłą woli powstrzymała chęć, żeby ukryć twarz w poduszce i zapłakać. Nie wolno jej się rozklejać. Musi podjąć decyzję. A do tego trzeba mieć trzeźwy umysł.

Ubiegłej nocy przez jakiś czas wydawało jej się, że powinna wrócić do miasteczka i za resztę pieniędzy pojechać na Wschód. W najlepszym przypadku przyjmie ją rodzina Lucilli. A w najgorszym - zawsze może wrócić do klasztoru. Myślała tak, zanim zabrała się za czytanie pamiętników ojca. Już dwie pierwsze strony zasiały w jej duszy ziarno zwątpienia.

Pamiętnik ojca zaczynał się w dniu, w którym opuścił Filadelfię i wyjechał na Zachód. Z każdego słowa przebijały miłość i nadzieja. A także głęboki smutek. Bo ojciec wciąż boleśnie przeżywał śmierć swojej żony, a jej matki.

Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, jak zdruzgotany był po stracie bliskiej osoby, i jak bardzo czuł się bezradny, kiedy został sam z córeczką. Na łożu śmierci obiecał żonie, że będzie dbał o ich małą i że niczego jej nie zabraknie.

Przypomniała sobie słowa ojca, zapisane na pośliskim papierze.

„Patrzyłem, jak mnie opuszcza. Nie mogłem zrobić nic, żeby temu zapobiec. Pod koniec cierpiała tak strasznie, że modliłem się, by Bóg zabrał ją jak najszybciej. Moją Ellen, moją najdroższą, słodką Ellen. Jej myśli krążyły tylko wokół mnie i naszej Sarah. Przyrzekłem jej coś. Tylko tyle mogłem dla niej zrobić. Nasza córeczka będzie miała wszystko, o czym dla niej marzyła. Dobrą szkołę i kościół w niedzielę. Zostanie wychowana tak,

jakby sama Ellen ją wychowywała. Na prawdziwą damę. A któregoś dnia będzie miała piękny dom i ojca, z którego będzie mogła być dumna”.

Przyjechał tutaj żeby spróbować szczęścia, pomyślała Sarah, odrzucając cienką derkę. I pewnie zrobił wszystko, na co było go stać. A teraz ona musi zdecydować, co będzie dla niej najlepsze. Zanim zacznie się zastanawiać, najpierw powinna coś zjeść.

Włożyła najstarszą spódnicę i bluzkę i znów wyjęła z kredensu szczupłe zapasy. Poczula, że nie jest w stanie przełknąć kolejnej porcji zimnej fasoli. Może ojciec miał jednak gdzieś jakąś spiżarnię, wędzarnię albo piwniczkę? Otworzyła drzwi i zamrugła, oślepiona słońcem.

Na początku wydało jej się, że to jakieś złudzenie. Ale złudzenia raczej nie pachną, prawda? Więc skąd ten zapach pieczonego mięsa i świeżo zaparzonej kawy? A potem zobaczyła Jake'a Redmana. Siedział w kucki przy ognisku, otoczonym kamieniami. Uniosła lekko spódnicę i zapominając o głodzie, podeszła do niego.

- Co pan tu robi?

Spojrzał na nią, skinął głową, a potem nalał kawy do pociętego, blaszanego garnuszka.

- Jem śniadanie.

- Przejechał pan taki kawał drogi, żeby zjeść tutaj śniadanie? - Nie widziała, co takiego obracał na rożnie, ale jej żołądkowi było już wszystko jedno.

- Nie. - Jake skosztował mięsa i uznał, że jest gotowe. - Nigdzie nie odjeżdżałem. - Skinął w stronę skał, - Tam spędziłem noc.

- Tam? - zdumiała się Sarah. - Ale dlaczego?
Jake ponownie obrzucił ją badawczym spojrzeniem, pod wpływem którego ręce zaczęły jej drżeć. Nagle, choć to głupie, przyszło jej do głowy, że musiał ją widzieć rozebraną do koszuli.

- Powiedzmy sobie, że do miasteczka było za daleko.
- Chyba pan mnie nie pilnował, panie Redman? Mówiłam przecież, że dam sobie... Co to jest?
Jake jadł palcami, z wyraźnym apetytem.
- Królik.
- Królik? - Zmarszczyła nos, jednak żołądek ją zdradził. - I pewnie złapał go pan na moim terenie?
Aha, więc to już jej teren.
- Może i tak.
- Jeżeli tak, to mógłby się pan przynajmniej podzielić.
Jake podał jej kawałek mięsa.
- Proszę się poczęstować.
- Nie ma pan... a zresztą... To nieważne.
„Jeśli wszedłeś między wrony...”, pomyślała, wzięła mięso i kubek z kawą i usiadła na kamieniu.
- Jadła pani kolację?
- Tak, dziękuję. - Nigdy w życiu nic jej tak nie smakowało jak ten pieczony królik o poranku. - Świetny z pana kucharz, panie Redman.
- Ujdzie. - Podsunął jej kolejny kawałek. Tym razem wzięła go bez wahania.
- Naprawdę. - Przyłapała się na tym, że mówi z pełnymi ustami i że wcale jej to nie przeszkadza. - To jest pyszne. - Po czym, będąc prawie pewna, że Jake w torbach przy siodle nie ma ręczników, oblizała ze smakiem palce.

- A w każdym razie lepsze niż puszka zimnej fasoli - zauważył.

Spojrzała na niego ostro, ale on nawet na nią nie patrzył.

- Chyba tak - przyznała. Jak ma się zachować? Nigdy dotąd nie jadła śniadania z mężczyzną. Chyba najlepsza będzie lekka, niezobowiązująca konwersacja.

- Niech mi pan powie, panie Redman, czym się pan zajmuje.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Ale przecież musi pan coś robić?

- Nie. - Jake oparł się o skałę, wyjął prymkę tytoniu i zaczął skręcać papierosa. Patrząc na Sarah, pomyślał, że wygląda świeżo jak różany pączek. Można by pomyśleć, że spędziła noc w jakimś luksusowym hotelu, a nie w glinianej chacie.

Sarah zaczęła podejrzewać, że prowadzenie rozmowy przy śniadaniu składającym się z pieczonego królika wymaga jakichś szczególnych umiejętności. Wygladziła spódnice i znów spróbowała:

- Od dawna mieszka pan w Arizonie?

- Czemu pani pyta?

- Ja... - Zmieszała się pod jego spojrzeniem. - Tak sobie. Z czystej ciekawości.

- Nie wiem jak w Filadelfii - nie spuszczać z niej wzroku wyjął zapałkę, potarł o kamień i zapalił papierosa - ale tutaj ludzie nie lubią, jak się ich tak wypytuje.

- Rozumiem - odparła, lekko urażona. Nie spotkała dotąd równie nieokrzesanego człowieka. - W cywilizowanym społeczeństwie takie pytania to po prostu pretekst do nawiązania rozmowy.

- Tutaj to pretekst do bójki. - Zaciągnął się dymem. - Chcesz ze mną powalczyć, księżniczko?

- Byłabym wdzięczna, gdyby przestał mnie pan tak tytułować.

Jake znów się uśmiechnął.

- Wygląda pani jak księżniczka. Zwłaszcza kiedy jest pa ni wściekła.

Uniosła wyzywająco podbródek.

- Zapewniam pana, że nie jestem ani trochę wściekła - powiedziała, siłąc się na spokój - chociaż parokrotnie był pan niegrzeczny, denerwujący i uparty. Tam, skąd ja pochodzę, panie Redman, kobieta ma prawo spodziewać się po mężczyźnie nieco większej ogłady.

- Naprawdę? - Ku jej przerażeniu Jake nagle wyciągnął broń. - Nie ruszaj się!

Ma się nie ruszać? Wolne żarty! Nie była nawet w stanie oddychać. Matko Boska! Powiedziała tylko, że był niegrzeczny, a on chce ją za to zastrzelić?!

- Panie Redman, ja nie...

Kula trafiła w skałę, tuż obok. Sarah z krzykiem rzuciła się na ziemię. Kiedy wreszcie odważyła się unieść głowę, Jake trzymał w ręku coś długiego i ohydneho.

- Grzechotnik - rzucił jakby nigdy nic. A kiedy z jękiem zakryła oczy, schylił się i pociągnął ją do góry. - Radziłbym się dobrze przyjrzeć - powiedział, potrząsając martwym wężem. - Jeżeli pani tu zostanie, zobaczy ich pani znacznie więcej.

Pogarda w jego głosie pomogła Sarah zwalczyć mdłości.

- Mógłby pan to gdzieś wyrzucić? - wyjąkała.

Jake zaklął półgłosem, odrzucił węża, a potem zaczął

gasić ogień. Sarah poczuła, że śniadanie podjeżdża jej do gardła. Odczekała chwilę, a kiedy żołądek jej się uspokoił, powiedziała:

- Wygląda na to, że znowu uratował mi pan życie.

- Na przyszłość powinna pani bardziej uważać.

- Może pan być tego pewny. - Wyprostowała się i ukryła drżące dłonie w fałdach spódnicy. - Dziękuję za śniadanie, panie Redman. A teraz przepraszam, ale mam masę roboty.

- Radzę zacząć od spakowania swoich rzeczy. Odwiozę panią do miasta.

- Dziękuję za propozycję. - Prawdę mówiąc, jest mi to bardzo na rękę. Muszę zrobić małe zapasy.

- Chyba ma pani na tyle oleju w głowie, by zrozumieć, że pani tu nie pasuje. Stąd do miasta jest dwie godziny drogi. A tutaj nie ma nic oprócz kojotów i węży.

Niestety, wyglądało na to, że ma rację. Noc spędzona w tym domku była najbardziej samotną i okropną nocą w jej życiu. Jednak gdzieś tak pomiędzy królikiem a wężem podjęła decyzję. Córka Matta Conwaya nie dopuści do tego, żeby marzenia i trud jej ojca poszły na marne. Zostanie tu, i niech Bóg ma ją w swojej opiece.

- Mój ojciec tu mieszkał. To miejsce musiało być dla niego ważne. Dlatego zamierzam zostać. - Mówiąc to, poważnie wątpiła, czy Jake Redman, człowiek o kamiennym sercu, potrafi ją zrozumieć. - A teraz, niech pan będzie tak uprzejmy i podprowadzi wóz, a ja tymczasem pójdę się przebrać.

- Przebrać? A po co?

- Jak to po co? Przecież nie mogę jechać do miasta w tym stroju.

Jake obrzucił ją krytycznym wzrokiem. Wyglądała, jakby

się wystroiła do kościoła, w tej swojej wykrochmalonej białej bluzce i perkalowej spódnicy w prążki. Nigdy dotąd nie widział, żeby perkal tak dobrze wyglądał na jakiegokolwiek innej kobiecie.

- Lone Bluff to nie Filadelfia. To zwykła dziura. Mam zaprzęgać? Wedle życzenia. Niech się pani dobrze przyjrzy, jak to się robi, bo następnym razem nie będzie tu nikogo, kto by panią wyręczył. - Przerzucił torby przez ramię i odszedł.

To prawda, on ma rację. Rzeczywiście powinna się nauczyć pewnych rzeczy. A im prędzej to zrobi, tym szybciej przestanie potrzebować pomocy Jake'a Redmana.

Ruszyła za nim z dumnie uniesioną głową. Patrzyła, jak wyprowadza konie, i wydało jej się to całkiem proste. Trzeba tylko tu zahaczyć i tam zawiązać - i już gotowe. Ach, ci mężczyźni. Zawsze przesadzają - nawet w najprostszych sprawach.

- Dziękuję, panie Redman. Proszę jeszcze chwilę zaczekać, zaraz będę gotowa.

Jake nasunął kapelusz na czoło. Czy ta kobieta naprawdę nic nie rozumie? Poprzedniego dnia wywiózł ją z miasta. Jeżeli ją teraz z powrotem przywiezie, jej reputacja będzie zrujnowana. Nawet w Lone Bluff obowiązują pewne zasady. A skoro zdecydowała się tu zostać - przynajmniej na jakiś czas - będzie potrzebowała pomocy i wsparcia wszystkich kobiet w tym mieście.

- Mam trochę własnych spraw do załatwienia, panienko.

- Ale... - zaczęła, ale Jake już podchodził do swojego konia, żeby go osiodłać. Zaciskając usta, wpadła do domu i włożyła do torebki dodatkowe dwadzieścia dolarów. A potem zdjęła ze ściany strzelbę ojca. Nie miała pojęcia, jak się

z nią obchodzić i była pewna, że nie umiałaby jej użyć nawet w najbardziej dramatycznych okolicznościach, czuła się jednak pewniej, mając ją przy sobie. Jakie siedział już w siodle i czekał.

- Ta droga doprowadzi panią prosto do Lone Bluff - powiedział, kiedy zawiązywała wstążki czepka. - A za dolara Lucius odwiezie panią do domu i odstawi potem konie na miejsce. Matt trzymał w stajniach dwa własne konie. Ktoś z miasta ich doglądał.

- Dolara? - Sarah ostrożnie odłożyła broń. - Przecież pan wziął ode mnie pięć dolarów!

- Ale ja nie jestem Lucius - odparł z uśmiechem. Uniósł lekko kapelusz i odjechał.

Usiadła na kozle i zawahała się, zanim chwyciła za lejce. Choć uważała się za świetną amazonkę, nigdy dotąd nie prowadziła zaprzęgu. Chyba jednak nie może to być aż takie trudne?

Może nie aż takie trudne, ale i niezbyt łatwe. Trzy razy musiała oprowadzić konie wkoło podwórza - albo raczej one ją - zanim udało jej się wyjechać na drogę.

Jake siedział w siodle i podglądał ją zza skał. Musiał przyznać, że od miesiący tak zdrowo się nie uśmieiał.

Gdy Sarah dotarła wreszcie do Lone Bluff, była zmęczona i spocona, miała otarte dłonie i poobijane siedzenie. A kiedy przed sklepem zeskoczyła z kozła, nogi się pod nią ugięły. Otrzeпаła spódnice, otarła mokre czoło, po czym zaczęła chłopca, który strugał kijek.

- Chłopcze, znasz może człowieka, który nazywa się Lucius?

- Wszyscy tu znają starego Luciusa.

Wyjęła z woreczka monetę.

- Jeżeli znajdziesz Luciusa i powiesz mu, że panna Sarah Conway chce się z nim zobaczyć, możesz sobie zatrzymać tego pensa.

Chłopiec popatrzył na pieniążek i pomyślał o miętowych cukierkach.

- Dobrze, proszę pani. - i już go nie było.

Przynajmniej dzieci wszędzie są takie same, pomyślała z ulgą.

W sklepie kilku klientów oglądało towar, plotkując przy tym zawzięcie. Na jej widok zamarli, a potem znów zajęli się swoimi sprawami. Zza lady wyszła młoda dziewczyna, żeby ją powitać.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć?

- Dzień dobry. Jestem Sarah Conway.

- Wiem. - Ładniutka brunetka uśmiechnęła się, a w jej policzkach ukazały się wdzięczne dołeczki. Z zazdrością popatrzyła na czepek Sarah. - Przykro mi z powodu pani ojca. Wszyscy lubiliśmy Matta.

- Dziękuję. - Sarah odpowiedziała uśmiechem. - Muszę kupić parę podstawowych rzeczy.

- Więc to prawda, że chce pani tam zostać, w domu Matta?

- Tak. Przynajmniej na razie.

- Ja umarłabym chyba ze strachu. - Brunetka spojrzała na nią z podziwem i wyciągnęła rękę. - Nazywam się Liza Cody. Witamy w Lone Bluff.

- Dziękuję.

Z pomocą Lizy Sarah zrobiła zakupy i zawarła pierwsze znajomości. W ciągu dwudziestu minut została przedstawiona

połowie kobiet w Lone Bluff, dostała przepis na biszkopty, a także poproszono ją o wyrażenie opinii na temat materiału, który dopiero co przywieziono z St. Joe.

Nastrój poprawiał jej się z minuty na minutę. Mieszkancki Lone Bluff ubierały się może mniej modnie niż kobiety na Wschodzie, ale okazały się równie życzliwe.

- Proszę pani!

Sarah odwróciła się i zobaczyła Luciusa, z kapeluszem w rękę. Towarzyszący mu chłopiec podskakiwał radośnie, w oczekiwaniu na obiecaną monetę. A kiedy ją dostał, rzucił się do słojów ze słodyczami, żeby się potargować.

- Panie...

- Wystarczy Lucius, panienko.

- Mógłbyś mi odwieźć zakupy do domu, a potem odstawić wóz i konie do miasta?

Lucius podrapał się w głowę.

- Może i tak.

- Dam ci za to dolara.

Lucius uśmiechnął się od ucha do ucha, odsłaniając przy tym mocno przerzedzone, pożółkłe zęby.

- Skoro tak, chętnie pani pomogę, panno Conway.

- Może wobec tego zaczniesz ładować worki na wóz? - powiedziała Sarah, po czym zwróciła się do Lizy - Panno Cody!

- Proszę mi mówić Liza.

- Lizo, macie może herbatę? Chciałabym też kupić tuzin świeżych jajek.

- Nie ma tu zbyt wielkiego popytu na herbatę, ale jest mały zapas na zapleczu. - Liza otworzyła drzwi do magazynu. Trzy tłuściutkie szczeniaki przemknęły jej pod nogami.

- John! Ty mały potworze! Mówiłam ci, żebyś trzymał psy na zewnątrz.

Sarah przykucnęła ze śmiechem, żeby je pogłaskać.

- Takie rozkoszne!

- Jeden może i tak - mruknęła Liza. Jej braciszek, jak na złość, zawsze gdzieś zniknął, kiedy był najbardziej potrzebny. - Z trzema nie sposób wytrzymać. Tej nocy pogryzły worek z karmą. Jak się ojciec dowie, spuści Johnny'emu lanie.

Brązowy szczeniak z czarną łatką na oku wskoczył Sarah na podolek, polizał ją i w tej samej chwili podbił jej serce.

- Ale z ciebie czaruś - powiedziała, ocierając ze śmiechem twarz.

- Raczej skaranie boskie!

- A może byś mi go sprzedała?

- Mani go sprzedać? - Liza sięgnęła po herbatę na górnej półce. - Tata chętnie dopłaci, byle się go pozbyć.

- Naprawdę? - Sarah wstała ze szczeniakiem w ramionach. - Chciałabym mieć psa. Przydałby mi się do towarzystwa.

Liza dopisała do rachunku herbatę i jajka.

- Jeśli chce go pani zabrać, to proszę go wziąć od razu.

- Uśmiechnęła się, bo piesek znów polizał Sarah. - Wygląda na to, że już panią polubił.

- Będę o niego dbała. - Sarah wyjęła pieniądze, żeby zapłacić. - Dziękuję za wszystko.

Liza przeliczyła monety, wrzuciła je do szuflady i wydała resztę. Tata będzie rad. Nie tylko z powodu szczeniaka, ale i nowej klientki. Dobrze też, że panna Conway jest młoda i ładna, bo na pewno zna się na modzie.

- Miło mi było panią poznać, panno Conway.

- Mam na imię Sarah.

Liza znowu się uśmiechnęła i odprowadziła Sarah do drzwi.

- Chętnie cię któregoś dnia odwiedzę, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Będzie mi bardzo miło. Przyjeżdżaj, kiedy tylko masz ochotę.

Nagle Liza podniosła rękę i szybko przygładziła włosy.

- Dzień dobry, panie Carlson - powiedziała i zarumieniła się, chociaż mężczyzna wzrok utkwiał w Sarah. - Sarah, to jest pan Samuel Carlson. Panie Carlson, to panna Sarah Conway.

- Bardzo mi miło. - Carlson uśmiechnął się. Jego blada twarz stała się przy tym jeszcze bardziej pociągająca, a oczy jeszcze bardziej niebieskie. Kiedy dwornym gestem podniósł rękę Sarah do ust, poczuła podwójną radość, że wybrała się do miasteczka.

Więc jednak w Lone Bluff są jacyś dżentelmeni. Samuel Carlson - wysoki i szczupły - świetnie prezentował się w czarnej pelerynie oraz śnieżnobiałej koszuli. Krótko przystrzyżone wąsy miały ten sam ciemnobrazowy odcień, co starannie uczesane włosy. Podczas powitania zdjął kapelusz jak prawdziwy dżentelmen. Elegancki kapelusz. Czarny jak jego peleryna, ze srebrnym łańcuszkiem zamiast wstążki.

- Zechce pani przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia, panno Conway - powiedział Carlson. - Ojciec pani był dobrym człowiekiem i wspaniałym przyjacielem.

A jego córeczka to zdecydowanie apetyczny kąsek, dodał w duchu. Zwłaszcza w takiej dziurze jak Lone Bluff.

- Dziękuję. To dla mnie pociecha, że zostawił po sobie dobrą pamięć.

- Mówi się w mieście, że zatrzyma się pani w mieście przez jakiś czas. - Wyciągnął rękę i podrapał szczeniaka za uszami, na co piesek głośno warknął.

- Cicho! - Sarah uśmiechnęła się przepraszająco. - Tak, postanowiłam zostać. Przynajmniej na razie.

- Mam nadzieję, że da mi pani znać, gdyby potrzebowała pomocy. - Carlson znów się uśmiechnął. - Nie wątpię, że przywykła pani do innego życia.

Powiedział to w taki sposób, że jasne było, iż miał to być komplement. Sarah doszła do wniosku, że pan Carlson jest człowiekiem światowym.

- Dziękuję. - Podała Luciusowi szczeniaka i pozwoliła panu Carlsonowi odprowadzić się do wozu.

- Miło mi było pana poznać.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Conway.

- Do zobaczenia, Lizo. Mam nadzieję, że wkrótce mnie odwiedzisz. - Sarah wzięła szczeniaka na kolana i na swoje nieszczęście spojrzała na drugą stronę ulicy. Stał tam Jake, oparty o słup, i przyglądał jej się uważnie, z rękami w kieszeni. Skinęła oziębło głową, a potem odwróciła wzrok.

Kiedy wóz odjechał, obaj mężczyźni skrzyżowali spojrzenia. Nie wymienili żadnych ukłonów czy pozdrowień. Patrzyli tylko na siebie, zimno i czujnie, ponad zakurzonym pasem drogi.

Sarah była w siódmym niebie. Kiedy rozpakowywała zapasy, szczeniak skakał jej radośnie pod nogami. Pomyślała, że nocami nie będzie się czuła taka samotna, mając przy

sobie żywe stworzenie. Poza tym, poznała ludzi z miasteczka i była na najlepszej drodze, żeby się z paroma osobami zaprzyjaźnić. Miała pełną spiżarnię, a Lucius obiecał, że jej pokaże, jak rozpalać w starym piecu.

Jeszcze dziś wieczorem, po kolacji, napisze do Lucilli i do matki przełożonej. A potem przeczyta parę stron z dziennika ojca i położy się spać.

Jake Redman może się wypchać, pomyślała, nachylając się, żeby połaskotać szczeniaka w brzuszek. Wygląda na to, że sobie poradzi.

Ze szklaneczką whisky w rękę Jake przyglądał się, jak Carlotta krąży po sali. Musiał przyznać, że miło było na nią popatrzeć. Włosy miała koloru złotych samorodków wydobytych z dna strumienia, a usta karminowe jak aksamitne draperie w jej buduarze.

Tego wieczoru włożyła czerwoną suknię, która uwypuklała jej ponętne kształty oraz odsłaniała biały dekolt i ramiona. Jake zawsze był zdania, że nagie ramiona wystarczą, by sprowadzić mężczyznę na złą drogę.

Pomyślał o Sarah stojącej po kostki w strumieniu i kroplach wody, połyskujących na jej skórze.

Pociągnął kolejny łyk whisky.

Dziewczęta Carlotty miały na sobie bardzo wymyślne kreacje. Mężczyźni wiedzieli, za co płacą w „Srebrnej Gwieździe”. Dźwięki pianina przeplatały się z wybuchami śmiechu, a whisky lała się strumieniami.

Carlotta prowadziła jeden z najlepszych burdeli w Arizonie. Może nawet jeden z najlepszych na zachód od Missisipi. Nie rozcieńczano tu zbytnio whisky, a dziewczęta także były niezłe.

Człowiek był niemal gotów uwierzyć, że naprawdę lubią swoją pracę. Podobnie zresztą jak Carlotta.

Dla Carlotty najważniejsze były pieniądze. Wiedział o tym, bo kiedyś po pijanemu wyznała mu, że inkasuje lwia część zarobków swoich podopiecznych. A jeżeli któryś z klientów uznał za stosowne dołożyć napiwek, z tego także potracą swoją należność.

Marzeniem jej było przenieść się do San Francisco i kupić tam dom z kryształowymi żyrandolami, lustrami w złotych ramach i czerwonymi dywanami. Bo Carlotta uwielbiała kolor czerwony. Ale na razie, podobnie jak oni wszyscy, skazana była na Lone Bluff.

Sącząc whisky, Jake nie spuszczał z niej wzroku. Poruszała się z królewską gracją, jej pełne czerwone wargi wciąż się uśmiechały, a zimne niebieskie oczy zawsze były czujne. Pilnowała, czy dziewczyny namawiają klientów, żeby stawiali im drinki. Wprawdzie napój, który barman serwował dziewczętom, to była po prostu farbowana woda, ale mężczyźni płacili, i to ochoczo, a potem szli do jednego z ciasnych pokoików na piętrze.

Niezły interes, pomyślał Jake, częstując się cygarem, które Carlotta chowała dla lepszych klientów. Sprowadzała je z Kuby - miały ostry, zdecydowany smak. Jake nie miał żadnych wątpliwości, że doliczała je do ceny whisky oraz swoich dziewcząt. W końcu interes to interes.

Jedna z dziewcząt podeszła, żeby przypalić mu cygaro. W odpowiedzi na jej zaproszenie potrząsnął przecząco głową. Była dojrzała i ciepła i pachniała jak bukiet róż. Jake w żaden sposób nie mógł zrozumieć, czemu go to nie interesuje.

- Uraziłeś ją. - Ciągnąc za sobą smugę perfum, Carlotta przysiadła się do jego stolika. - Nie widzisz nic, co by ci odpowiadało?

Jake odsunął się z krzesłem.

- Wszystko mi odpowiada.

Carlotta roześmiała się i dyskretnie dała znak.

- Postawisz mi drinka, Jake? - Nim zdążył odpowiedzieć, jedna z dziewcząt przyniosła kieliszek i nową butelkę. Tym razem nie była to farbowana woda.

- Nie widziałam cię przez jakiś czas.

- Bo mnie tu nie było. -

Carlotta powoli sączyła drinka. Z mężczyznami potrafiła pić do oporu.

- Zostaniesz na dłużej?

- Może.

- Słyszałam, że był napad na dylizans. I o tym, co zrobiłeś. Dobrze uczynki to takie do ciebie niepodobne, Jake. - Pociągnęła łyk L znowu się uśmiechnęła. Miękkim ruchem położyła mu rękę na udzie. - To właśnie w tobie lubię.

- Przejeżdżałem tamtędy zupełnie przypadkowo.

- Słyszałam też, że córka Matta Conwaya jest w mieście. - Wyjęła mu z rąk cygaro i zaciągnęła się dymem. - Pracujesz dla niej?

- Czemu miałbym dla niej pracować?

- Mówi się, że ją tam zawiozłeś. Do domu Matta za miastem. - Carlotta powoli wypuściła obłoczek dymu spomiędzy karminowych warg. - Nie mogę sobie ciebie wyobrazić, jak kujesz w skale w poszukiwaniu złota.

- O ile pamiętam, w tej skale nigdy nie było aż tyle złota, żeby się opłacało tam kopać. - Jake odebrał cygaro

i wsunął je między zęby. - Chyba że wiesz na ten temat coś innego.

- Wiem tylko tyle, co usłyszę, a o Conwayu nie słyszałam zbyt wiele - odparła Carlotta, nalewając sobie drugiego drinka. Nie chciała rozmawiać o kopalni Matta Conwaya ani o tym, co wiedziała. Tego wieczoru w powietrzu było coś, co wprawiało ją w rozdrażnienie. Może potrzebowała czegoś więcej niż whisky? - Cieszę się że wróciłeś, Jake. Bez ciebie było tu zbyt spokojnie.

Dwaj podpici mężczyźni, spragnieni tej samej dziewczyny, zaczęli się nagle okładać pięściami. Czarnoskóry służący wyrzucił obu za drzwi. Carlotta uśmiechnęła się i nalała sobie trzeciego drinka.

- Jeżeli nie interesuje cię żadna z moich dziewcząt, mam dla ciebie inną propozycję. - Uniosła kieliszek, a potem wychyliła go do dna. - Za dawne dobre czasy!

Jake spojrzał na nią. Błękitne oczy lśniły w bladej twarzy, rozchylone wargi uśmiechały się, a w karminowym wycięciu sukni białe piersi falowały ponętnie. Dobrze wiedział, co potrafiła zrobić z mężczyzną, kiedy była w odpowiednim nastroju. I naprawdę nie mógł zrozumieć, czemu go to wcale nie poruszyło.

- Może innym razem. - Wstał, rzucił na stolik kilka monet i wyszedł.

Carlotta pożegnała go złym spojrzeniem. Proponowała sobie tylko nielicznym wybrańcom. Nie przywykła do tego, żeby ktoś jej odmówił.

Sarah zamknęła pamiętnik ojca. Szczeniak dawno zasnął na jej kolanach. Ojciec pisał o ataku Indian, z którego cudem

uszedł z życiem. Prostym, dosadnym językiem opisywał rzeź, strach i zniszczenie. Mimo to pojechał dalej, bo chciał zdobyć coś dla siebie. I dla niej.

Drżąc z zimna mimo ciepłego szala, wstała i schowała pamiętnik do skrytki. Gdyby czytała te słowa w Filadelfii, uznałaby je za przesadę. Teraz zaczynała rozumieć, że to prawda.

Z westchnieniem spojrzała na swoje dłonie. Były wypięłgnowane i gładkie. Zaczynała się obawiać, że nie zdołają udźwignąć ciężaru życia w tych warunkach.

Nie, to tylko noc sprawia, że nachodzą ją tak ponure myśli. Wstała i podeszła do drzwi, żeby je zaryglować. Tego dnia sporo zrobiła. Pojechała sama do miasta, przywiozła zapasy, uporządkowała warzywnik. Bolący kręgosłup świadczył o tym, że ciężko pracowała aż do wieczora. A jutro trzeba będzie zacząć od nowa.

Kiedy usłyszała wycie kojota, serce zaczęło jej walić jak młotem. Przytuliła szczeniaka do piersi i poszła na górę, żeby się położyć do łóżka.

Była już w nocnej koszuli, kiedy piesek zaczął warczeć i szczekać. Złapała go, zanim zdążył spaść na dół ze stryżku.

- Skręcisz sobie kark - powiedziała, a widząc, że pies nadal wrywa się i piszczy, wzięła go na ręce. - No dobrze już, dobrze. Jeżeli musisz wyjść, wypuszczę cię, ale trzeba mi było dać znać, zanim położyłam się do łóżka. - Zeszła na dół i nagle zobaczyła za oknem ogień. - O mój Boże!

Rzuciła się do drzwi. Szczeniak wyskoczył na dwór z wściekłym jazgotem. Trzymając się za głowę, patrzyła, jak płomienie pochłaniają starą drewnianą szopę. Przerażliwy krzyk, jakby kobiety, przeszył nocną ciszę.

Konie! Wiedziona instynktem popędziła ku szopie.

Konie miały już oszalałe oczy i rozpaczliwie rżąc, wyrwały się ze stajni. Szepcząc słowa modlitwy, Sarah wyprowadziła pierwszego i klepnęła go w zad, żeby odbiegł. Ogień rozprzestrzeniał się bardzo szybko - płomienie lizały już ściany i dach. Wysuszone drewno płonęło niczym pochodnia.

Z piekącymi od dymu oczyma dotarła do następnego boksu. Klnąc i kaszląc, zaczęła ciągnąć drugiego konia, który opierał się i stawał dęba. Kiedy płonąca belka upadła tuż za nią, krzyknęła głośno. Ogień był już coraz bliżej i podpełzał do rąbka jej koszuli.

Zerwała z ramion szal i zasłoniła koniowi oczy, po czym siłą wywlokła przerażone zwierzę ze stajni.

Oślepiąca dymem zrobiła kilka kroków w przód. Za plecami usłyszała huk walących się ścian i ryk płomieni, pochłaniających drewno. A więc to koniec. Osunęła się na ziemię i zapłakała z rozpacz.

Nagle uświadomiła sobie, że ogień może się rozprzestrzenić. Przerażona, podniosła się na kolana. Musi w jakiś sposób temu zapobiec! Czy jej się wydaje, czy usłyszała tętent kopyt? Wstała i w tej samej chwili poczuła silny cios w głowę.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Noc była jasna. Na usianym gwiazdami niebie, połyskiwał błyśki sierp księżyca. Jake jechał stępa przez pustynię, tocząc wewnętrzną walkę.

To głupota, czysta głupota, tłuc się tak po nocy, gdy w tej samej chwili mógł leżeć w łóżku z Carlottą. To nie do wiary, co Carlotta potrafiła wyczyniać z mężczyznami. Seks z nią był gorący i niezapomniany. Biznes to biznes.

Dobrze wiedział, kim jest Carlotta i czego można się po niej spodziewać. Manewrowała mężczyznami jak pionkami, ale przynajmniej nie oczekiwała kwiatów i bombonierek czy niedzielnych wizyt.

Za to Sarah Conway - to zupełnie co innego. Kobiety jej pokroju przywykły do eleganckich zalotników. W białej koszuli i pewnie z krawatem. Prychnął pogardliwie i spał konia. Człowiek musiałby sobie wyglansować buty, a potem siedzieć i gadać o niczym. A seks z nią byłby... Zaklął szpetnie; koń zastrzygł uszami. Nie, z takimi istotami nie uprawia się seksu. Nie warto nawet o tym myśleć. A nawet gdyby...

Tak czy owak, jego to nie interesuje.

A skoro nie, to po co jedzie do niej w środku nocy?

- Ty głupcze - mruknął sam do siebie.

Gdzieś przez zarośla przemknął polujący kojot. Życie to walka i kto chce ją wygrać, musi być bezwzględny. Jake

rozumiał to i dawno się z tym pogodził Ale Sarah... Potrząsnął głową. Dla niej życiową kwestią był pewnie dobór wstążek do koloru sukni.

Tak... Najlepiej byłoby teraz zawrócić do miasta. A może nawet wybrać się do Tombstone? Mógłby tam znaleźć jakąś pracę. A jeszcze lepiej będzie pojechać w góry. Powietrze jest tam rześkie i pachnie żywicą. Nic go przecież nie trzyma w Lone Bluff. Zawsze był wolnym strzelcem i zamierzał nim nadal pozostać.

Mimo to dalej podążał w tym samym kierunku.

Kiedy wróci z gór - o ile oczywiście wróci - panny Sarah Conway, dziewczyny o piwnych oczach i białych ramionach, już tu nie będzie. Przecież trzyma ją tylko upór. Nawet największy upór kiedyś się wyczerpie. A kiedy ona stąd wyjedzie, on przestanie się obawiać, że jest o krok od popełnienia niewybaczalnej omyłki.

Według Jake'a mężczyźni postępowali błędnie z trzech powodów: dla pieniędzy, przez whisky i przez kobiety. Dla niego żaden z tych trzech powodów nie był wart ryzyka. Te go również nie zamierzał zmieniać.

Nawet jeżeli ta kobieta jest inna niż wszystkie. I to go właśnie najbardziej niepokoiło. Dotąd nie miał najmniejszych kłopotów z rozszyfrowaniem ludzi. Udało mu się dzięki temu ująć z życiem z wielu niebezpiecznych sytuacji. Sarah Conway nie potrafił rozgryźć. Nie mógł też zrozumieć, co jest w niej takiego, że od początku tak się o nią troszczy. Czyżby to miało znaczyć, że z wiekiem złagodniała? Miał nadzieję, żenię!

A jednak miał do niej pewną słabość. Może dlatego, że przebyła taki kawał drogi tylko po to, by się dowiedzieć,

że jej ojciec nie żyje. Zachowała się przy tym tak godnie. Trzeba mieć charakter, żeby się zdecydować na pozostanie w takiej dziurze jak Lone Bluff. Może to głupie, ale czuł do niej coś w rodzaju szacunku i podziwu.

No cóż... Wzruszył ramionami. Tak czy owak był już niedaleko chaty Conwaya. Co mu szkodzi sprawdzić - tak przy okazji - czy ta panienka nie odstrzeliła sobie stopy strzelbą swojego tatusia.

Zapach dymu poczuł, zanim zobaczył ogień. Uniósł czujnie głowę jak wilk, który wywęszył zapach wroga. A kiedy dostrzegł pierwsze płomienie, spiął konia i puścił się galopem. Co znowu wmyśliła ta uparta kobieta?

Mógł na palcach ręki policzyć przypadki, kiedy naprawdę się bał. Nie miał ochoty na powtórkę tego doświadczenia. A jednak znów poczuł gorzki smak strachu, a wyobraźnia podsunęła mu wizję Sarah, płonącej żywcem w starej chacie.

Przed oczyma stanął mu kolejny obraz, z odległej przeszłości. Przypomniawszy sobie ogień, płacz i strzelaninę. Tamtej nocy także czuł strach. Strach, nienawiść i ból. Przysiągł sobie wtedy, że nigdy więcej nie dopuści do siebie tych uczuć. Kiedy zobaczył, że płonie tylko stara szopa, poczuł ulgę i zwolnił. Gdy przepalony dach runął z hukiem, dostrzegł dwóch jeźdźców znikających między skałami. Nim znalazł Sarah, odzyskał zimną krew i zdążył wyjąć broń. Zsunął się w biegu z konia i przypadł do niej.

Leżała na ziemi, twarz miała bladą i pachniała dymem. Kiedy ukląkł, mały brązowy szczeniak zaczął na niego warczeć. Niecierpliwie odsunął go na bok.

- Jeżeli chcesz jej pilnować, to się spóźniłeś.

Przygryzając wargi, przycisnął rękę do jej serca. Kiedy

wyczuł wolne bicie, coś w nim drgnęło. Delikatnie uniósł jej głowę i poczuł na palcach ciepłą krew. Mrużąc oczy, spojrzał na skały. A potem ostrożnie wziął Sarah na ręce i wniósł do domu.

Jedynym miejscem, gdzie mógł ją wygodnie położyć, było legowisko na stryszku. Kiedy wnosił Sarah na górę, szczeniak zaczął rozpaczliwie piszczeć. Uciszył go i zabrał się do opatrywania rany. Co za szczęście, że ta dziewczyna miała na tyle rozumu, żeby przynieść trochę wody.

Zaczadzona i obolała Sarah poczuła zimny dotyk na skroni. W pierwszej chwili pomyślała, że to siostra Angelina, zakonnica o łagodnym głosie, która zawsze pielęgnowała ją w chorobie. Dlatego też, mimo bólu, poczuła się bezpiecznie. Dobrze jest leżeć we własnym łóżku, wiedząc, że zaraz ktoś się nią zajmie i wszystko będzie dobrze.

Chwyliła siostrę Angelinę za ręce. Ku jej zdziwieniu okazały się duże i szorstkie. Czy to wrócił jej ojciec? Otworzyła oczy.

Wszystko wokół było zamazane i falowało, jakby patrzyła przez wodę. Powoli skupiła wzrok na twarzy, wyłaniającej się zza mgły. Pamiętała tę twarz, ogorzałą, o ostrych rysach. Czy nie o niej już kiedyś śniła? Zdezorientowana, uniosła rękę, żeby jej dotknąć. Twarz była nieogolona i ciepła. Szare oczy, pomyślała na wpeł przytomnie. Szare oczy i szary kapelusz. Tak, to jego widziała we śnie.

- Nie - wyszeptała z trudem. - Niech mnie pan nie całuje. Na twarzy pojawił się uśmiech tak spontaniczny i ujmujący, że niemal zapragnęła go odwzajemnić.

- Chyba potrafię nad sobą zapanować. Niech pani to wy pije.

Przytknął jej kubek do ust, a ona łapczywie upiła łyk. Whisky sparzyła jej gardło.

- To okropne! Nie chcę!

- Żeby pani odzyskała kolory - powiedział, ale odstawił kubek.

- Chciałam tylko... - Whisky już zaczęła działać. I to do tego stopnia, że musiał ją przytrzymać, bo zamierzała wyskoczyć z łóżka. Koszula podwinęła jej się do kolan i zsunęła z ramienia.

- Chwileczkę. Proszę nie wstawać, bo się pani przewróci.

- Ogień! - Kaszlnęła. Gardło miała obolałe. Uchwyciła się Jake'a i oparła mu głowę na piersi, żeby nie stracić równowagi. - Pali się!

- Wiem. - Z ulgą pogłaskał ją po włosach. - Już po wszystkim.

- Może się rozprzestrzenić. Muszę coś z tym zrobić.

- Nie ma potrzeby. - Delikatnie pogłaskał ją po plecach. - Nic więcej nie może się już spalić. Nie ma wiatru. Spłonęła tylko szopa.

- Wyprowadziłam konie - wyszeptała. Zakręciło jej się w głowie. Skronie pulsowały, ale dotyk rąk Jake'a był tak kojący, że nie chciało jej się otwierać oczu. - Bałam się, że nie potrafię.

- Świetnie się pani spisała. - Chciał powiedzieć coś więcej, ale nie wiedział jak, więc tylko sięgnął po mokry ręcznik i otarł jej twarz. - A teraz proszę odpocząć.

- Niech pan nie odchodzi. - Chwyliła go za rękę i wtuliła w nią policzek. - Proszę, niech pan zostanie.

- Nie mam zamiaru stąd odejść. - Walcząc sam ze sobą, odgarnął jej włosy z czoła. - Niech się pani prześpi.

Tak, niech lepiej śpi, bo jeśli otworzy oczy i popatrzy na niego, jeśli znów go dotknie, przestanie za siebie ręczyć.

- Szczeniak narobił hałasu. Myślałam, że chce wyjść na dwór, więc... - Nagle otrzeźwiała. Otworzyła szeroko oczy. - Panie Redman. Co pan tu robi? Tu! - powtórzyła ze zgrozą, rozglądając się po stryszku. - Przecież jestem nieubrana!

Jake ze spokojem wrzucił ręcznik do miski.

- Nietrudno to zauważyć. - Błysk w oczach Sarah świadczył o tym, że zaczynała dochodzić do siebie. Musiał przyznać, że miło było na nią popatrzeć. - Lepiej się pani czuje? - zapytał, okrywając ją derką.

- Panie Redman! - wykrztusiła z zażenowaniem. - Nie mam zwyczaju zabawiać mężczyzn w mojej sypialni.

Jake sięgnął po kubek i pociągnął spory łyk whisky. Dopiero teraz dotarło do niego, jak bardzo się o nią bał. Co tu kryć - był śmiertelnie przerażony.

- Rzeczywiście, opatrywanie głowy to świetna zabawa. Sarah podparła się na łokciach. Ściany zawirowały. Z jej karkiem chwyciła się za kark.

- Musiałam się uderzyć w głowę.

- Pewnie tak. - Pomyślał o jeźdźcach, ale nic nie powiedział. - Skoro podniosłem panią z ziemi i przytaszczyłem aż tutaj, mam chyba prawo wiedzieć, co się stało?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. - Z westchnieniem opadła na poduszkę, którą kupiła tego samego dnia. Oczywiście miał prawo wiedzieć, co się stało. Tak czy owak, bardzo chciała to komuś opowiedzieć. - Leżałam już w łóżku, kiedy pies zaczął szczekać. Koniecznie chciał wyjść, więc zesłam na dół i wtedy zobaczyłam ogień. Nie wiem, skąd się wziął.

Kiedy karmiłam konie, było jeszcze jasno. Nie brałam lampy do stajni, nie mogłam zaproszyć ognia.

Jake miał podejrzenia, ale wolał je zachować dla siebie. Przynajmniej na razie.

- Pobiegłam wypuścić konie. - Sarah dotknęła obolałej głowy i zamknęła oczy. - Palilo się na całego. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Dach się walił. Konie były przerażone. Nie chciały wyjść. Czytałam gdzieś, że konie tak bardzo boją się ognia, że często nie sposób ich wyprowadzić. Bałam się, że spłoną żywcem, Nie mogłam znieść tej myśli.

- Więc poszła pani do stajni, żeby je wypuścić?

- One krzyczały. Jak ludzie. - Zmarszczyła brwi. - To było straszne.

- Wiem. - On także przypomniał sobie pewną stajnię i pewien pożar, tylko że tamte konie nie miały aż tyle szczęścia.

- Kiedy je wyprowadziłam, nie wiedziałam, co robić dalej. Zakrztusiłam się dymem i upadłam. A gdy próbowałam się podnieść, poczułam uderzenie. Może kopnął mnie któryś z koni? A może po prostu zemdlałam? - Otworzyła oczy i spojrzała na Jake'a. Siedział na brzegu łóżka. Włosy miał potargane, a oczy skupione. Piękne oczy... Co się z nią dzieje? Może z tego wszystkiego pomieszało jej się w głowie? - A potem pan się zjawił. Co pan tu robił?

- Przejeżdżałem obok i zobaczyłem ogień, - Zajrzał do kubka. Jeżeli posiedzi tu jeszcze chwilę, będzie potrzebował bardzo dużo whisky. - Widziałem też dwóch uciekających jeźdźców.

- Uciekali stąd? - Mimo bólu wyprostowała się, urażona.

- Chce pan powiedzieć, że ktoś tu był i nie próbował mi pomóc?

Jake obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem. Była taka delikatna, że aż chciało się umieścić ją w szklanej gablocie. Delikatna czy nie, musiała się dowiedzieć, co jest grane.

- Moim zdaniem, nie zjawili się po to, żeby pomagać. - Zobaczył w jej oczach lęk. Tego się właśnie spodziewał. A potem gniewny błysk, który wzbudził w nim respekt.

- Weszli na moją ziemię? Podpalili szopę? Dlaczego? Zapomniała, że ma na sobie tylko nocną koszulę, że jest już grubo po północy, a ona znalazła się w sypialni z obcym mężczyzną. Usiadła; kołdra zsunęła się. Drobne, krągłe piersi falowały ze wzburzenia. Rozpuszczone włosy połyskiwały złociście w świetle lampy, gniew przywrócił kolor jej policzkom i blask oczom. Jake jeszcze jej takiej nie widział. Zresztą, do tej pory raczej jej się nie przyglądał. Teraz przyszło mu nagle do głowy, że można by zanurzyć ręce w te włosy, ale zaraz odegnał od siebie tę myśl. Dopił whisky i pomyślał, że powinien skupić się na ważniejszych sprawach.

- Wygląda na to, że ktoś chciał panią wpędzić w kłopoty. Albo zniechęcić do przejęcia spadku po ojcu.

- Przecież to bez sensu. - Sarah wychyliła się w jego stronę. Cienka koszula rozsunęła jej się na piersiach. Jake odwrócił wzrok. - Komu mogłoby zależeć na glinianej chacie i kilku rozpadających się szopach?

- Jest jeszcze kopalnia. - Jake odstawił kubek. - Ludzie robią dla złota znacznie gorsze rzeczy.

- Dla złota? - prychnęła pogardliwie. - Przecież mój ojciec żyłby zupełnie inaczej, gdyby tu było jakiegokolwiek złoto.

- Jeżeli pani tak uważa, po co pani została?

Wzrok Sarah powędrował gdzieś daleko, a potem spoczął na Jake'u.

- I tak pan mnie nie zrozumie. To wszystko, co mam. Ojciec zostawił mi tylko tę posiadłość i złoty zegarek. - Wzięła zegarek z nocnego stolika i zamknęła go w dłoni. - Co moje, to moje. Nie zamierzam ustąpić. Jeżeli ktoś chciał mi zrobić głupi kawał...

- Może to miał być kawał - przerwał jej Jake - ale moim zdaniem ktoś uważa, że to miejsce jest warte znacznie więcej, niż pani myśli. Podpalenie stajni i ogłuszenie kobiety to nie są żarty. Nawet tutaj, w Lone Bluff.

Bezwiednie dotknęła obolałej głowy. Ten człowiek twierdzi, że ktoś ją umyślnie uderzył. Chyba ma rację. Wzdrygnęła się. O tak, on z całą pewnością ma rację.

- Nikomu nie uda się wygonić mnie z mojej ziemi. Jutro zawiadomię szeryfa o tym, co tu zaszło. Będę bronić mojej własności. Znajdę jakiś sposób.

- Na przykład?

- Nie wiem. - Mocniej ścisnęła zegarek. W jej oczach odmalowała się determinacja. - Ale na pewno coś wymyślę.

Może nawet jej się uda... A ponieważ nisko sobie cenił podpalaczy, postanowił jej pomóc.

- Ktoś pewnie będzie chciał odkupić od pani to miejsce - rzekł, wybiegając myślami w przyszłość.

- Niczego nie sprzedam. Nie dam się stąd wykurzyć. Jeśli kiedyś wrócę do Filadelfii, to tylko z wyboru, a nie ze strachu.

- Słusznie. - Jej nieugięta postawa wzbudziła w nim

szacunek. - A teraz, niech się pani porządnie wyśpi. Wygląda na to, że jutro będzie pani miała pełne ręce roboty.

- Tak. - Miałaby spać? Teraz? Nie będzie w stanie zmruczyć oka. Przecież ci ludzie mogą jeszcze wrócić!

- Jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu, zanocuję na dworze.

Spojrzała mu w oczy. Były pełne milczącego zrozumienia. Nagle zapragnęła oprzeć głowę na jego ramieniu. Ten mężczyzna gotów jest jej pomóc. Musi go tylko poprosić. Cóż, kiedy nie jest w stanie...

- Oczywiście, panie Redman. Jestem panu bardzo wdzięczna. Wygląda na to, że znowu jestem pańską dłużniczką. Znamy się od niedawna, a pan tyle razy zdążył przybyć mi z pomocą.

- Na ogół było mi po drodze. - Już chciał wstać, ale się rozmyślił, - Mam jedno pytanie.

- Tak? - Uprzejmym uśmiechem pokryła zmieszanie.

- Czemu mnie pani prosiła, żebym pani nie całował?

Palce Sarah zacisnęły się na brzegu kołdry.

- Co takiego?

- Kiedy się pani ocknęła, przyjrzała mi się pani uważnie, a potem poprosiła, żebym pani nie całował.

Splonęła rumieńcem, ale natychmiast przypomniała sobie o godności. Kobieta musi zachować godność w każdej sytuacji. Nawet takiej jak ta.

- Najwidoczniej nie byłam przy zdrowych zmysłach.

Jake przemyślał odpowiedź i uśmiechnął się, a potem do tknął jej włosów.

- Mężczyzna mógłby zrozumieć to na dwa sposoby.

Zachnęła się. Twarz Jake'a na przemian lśniła w blasku

lampy i tonęła w cieniu. Był przez to taki tajemniczy i... podniecający. O Boże! O czym ona myśli!

- Panie Redman! - wykrztusiła - zapewniam pana...

- Zaciekawilo mnie to. - Był teraz tak blisko, że czuła na ustach jego oddech. Mimowolnie rozchyliła wargi, a on na moment zatrzymał na nich wzrok. - Może już wcześniej zastanawiała się pani, jak by to było, gdybym panią pocałował?

- Z całą pewnością nie - odparła. Niestety, bez przekonania, i wiedzieli o tym oboje.

- Wobec tego ja będę musiał.

Kłopot polegał na tym, że już za dużo o tym myślał. A kiedy patrzył na nią, lekko przerażoną, w płaszczu złotych włosów i z pociemniałymi oczyma, miał ochotę w ogóle nie myśleć. Gdyby jej teraz dotknął, nic by go już nie powstrzymało. Wziąłby ją w tym starym łóżku, nie bacząc na jej zranioną głowę.

Pocałuje ją! Teraz! Ta myśl kołatała jej w głowie. Wystarczy, żeby się nachylił, a jego usta dotkną jej warg. Zachłanne usta. Czuła, że jego pocałunek będzie zaborczy i namiętny, a zarazem wyrafinowany. Gdyby wziął ją teraz w ramiona, nie mogłaby już nic zrobić. A może by nie chciała?

Nagle Jake wstał, a Sarah po raz pierwszy zauważyła, że musiał się lekko schylić, żeby nie dotknąć głową dachu. Kiedy swoim ciałem zaslonił światło, serce waliło jej jak młotem. Przeraziła się, że i on to usłyszał. Czy to ze strachu, czy z podniecenia? Za żadne skarby świata nie potrafiłaby tego powiedzieć. A potem Jake nachylił się i zdmuchnął płomień.

Zszedł po omacku na dół i zniknął w ciemności.

Sarah drżąc, skuliła się pod kołdrą. Ten mężczyzna jest... Nie miała słów na jego określenie. Jednego była za

to absolutnie pewna - że tej nocy nawet nie zmruży oka. A jednak z miejsca zapadła w sen.

Kiedy się obudziła, ból rozsadza! jej czaszkę. Z jękiem usiadła na brzegu łóżka i ścisnęła skronie. Chciałaby wierzyć, że miniona noc to był tylko senny koszmar, przeczył temu jednak przeraźliwy ból głowy i rdzawo zabarwiona woda w miednicy.

Zaczęła się ubierać, ale szło jej to niesporo. Powinna teraz zejść na dół i obejrzeć zniszczenia. Może Bóg da, że konie wróca? Jej skromne środki raczej nic pozwalały na kupno nowych. Sięgnęła po wstążkę i luźno związała włosy na karku. Na samą myśl o spinkach skrzywiła się.

Kiedy zeszła na dół, słońce oślepiło ją na moment. Jęknęła. Czerwone plamy zawirowały jej przed oczyma, a potem wszystko się rozmyło. Oparła się o drzwi, żeby nabrać sił, zaczerpnęła tchu i wyszła na dwór.

Szopa zniknęła. Na jej miejscu leżało kilka spalonych belek. Podeszła bliżej i poczuła zapach dymu. Gdyby zamknęła oczy, mogłaby usłyszeć przerażający huk ognia, pochłaniającego wysuszone drewno. I poczuć żar płomieni. Nigdy nie zapomni tego piekącego żaru.

Pomyślała, że była to wprawdzie stara szopa, ale jej szopa. W cywilizowanym społeczeństwie wandal musi zapłacić za zniszczenie cudzej własności. Bez względu na to, czy chodzi o Filadelfię, czy o Arizonę, już ona tego dopilnuje, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Tyle tylko, że jak na razie jest zupełnie sama.

Sama... Przystanęła i zaczęła nasłuchiwać. Nigdy dotąd nic słyszała takiej ciszy. Czuła tylko powiew wiatru, gorący

i bezszelestny. I na tyle słaby, że nawet nie potrafił poruszyć krzewów porastających skały. Jedynym odgłosem, jaki wyłowiła, było szybkie posapywanie szczeniaka, który przysiadł u jej stóp.

Konie uciekły. Podobnie jak Jake Redman. To i lepiej, bo wciąż miała w pamięci to dziwne uczucie, jakie ją ogarnęło, kiedy usiadł na jej łóżku i w półmroku pogłaskał ją po włosach. Poczuli się wtedy słaba. I - choć przykro się do tego przyznać - także uległa.

Zresztą, nie ma się czego wstydzić. To się po prostu nie może zdarzyć po raz drugi. Nie wolno bezkarnie flirtować z mężczyznami pokroju Jake'a Redmana. Na szczęście, jest na tyle mądra, żeby o tym pamiętać. I chociaż nie ma większego doświadczenia w tych sprawach, potrafi z miejsca wyczuć, skąd zagraża jej niebezpieczeństwo.

Oczywiście taki typ musi pociągać pewne kobiety. Co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. Mężczyzna, który zabija bez wahania, który robi wyłącznie to, na co ma ochotę. .. Ale jej to nie odpowiada. Kiedy ona zdecyduje się oddać serce jakiemuś mężczyźnie, musi to być ktoś, kogo będzie rozumiała i darzyła szacunkiem.

Przykucnęła z westchnieniem i pogłaskała pieska, który cicho popiskiwał u jej stóp. To takie kojące, poczuć jego ciepły języczek na twarzy. Kiedy już się zakocha i wyjdzie za mąż, będzie to musiał być ktoś godny i z dobrej rodziny. Mężczyzna, który będzie się nią opiekował i bronił jej - nie strzelbą i pięściami, tylko honorem. Będą bezgranicznie oddani sobie oraz rodzinie, którą założą. Oczywiście jej mąż musi być wykształcony i cieszyć się powszechnym szacunkiem.

Oto zalety, których kobieta powinna szukać u kandydata na męża. Przecież wpajano jej to od lat. A jednak, głaszcząc pieska po głowie, Sarah doznała przykrego uczucia, że te nauki mogą nie być tak do końca prawdziwe.

Jednak teraz nie miało to żadnego znaczenia. Jak mogła w takiej sytuacji myśleć o amorach? Przede wszystkim powinna zająć się odbudową szopy. A potem może uda jej się wytargować nowy wóz i parę koni? Czubkiem buta pogrzebała w kupce zwęglonego drewna. Już miała ją kopnąć, kiedy usłyszała tętent.

Odwróciła się w panice; wołanie o pomoc zamarło jej na ustach. Wypalona ziemia i skały zdawały się z niej szydzić. Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają. Popędziła do domu, ze szczeniakiem w ramionach.

Kiedy znów wyszła na dwór, na miękkich nogach, trzymała w rękach strzelbę ojca.

Jake zobaczył ją w progu, z Oczyma pełnymi strachu i furii. I nagle pojął, że za taką kobietę można oddać życie. Bardzo go zaskoczyło to odkrycie.

Zeskoczył z konia.

- Byłbym wdzięczny, gdyby zechciała pani wycelować w inną stronę.

- Och! - jęknęła z ulgą. - Myślałam że pan odjechał, panie Redman. - Jake wciąż patrzył znacząco na strzelbę.

- Och! - powtórzyła i opuściła lufę. Zrobiło jej się głupio. Nie z powodu strzelby, ale własnych myśli. Oto stoi przed nią mężczyzna tak niepodobny do jej ideału, a ona musi walczyć z pragnieniem, żeby rzucić mu się w ramiona.

- Pan... pan odnalazł moje konie?

Najpierw uwiązał konie u płotu, a dopiero potem podszedł do Sarah, żeby zyskać na czasie.

- Daleko nie uciekły. - Odebrał jej strzelbę i oparł o ścianę. Kolba była wilgotna od jej spoconych rąk.

- Jestem panu bardzo wdzięczna. - Jake jeszcze się nie ogolił. Patrząc na niego, przypomniała sobie jego szorstką skórę przy swojej dłoni. Spłonęła rumieńcem. Żeby ukryć zażenowanie, schyliła się i wzięta szczeniaka na ręce. - Nie wiem, co mam z nimi robić, póki nie znajdę im jakiegoś schronienia.

Ciekawe, co dzieje się w tej ślicznej główce, pomyślał Jake, a głośno powiedział:

- Na razie wystarczy im przybudówka. Można by ją ustawić w rogu padoku.

- Przybudówka, słusznie - pokiwała głową. Co za ulga móc się nareszcie zająć czymś praktycznym. - Panie Redman - zapytała - jadł już pan śniadanie?

Jake zsunął kapelusz na tył głowy.

- Tak, ale nie warto o tym mówić.

- Gdyby pan sklecił jakieś prowizoryczne schronienie dla koni, ja z przyjemnością przygotuję coś do jedzenia.

Wprawdzie i tak zamierzał to zrobić, ale skoro ona proponuje coś w zamian, niech tak będzie.

- Umie pani gotować?

- Oczywiście. Przygotowywanie posiłków stanowiło istotną część mojej edukacji.

Znów naszła go chęć, żeby pogłaskać ją po włosach. I nie tylko. Zamiast tego wsunął kciuki za pasek.

- Nie pytam o przygotowywanie posiłków. Pytam, czy umie pani gotować?

- Tak - omal nie westchnęła.

- No to dobrze.

Odszedł, ale nie wsiadł na konia, czyli przyjął jej propozycję.

- Panie Redman! - zawołała za nim, a kiedy spojrzał przez ramię, zapytała: - Jakie lubi pan jajka?

- Gorące - odparł i poszedł dalej.

Dobrze, będzie miał gorące. Stukała wściekle garnkami. Poda mu takie śniadanie, jakiego nie jadł w życiu. Wzięła głęboki oddech i nakazała sobie spokój. Jego małowówność zaczynała jej działać na nerwy. Nie będzie się denerwować. To nie przystoi damie.

Biszkopty! Zadowolona, że poprzedniego dnia dostała nowy przepis, zabrała się do roboty.

Pół godziny później Jake stanął zdumiony w progu. Co za boski zapach! Spodziewał się przypalonych jajek na okopconej patelni, a tymczasem zobaczył półmisek złocistych biszkoptów, nakryty czystą serwetką. Sarah nucąc, uwijała się przy kuchni, a szczeniak z zapalem węszył po kątach.

Jake nigdy nie myślał o domu, ale gdyby już miał go kiedyś mieć, to właśnie taki jak ten. Kobieta w ładnej sukni, nucąca przy piecu, smakowite zapachy w kuchni. Mężczyzna zrobi wszystko, jeżeli wie, że czeka na niego właściwa kobieta.

Sarah odwróciła się. Jeden rzut oka na jej subtelną twarz wystarczył, żeby mu uświadomić, że takie kobiety nie czekają na mężczyzn takich jak on.

- W samą porę - uśmiechnęła się, zadowolona z siebie.

Uporanie się ze starym piecem było olbrzymim osiągnięciem. - W miednicy jest czysta woda. Może się pan obmyć.

- Przełożyła jajka na talerz. - Na razie nie mogę zaproponować

nic szczególnego. Myślałam o tym, żeby kupić kilka kurczaków. Hodowaliśmy je w szkole, więc wiem co nieco na ten temat. Świeże jajka to taka wygoda, nie uważa pan?

Jake uniósł głowę znad miski; woda ciekła mu po twarzy. Spojrzał na Sarah. Stała przy piecu, zarumieniona od żaru, a podwinęte rękawy odsłaniały mlecznobiałe ramiona. Wygoda to ostatnia rzecz, jaka przyszlaby mu kiedykolwiek do głowy. Wzruszył ramionami i bez słowa zajął miejsce przy stole.

Sarah nie potrafiła powiedzieć, kiedy ją bardziej irytował - gdy mówił czy gdy milczał i tak dziwnie na nią patrzył. Spróbowała jeszcze raz:

- Pani Cobb dała mi wczoraj przepis na te biszkopty. Mam nadzieję, że są takie dobre, jak mnie zapewniała.

Jake rozłamał ciastko. Buchnęła para i słodki aromat. Patrząc na Sarah, ugryzł kęs.

- Są w porządku.

- Panie Redman, w głowie mi się przewróci od tych komplementów. - Wbiła widelec w jajko. - Kiedy robiłam wczoraj zakupy, poznałam kilka pań. Wydały mi się bardzo sympatyczne.

- Nie znam zbyt wielu pań w tym mieście. - Przynajmniej nie tych, o których mówiła.

- Rozumiem. - Sarah spróbowała biszkopta. Był więcej niż w porządku. Był po prostu przepyszny. - Na przykład Liza Cody, której rodzina prowadzi sklep. Jest na tyle miła, że pozwoliła mi wziąć jednego szczeniaka.

Jake spojrzał na psa, który właśnie obwąchiwał mu but, machając ogonkiem.

- Więc to stąd go pani ma.

- Tak. Chciałam mieć jakieś towarzystwo.
Jake odłamał kawałek biszkopta i rzucił psu, udając, że nie słyszy komentarza Sarah, że nie należy karmić zwierząt przy stole.
- Teraz jest mały, ale to będzie duży pies.
- Naprawdę? - Nachyliła się, zaciekawiona. - Po czym to poznać?
- Po łapach. Jest niezdarny, bo w tej chwili są za duże. Dopiero z czasem do nich dorośnie.
- To chyba dobrze, że będę miała dużego psa.
- Zeszłej nocy nie bardzo się spisał - zauważył Jake, drapiąc szczeniaka pieszczotliwie za uszami. ~ Ma już jakieś imię?
- Lafitte.
Jake zatrzymał widelec w pół drogi do ust.
- Co to za dziwaczne imię dla psa?
- To nazwisko pirata. Bo ma czarną łatkę na oku, jak pirat.
- To mi dopiero imię dla kundla - mruknął Jake z pełnym ustami. - Lepiej byłoby nazwać go Bandyta.
- Nigdy bym go tak nie nazwała - obruszyła się Sarah.
- Przecież piraci to bandyci, prawda? - Jake sięgnął po następnego biszkopta.
- Nawet jeżeli tak, on już ma swoje imię.
Jake spojrzał na szczeniaka, który wyraźnie czekał na kolejną porcję przysmaków.
- Załóż się, że ci głupio, stary, co?
- Może jeszcze trochę kawy, panie Redman? - Sarah wstała i zdjęła z pieca ronderek. Nie czekając na odpowiedź, podeszła do stołu i naląła Jake'owi kawy.
Jak ona ładnie pachnie. Jak ukwiecona łąka wczesną

wiosną. I ma takie delikatne dłonie. Pamiętał ich dotyk na swoim policzku.

- Dobrze panią wyuczyli - mruknął.
- Nie rozumiem? - Spojrzała na niego z góry. Nagle ogarnęła ją dziwna tęsknota.
- Mówię o gotowaniu. - Jake chwycił ją za rękę, żeby zapobiec rozlaniu kawy. Skórę miała cudownie gładką i zaskakująco przyspieszony puls. Nie zachnęła się, nie splonęła rumieńcem, nie cofnęła ręki. W jej oczach malowało się pytanie, na które gorąco pragnął odpowiedzieć.
Nie spuszczać z niego wzroku, zwilżyła językiem usta.
- Dziękuję. Cieszę się, że panu smakowało.
- Nie igraj z ogniem, Sarah. - Odczekał, aż zrozumie sens jego słów, a potem ją puścił.
Z dumnie uniesioną głową pomaszzerowała do pieca, żeby odstawić ronderek. Jak on śmie budzić w niej takie uczucia, a potem rzucać jej to w twarz!
- Nie boję się pana, panie Redman! Gdyby chciał mnie pan skrzywdzić, dawno by pan to zrobił.
- Może tak, a może nie. Kobiety pani pokroju potrafią wykończyć mężczyznę.
- Mojego pokroju? - Odwróciła się i zmierzyła go wyzywającym spojrzeniem. - To znaczy jakie?
- Łagodne. Łagodne i uparte, gotowe rzucić się mężczyźnie w ramiona.
- Myli się pan - powiedziała lodowatym tonem, choć zrobiło się jej gorąco. - Nie interesują mnie męskie ramiona - ani pańskie, ani niczyje inne. W tej chwili interesuje mnie tylko jedno: obrona mojej własności.
- Może się mylę. - Jake odchylił się na krześle. Zagad-

kowa kobieta, pomyślał, a przy tym co za satysfakcja móc ją wyprowadzić z równowagi. - Zresztą, prędzej czy później się dowiemy. A teraz niech mi pani powie, w jaki sposób zamierza pani bronić tego miejsca?

Nie patrząc, czy skończył już jeść czy nie, zaczęła zbierać talerze.

- Oczywiście powiadomię szeryfa.

- To nie zaszkodzi, ale i wiele nie pomoże. Szeryf jest o szesnaście kilometrów stąd.

- To co pan proponuje?

Jake miał gotową odpowiedź:

- Na pani miejscu wynajęłbym kogoś do pomocy. Kogoś, kto nie boi się ciężkiej pracy i potrafi posługiwać się bronią.

- Ma pan na myśli siebie? - zapytała, siłąc się na obojętność.

- Nie, księżniczko - odparł z uśmiechem. - To nie dla mnie robota. Myślałem o Luciusie.

Marszcząc brwi, zabrała się za szorowanie patelni.

- Ale on pije.

- A kto nie pije? Jak dostanie wikt i jakieś miejsce do spania, zrobi wszystko. Tutaj kobieta nie może mieszkać sama, bo sobie napyta biedy. Ludzie, którzy podłożyli wczoraj ogień, mogli pani zrobić coś znacznie gorszego, niż tylko przyprawić o ból głowy.

Zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć, bo sama już rozważała taką ewentualność. Jednak wolałaby Jake'a, bo wiedziała już, że doskonale nadawałby się do tej roli. Tak to sobie przynajmniej tłumaczyła. Zresztą, tak czy owak, potrzebowała pomocnika.

- Chyba ma pan rację.

- Żadne chyba. Osoba tak niedoświadczona jak pani jest tu z góry skazana na odstrzał.

- Dlaczego wciąż mnie pan obraża?

- Prawda w oczy kole, księżniczko. Trzaskając talerzami, wycedziła:

- Mówiłam, żeby mnie tak nie...

- Jedno pytanie - przerwał jej ze spokojem. - Co by pani zrobiła dziś rano, gdybym się akurat nie zjawił z końmi?

- Sama bym się obroniła.

- A strzelała pani kiedykolwiek z takiej broni? Tej, z której pani do mnie celowała?

Sarah wytarła patelnię i odstawiła ją na półkę.

- Nie. Nie miałam jeszcze okazji, ale wyobrażam sobie, że to nie może być zbyt skomplikowane. Tak czy owak, wcale nie miałam zamiaru z niej strzelać.

- A jaki miała pani zamiar? Chciała z nią pani zatańczyć?

- Panie Redman! - Brzęknął odstawiony talerz. - Dostyc tego! Nie mam ochoty być dłużej celem pańskich kpin. Rozumiem, że dla kogoś takiego jak pan zastrzelić człowieka to głupstwo. Ale mnie nauczono, że zabijać to grzech.

- Nie ma pani racji, - Coś w jego głosie kazało jej się odwrócić. - Walka o przeżycie to nie jest grzech. A tutaj wszystko sprowadza się do tego, żeby przeżyć.

- Jeżeli pan naprawdę w to wierzy, szczerze panu współczuję.

Nie chciał jej litości, ale zarazem chciał, żeby uszła z tego z życiem. Podszedł bliżej i wyjął jej z rąk talerze.

- Kiedy pani zobaczy węża, co pani zrobi? Zabije go czy pozwoli się ukąsić?

- To dwie różne sprawy.

- Jak pani tu dłużej pomieszka, przekona się pani, że nie aż tak bardzo różne. Gdzie są naboje?

Sarah wytarła ręce w fartuch i spojrzała na półkę. Jake zdjął pudełko z nabojami, sprawdził je, a potem chwycił ją za rękę.

- Idziemy. Dam pani pierwszą lekcję.
- Jeszcze nie skończyłam zmywać.
- Zmywanie może poczekać.
- Nie mówiłam, że potrzebne mi lekcje - protestowała, kiedy wyciągał ją na dwór.
- Jeżeli sięga pani po broń, musi pani wiedzieć, jak się nią posługiwać. - Uśmiechnął się. - Chyba że się pani boi, że to za trudne.

Sarah zdjęła fartuch i powiesiła go na płocie.

- Ja się niczego nie boję!



ROZDZIAŁ PIĄTY

Najlepszą metodą, żeby zmusić Sarah do współpracy, okazało się wyzwanie. Maszerowała teraz u boku Jake'a, z hardo uniesioną głową i wzrokiem wbitym w dal. Pewnie sama nie zdawała sobie z tego sprawy, ale kiedy tego ranka trzymała strzelbę, była zdecydowana pociągnąć za spust. A on chciał tylko mieć pewność, że kiedy to zrobi, trafi w to, do czego będzie celowała.

Wybrał kilka kawałków drewna ze spalonej szopy i oparł trzy z nich o stos kamieni.

- Pierwsza sprawa to tak załadować broń, żeby sobie przy tym nie odstrzelić stopy. - Opróżnił komorę, a potem powoli ją załadował. - Z bronią trzeba się obchodzić ostrożnie. Nie można nosić jej tak, jakby się chciało zamiatać nią ganek. - Uniósł strzelbę, wycelował i oddał trzy strzały. Trzy rozerwane kawałki drewna poleciały na ziemię. - Kula może wyrządzić człowiekowi poważną krzywdę - powiedział, opuszczając lufę.

Sarah przeknęła ślinę. Wystrzały odbiły się echem od skał.

- Zdaję sobie z tego sprawę, panie Rednian, ale ja nie mam zamiaru do nikogo strzelać.

- Większość ludzi budzi się co rano, nie mając tego w planach. - Jake znów podszedł do kamieni. Tym razem

ustawił największe kawałki drewna. - Jeżeli nie zamierza pani wkrótce wracać do Filadelfii, niech się pani lepiej nauczy, jak posługiwać się bronią.

- Nie planuję wyjazdu.

Jake pokiwał głową, opróżnił komorę i wręczył Sarah naboje.

- Proszę załadować.

Kule były zimne i gładkie. Trzymając je w ręku, zastanawiała się, jak ktokolwiek może chcieć ich użyć przeciwko drugiemu człowiekowi. Metal przeciwko ciału. Nie, to niepojęte.

- Chce się pani nimi pobawić czy załaduje pani broń?

Czując na sobie jego wzrok, załadowała z obojętną miną. Jake odsunął lufę w bok.

- Szybko się pani uczy.

W zasadzie nie powinno jej to sprawić przyjemności, jednak kąciki jej ust mimowolnie drgnęły.

- Tak mi zawsze mówiono.

- Tylko niech się pani nie przewróci w głowie. - Odgarnął jej włosy z czoła, a potem włożył w ręce strzelbę. - Proszę ją mocno trzymać. I prosto.

- Dobrze - mruknęła. Czy on musiał stać tak blisko? Pachniał skórą i potem, a kombinacja ta z jakichś niepojętych przyczyn bardzo ją podniecała. Jedną rękę położył na jej ramieniu, a drugą trzymał za łokieć. Co w tym romantycznego? A jednak reagowała na jego dotyk znacznie silniej niż na delikatne, zalotne uściski rąk wielbicieli w Filadelfii. Pomyślała, że gdyby się lekko cofnęła, oparłaby się o niego całym ciałem.

Ale nie miała przecież tego zamiaru. Odsunęła się i burk-

nęła coś pod nosem, kiedy Jake znów ustawił ją we właściwej pozycji.

- Proszę stać spokojnie. Nie sztywno, kobieto, tylko spokojnie - powiedział, bo zeszywniała gdy tylko jej dotknął.

- Nie musi pan na mnie krzyczeć!

- Jeżeli będzie pani stać w ten sposób, kolba złamie pani obojczyk. Proszę się rozluźnić. Widzi pani muszkę?

- Ten mały sterczący trójkącik?

Jake zamknął na moment oczy.

- Tak, ten mały sterczący trójkącik. Trzeba go nastawić na cel. Proszę to zrobić. - Nachylił się. Kiedy jego policzek musnął policzek Sarah, przygryzła wargi. - Spokojnie - mruknął, walcząc z pragnieniem, by zanurzyć twarz w jej włosy. - Palec na cyngiel. Nie szarpać, tylko pociągnąć do tyłu. Powoli i spokojnie.

Zamknęła oczy i wykonała polecenie. Broń szarpnęła. Byłaby upadła na wznak, gdyby Jake jej nie podtrzymał. Krzyknęła ze strachu, pewna, że się postrzeliła.

- Pudło!

Ciężko dysząc, odwróciła się. Jake przezornie odebrał jej strzelbę.

- Mógł mnie pan ostrzec. - Dotknęła obolałego ramienia. - To było jak uderzenie kamieniem.

- Lepiej doświadczyć wszystkiego na własnej skórze. Niech pani spróbuje jeszcze raz.

Zaciskając zęby, wzięła strzelbę i wycelowała.

- Tym razem proszę użyć ręki, a nie ramienia, żeby ją zbalansować. Proszę się oprzeć.

- W uszach mi dzwoni.

- Przyzwyczai się pani. - Objął ją mocno w talii. - Le-

piej mieć oczy otwarte. Niżej muszka. Dobrze. Teraz proszę pociągnąć za cyngiel.

Tym razem była przygotowana na odrzut i tylko lekko się zachwiała. Jake trzymał ją w pasie i spoglądał ponad jej głową.

- Trafiła pani w róg.

- Naprawdę? - Wytężyła wzrok. - Udało się! - Odwróciła głowę i spojrzała na niego ze śmiechem. - Chcę jeszcze raz spróbować.

Uniosła broń i nie protestowała, kiedy Jake przesunął lufę o kilka centymetrów w prawo. Kiedy tym razem naciskała spust, oczy miała szeroko otwarte. A kiedy drewno spadło ze skały, krzyknęła z radości.

- Trafiłam!

- Na to wygląda.

- Naprawdę trafiłam! Coś podobnego! - Gdy Jake wziął z jej rąk strzelbę, potrząsnęła ze śmiechem głową. - Ramię mi zdrętwiało.

- To przejdzie. - Zdziwił się, że jest w stanie mówić, bo gardło miał boleśnie ściśnięte. Nigdy nie przywiązywał wagi do słów i był z natury małowówny, ale teraz słowa same cisnęły mu się na usta. Chciał jej powiedzieć, że wygląda jak anioł w blasku słońca, z włosami koloru wilgotnej pszenicy i oczyma jak złoty piasek.

Nagle uświadomił sobie, że jej pragnie jak niewielu rzeczy w swoim życiu. Podszedł do stosu kamieni i podniósł deszczułkę, żeby się opanować. Dziurka była na samej górze, z prawej strony. Wprawdzie daleko od środka, ale jednak trafiła. Wrócił do Sarah i podał jej deszczułkę.

- Kłopot polega na tym, że większość celów, do których

się strzela, nie stoi grzecznie bez ruchu jak ten kawałek drewna.

Znowu chce jej popsuć całą przyjemność. Spoglądała w jego chłodne, nieodgadnione oczy. Tego mężczyzny nie sposób zrozumieć. Z jednej strony zadaje sobie tyle trudu i uczy ją posługiwania się bronią, a jednocześnie skąpi jej nawet najbliższej pochwały, kiedy okazała się pojętną uczennicą. A co tam, czort z nim!

- Panie Redman, widzę wyraźnie, że cokolwiek będę robiła, nie jestem w stanie pana zadowolić - Odrzuciła deszczułkę. - Na szczęście nie ma to żadnego znaczenia. - Uniosła lekko spódnicę i ruszyła w stronę domu. Nie uszła nawet kroku, kiedy Jake odwrócił ją ku sobie.

Pomyślała, że zna już to spojrzenie. Identycznie wyglądał, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Galopował wtedy obok dyliżansu, strzelając przez ramię. Nie wiedząc, jak powinna się zachować, wybrała jedyne wyjście, które przyszło jej do głowy.

- Proszę zabrać ręce!

- Już panią ostrzegałem, że igra pani z ogniem. - Ścisnął ją mocniej, kiedy spróbowała się wyrwać. - To ryzykowne odwracać się plecami do człowieka, który trzyma nabitą broń.

- Chce mi pan strzelić w plecy? - Pytanie było nie fair i Sarah doskonale o tym wiedziała. Chciała się jednak jak najszybciej oddalić, bo jego spojrzenie napawało ją lękiem. - Po panu wszystkiego można się spodziewać. Jest pan najbardziej grubiańskim, najgorzej wychowanym, najbardziej prostackim człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam. Będę panu bardzo wdzięczna, jeżeli wsiądzie pan teraz na tego swojego konia i opuści mój teren.

Wcześniej Jake parokrotnie oparł się pokusie. Teraz zamierza! podjąć wyzwanie. Ta kobieta za bardzo mu dopiekle.

- Wydaje mi się, że potrzebna pani kolejna lekcja, księżniczko.

- Niczego od pana nie chcę i nie potrzebuję. I nie będzie mnie pan więcej tak nazywał. - Jęknęła, kiedy przygarnął ją do piersi. Oczy rozszerzyły jej się z przerażenia.

- No to wcale nie będę pani nazywał. - Jake nadal trzymał strzelbę. Spoglądając Sarah w oczy, chwycił ją za włosy i przyciagnął do siebie.

Próbowała z nim walczyć. Tak sobie przynajmniej mówiła. Mimo jej wysiłków usta Jake'a zamknęły się na jej wargach. W tej samej chwili zasłonił jej słońce i wtrącił ją w najmroczniejszą otchłań.

Ciało miał niczym skała. Jego ramię wzięło ją tak mocno, że musiała się do niego przytulić. Pomyślała o strzelbie -twardej, gładkiej i zabójczej. Czowała nierówne bicie jego serca przy swoim sercu.

Puls przyspieszył, waliło serce. Jego zarost drażnił jej skórę. Jęknęła. Oczywiście z bólu. Bo przecież nie z rozkoszy.

A jednak... Jakimś cudem jej ręce znalazły się na jego ramionach - żeby tulić, a nie odpychać.

Jake nigdy by nie przypuszczał, że słodycz może być tak zniewalająca. Sam nie wiedział jak i kiedy chwyciła go za gardło. A on zapragnął jeszcze więcej. Zdesperowany, ode-rwał na moment usta od jej warg.

Zaczerpnęła tchu i zaraz potem jego usta znowu znalazły się na jej ustach, a język wtargnął w ich wnętrze. Czowała podniecenie i jakąś słodką niemoc jednocześnie.

Najpierw nieśmiało, a potem odważniej poszła za głosem pragnienia. Chłonąc słony smak jego ust, powiodła dłońmi po jego twarzy i zanurzyła ręce we włosy. Co za cudowne uczucie! Dlaczego nikt jej wcześniej nie ostrzegł, jaką siłą ma pocałunek? Płonęła i drżała. Z piersi wyrwał się jej się głuchy jęk.

Wtedy obudziły się w nim instynkty, które trzymał dotąd na uwięzi. Wiedział jednak, że musi nadal nad nimi panować. Przecież Sarah jest niewinną dziewczyną. Było to oczywiste. A on... on nie był niewinny już w momencie, gdy wydał swój pierwszy krzyk.

Przekroczył w swoim życiu tyle granic, złamał tyle reguł! Jednak tej zasady musi przestrzegać. Potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć. Bliskość Sarah mąciła mu umysł. Zarzuciła mu ręce na szyję i tuliła go do siebie. Dobry Boże, te jej usta! Czuł pulsowanie krwi w skroniach i w łędźwiach... a wszystko to z jej winy. Jej usta miały smak upajającej, miodowej whisky.

Przerażony tym, co się z nim działo, odepchnął Sarah. Oczywiście miała pociemniałe i zamglone jak poprzedniej nocy, kiedy budziła się z omdlenia.

- Mówiłem ci już, że szybko się uczysz, Sarah. - Ręce mu drżały. Wściekły na siebie, zacisnął pięści. Przez moment wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby ją pociągnął na ziemię i tak po prostu wziął, tu i teraz. Zanim zdążył podjąć jakąkolwiek decyzję, usłyszał turkot nadjeżdżającej bryczki.

- Masz gości. - Oddał jej strzelbę, odwrócił się i odszedł. Co on z nią zrobił? Sarah chwyciła się za głowę, oszołomiona. On... on się na nią rzucił! A potem całował ją tak

długo, aż przestała się opierać. Aż poczuła, że go pragnie, aż to pragnienie pochłonęło ją bez reszty.

Zupełnie jak w tym śnie, ale tym razem to nie był sen. To było aż nazbyt prawdziwe, a on sobie teraz odchodzi, jakby nigdy nic. Wyprostowała się dumnie. Czy on nie zdaje sobie sprawy, że urażona duma to uczucie równie groźne jak gniew?

- Panie Redman!

Kiedy się odwrócił, stała z wycelowaną bronią. Gdyby wzrok mógł zabijać, pewnie padłby trupem na miejscu.

- Pan też igra z ogniem, - Przechyliła głowę. W tym ruchu kryły się wyzwanie, uraza i gniew. - Ta broń wciąż jest nabita.

- Owszem. - Jake dotknął runda kapelusza. - Tyle tylko, że nie tak łatwo pociągnąć za cyngiel, kiedy się celuje do żywego człowieka. Ale proszę, strzelaj. Z tej odległości raczej trudno chybić.

Żalowała, że nie jest w stanie tego zrobić, choć chętnie strzeliłaby mu pod nogi i patrzyła, jak odskakuje z przerażeniem. Zamiast tego uniosła głowę i ruszyła w stronę domu.

- Różnica między panem a mną polega na tym, że ja mam moralne zasady.

- Jest w tym trochę prawdy. Poza tym, skoro już zrobiłaś mi śniadanie, no i w ogóle, może byś mi mówiła Jake? - Wskoczył na konia w chwili, gdy na podwórko wtoczyła się bryczka.

- Sarah? - Siedząca na koźle Liza niepewnym wzrokiem obrzuciła nową znajomą, a potem mężczyznę w siodle. Wiedziała, że młoda panna nie powinna zadawać się z ludźmi takimi jak Jake Redman. Jednak on był taki przystojny i

intrygujący... - Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzamy. - Z bryczki wyskoczył jasnowłosy chłopiec i zaczął gonić szczeniaka.

- Ani trochę. Cieszę się, że was widzę. - Sarah osłoniła oczy i spojrzała na Jake'a. - Pan Redman właśnie odjeżdża.

- Ma pan ładne pistolety. - John Cody oparł rękę na końskiej szyi i podziwiał gładką, drewnianą kolbę jednego z coltów. Wiedział, kim jest Jake Redman, dużo o nim słyszał, ale nigdy nie udało mu się zobaczyć go z tak bliska.

- Tak uważasz? - Jake pochylił się w siodle, żeby się lepiej przyjrzeć chłopcu. Miał nie więcej niż dziesięć lat. A w oczach zachwyty. I do tego smugę brudu na policzku.

- Tak, proszę pana. Słyszałem, że jest pan najszybszym strzelcem na świecie.

- John! - Liza załamała ręce. - Zostaw pana Redmana w spokoju!

Jake spojrzał na nią, rozbawiony. Czyżby się obawiała, że zastrzeli jej braciszka za to, że chciał z nim porozmawiać?

- On mi wcale nie przeszkadza. - Spojrzał na Johnny'ego. - Nie można wierzyć we wszystko, co się słyszy.

Chłopiec wiedział swoje.

- Moja mama mówi, że nie może pan być tak do końca zły, skoro uratował pan pasażerów dyliżansu.

- Johnny! Na miłość boską! - skarciła go Liza rozpaczliwym szeptem.

Jake nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- To miło ze strony twojej mamy. - Spojrzał na Sarah, która od dłuższego czasu stała sztywno, jakby połknęła kij.

- Opowiem szeryfowi o pani kłopotach, panno Conway. Na pewno tu zajrzy.

- Dziękuję, panie Redraan. Żegnam.
Jake uchylił kapelusza, a potem zwrócił się do chłopca:
- Do zobaczenia.
- Tak jest, proszę pana! - krzyknął za nim rozradowany Johnny. - Do zobaczenia!
- Johnie Cody! - Liza zdołała wreszcie na tyle ochłonać, że zdecydowała się wysiąść. Chłopiec roześmiał się i popędził za psem, strzelając z wymagowanych coltów.
- To mój brat.
- Tak też myślałam.
Liza posłała bratu karcące spojrzenie, po czym podeszła do Sarah.
- Mama jest dziś w sklepie. Prosiła, żeby ci to dać. To jej chleb cynamonowy.
- Jak to miło z jej strony. - Słodki zapach przywołał fale błogich wspomnień. - Możesz zostać na chwilę?
Liza wręczyła Sarah bochenek i pokazała w uśmiechu dołeczki.
- Miałam nadzieję, że mnie zaprosisz.
- Wejdz, proszę. Zaparzę herbatę.
Podczas gdy Sarah krzątała się przy piecu, Liza rozglądała się po ciasnym wnętrzu. Wszystko wokół lśniło czystością.
- Nie wygląda tak źle, jak myślałam. - Przerazona zatkała sobie usta. - Przepraszam. Mama zawsze mi powtarza, że dla własnego dobra nie powinnam tyle mówić.
- Nic się nie stało. - Sarah wyjęła dwa cynowe kubki, próbując sobie wyobrazić, że to porcelanowe filiżanki. - Sama byłam mile zaskoczona.
- Nie spodziewałam się, że zastanę tu Jake'a Redmana.
- Liza zajęła miejsce przy stole.

- Ja też nie. - Sarah nieco zbyt mocno wbiła nóż w chleb.
- Mówił, że miałaś jakieś kłopoty.
Sara bezwiednie uniosła palec do ust. Były wciąż nabrzmiałe i gorące. Owszem, miała kłopoty. Jeśli sama nie potrafiła zrozumieć, jak doszło do pocałunku, czy mogła wyjaśnić to Lizie?
- Ktoś podpalił w nocy moją szopę.
- O Boże! Nie! Kto? Dlaczego?
- Nie wiem. - Sarah postawiła kubki na stole. - Na szczęście przejeżdżał wtedy pan Redman.
- Myślisz, że to mógł być on?
Sarah zamyśliła się. Przypomniała sobie wyraz jego twarzy, kiedy opatrywał jej głowę, i odrzuciła tę ewentualność.
- Nie, z całą pewnością nie. Myślę, że pan Redman jest bardziej prostolinijszy w swoich działaniach.
- Chyba masz rację. Nie mogę powiedzieć, żeby zrobił coś złego w Lone Bluff, ale podobno bywało inaczej.
- Co o nim wiesz?
- Niewiele. Zjawił się w miasteczku jakieś pół roku temu. Oczywiście wszyscy słyszeli o Jake'u Redmanie. Podobno zabił ze dwadzieścia osób.
- Zabił? - Sarah z przerażenia zaparło dech. - Ale dlaczego?
- Nie wiem, czy w ogóle można mówić o przyczynach. Słyszałam, że wynajął go jakiś ranczer z północy. Mówiło się o strzelaninach i podpaleniach.
- Wynajął go - powtórzyła Sarah - żeby zabijał.
- To się chyba do tego sprowadza. Wiem, że ludzie przerażili się, kiedy przyjechał i zajął pokój u Maggie O'Rourke. - Liza wzięła kawałek ciasta. - Ale nie wyglądało na to, żeby

chciał wszczynać jakieś awantury. Jednak dwa tygodnie później i tak wpadł w tarapaty.

Najemny morderca. A ona całowała się z nim, i to w sposób, w jaki żadna przyzwoita panna nie całuje się mężczyzną, który nie jest jej mężem.

- A co się stało?

- Jim Carlson był w „Ptasiej Klatce”. To jeden z tutaj-
szych barów.

- Carlson?

- Tak, brat Samuela Carlsona, chociaż nigdy byś tego nie powiedziała. - Liza zacisnęła usta. - Jim jest zupełnie inny niż Samuel. To lajdak i ladaco. Pije, bije i terroryzuje ludzi, ale nikt nie miał odwagi, żeby* mu się przeciwstawić. Zrobił to dopiero Jake. - Liza napiła się herbaty. Z dworu dobiegały wojenne okrzyki jej brata. - Z tego, co słyszałam, doszło do sprzeczki przy karcianym stoliku. Jim był pijany i trochę się zagalopował. Kiedy Jake zwrócił mu uwagę, część ludzi go poparła. Mówi się, że Jake pierwszy wyciągnął broń. Wszyscy myśleli, że załatwi Jima na dobre, ale on go tylko ogłuszył.

- Nie zastrzelił go?- Co za ulga! Może to jednak nieprawda, co o nim mówią.

- Nie. Podobno ogłuszył go i oddał jego broń barmanowi. Ktoś zaraz wezwał szeryfa, ale kiedy szeryf dotarł na miejsce, Jake stał przy barze i popijał whisky, a Jim zbierał się z podłogi. Myślę, że Barker chciał wsadzić Jima do celi, póki nie wytrzeźwieje, ale gdy go złapał, Jim wyciągnął mu z kabury broń. Nie zdążył wpakować Jake'owi kuli w plecy, bo Jake był szybszy. A po tym wszystkim odwrócił się i spokojnie dokończył swoją whisky.

Czyli jednak zabił.

- Zastrzelił go? - zapytała.

- Nie, mimo że sporo ludzi w miasteczku pewnie by sobie tego życzyło. Dlatego też, chociaż Carlsonowie to wpływowa rodzina, znalazło się dość świadków, łącznie z szeryfem, by potwierdzić, że Jake działał w obronie własnej.

- Rozumiem - powiedziała Sarah, choć w żaden sposób nie mogła zrozumieć, co to za sprawiedliwość, którą trzeba wywalczyć bronią. - Dziwi mnie to, że Jake... pan Redman... nie wyjechał po tym wszystkim.

- Widocznie mu się tu -podoba. A tobie? Nie boisz się mieszkać sama?

Sarah pomyślała o pierwszej nocy, podczas której trzęsa się ze strachu i modliła jedynie o to, by dotrzeć do rana.

- Trochę tak.

- Zwłaszcza że wcześniej mieszkałaś na Wschodzie. - Liza westchnęła. W jej uszach Filadelfia brzmiała równie egzotycznie jak Paryż czy Londyn. - Te wszystkie wspaniałe miejsca, które widziałaś, i eleganckie stroje, które pewnie nosiłaś.

Sarah nagle ogarnęła tęsknota za dawnym życiem.

- Byłaś kiedyś na Wschodzie?

- Nie, ale oglądałam obrazki. - Liza zerknęła na kufry Sarah. - Kobiety miały takie piękne stroje.

- Może chciałabyś obejrzeć moje suknie?

- No pewnie! - Lizie zaświeciły się oczy.

Przez następne dwadzieścia minut Liza wdychała z zachwytem, podziwiając zawartość kufra. Jej reakcja pozwoliła Sarah docenić to, co dotąd uważała za rzecz oczywistą. Siedząc na podłodze, rozmawiały o ważnych sprawach, takich

jak wstażki, szarfy czy prawidłowe noszenie czepka. Johnny wciął w tym czasie cynamonowy chleb i bawił się ze szczeniakiem.

- Och, popatrz tylko na tę! - Liza wstała, przykładając do siebie białą suknię. - Jak szkoda, że nie masz lustra.

Była muślinowa, ze stanikiem haftowanym w pączki róż. Sarah zamierzała włożyć ją na pierwszą kolację z ojcem. Niestety, nigdy już nie będzie miał okazji jej zobaczyć. Z żalem spojrzała na kufr. Ani tej sukni, ani żadnej z tych pięknych rzeczy, które miała dzięki jego wyrzeczeniom.

- Co ci jest? - Liza podeszła do niej, tuląc do siebie sukienkę. - Masz taką smutną minę.

- Myślałam o ojcu i o tym, jak ciężko dla mnie pracował.

Liza z miejsca zapomniała o sukniach.

- On cię bardzo kochał - zawołała ze współczuciem. - Kiedy przychodził-do sklepu, opowiadał o tobie i o tym, co mu pisałaś w listach. Pamiętam, jak przyniósł twój portrecik - taki szkic w ramkach. Chciał się pochwalić, jaka jesteś ładna. Był z ciebie taki dumny.

- Tęsknię za nim. - Sarah próbowała powstrzymać się od łez. - To dziwne, bo przecież przez tyle lat byliśmy rozdzieleni. Czasami trudno mi było przypomnieć sobie jego twarz. Odkąd tu przyjechałam, coraz lepiej go poznaję i coraz bardziej za nim tęsknię.

Liza położyła dłoń na jej ramieniu.

- Mój tata czasami na mnie krzyczy, ale gdyby coś mu się przydarzyło, chyba bym tego nie przeżyła.

- No cóż, przynajmniej mam to. - Sarah rozejrzała się po domku. - Tutaj jestem bliżej niego. Często go sobie wyobrażam, jak siedzi przy stole i pisze do mnie listy. - W końcu

udało jej się uśmiechnąć. - Dlatego cieszę się, że przyjechałam.

Liza wyciągnęła do niej rękę.

- Ja też.

Sarah wstała i otrzepała rękawy sukni, którą Liza wciąż do siebie tuliła.

- Pozwól, że będę twoim lustrem. Jesteś ode mnie wyższa i masz pełniejsze kształty. - Zaciskając wargi obeszła Lizę wokół. - Możesz nosić wycięty dekolt, ale powinnaś się pożegnać z falbankami u spódnicy. Twoim kolorem jest róż. Ładnie podkreśliłyby odcień twoich włosów i oczu.

- Możesz mnie sobie wyobrazić w takiej sukni? - Liza zamknęła oczy i obróciła się tanecznym ruchem. - Na wieczorku tanecznym. Zakręciłabym sobie loki i zawiązała na szyi aksamitkę. Willowi Metcalfowi z zachwyty odebrałoby mowę.

- Kto to jest Will Metcalf?

Liza zachichotała.

- Ach, to taki chłopak. Jest zastępcą szeryfa w Lone Bluff. Chciałby być moim kawalerem. I może nawet się na to zgodzę.

- Liza kocha się w Willu! - krzyknął Johnny z podwórka.

- Cicho bądź! - Liza podbiegła do okna i wychyliła się. - Jeżeli się natychmiast nie uspokoisz, powiem mamie, kto stłukł porcelanowy talerz babci.

- Liza kocha się w Willu - powtórzył Johnny, a potem pobiegł za psem.

- Młodszy bracia to dopust boży - powiedziała Liza, po czym odłożyła z westchnieniem suknię do kufra.

Sarah podjęła błyskawiczną decyzję. Właściwie powinna była wpaść na to już wcześniej.

- Lizo, chciałabyś mieć taką samą suknię, tylko różową? Widziałam u ciebie w sklepie ładny muślin.

- Byłabym najszcześliwszą osobą na świecie.

- Mogłabym ci uszyć sukienkę.

- Naprawdę? - Liza spojrzała na kufer, a potem znów na Sarah. - Mogłabyś to zrobić?

- Umiem całkiem niezłe szyć. - Sarah wyjęła z kufra taśmę krawiecką. - Przynies tylko materiał. Jeżeli suknia ci się spodoba, możesz powiedzieć o tym innym paniom, które robią zakupy w naszym sklepie.

- Oczywiście. - Liza posłusznie podniosła ręce, żeby Sarah mogła wziąć miarę. - Wszystkim opowiem.

- Może niektóre z nich także zechcą sprawić sobie nowe, modne suknie. - Podniosła wzrok i dostrzegła błysk zrozumienia w oczach Lizy.

- Założę się, że tak.

- Możesz być pewna, że Will Metcalf wpadnie w zachwyt.

Dwie godziny później Sarah podlewała warzywnik. Szło jej to niesporo. Słońce wciąż paliło niemiłosiernie, bolały ją plecy, woda natychmiast wyparowywała, tak że w którymś momencie zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle warto się tak męczyć. Utrzymanie ogrodu w takich warunkach graniczyło z cudem. Poza tym, jeżeli o nią chodzi, wolałaby kwiaty.

Niestety, kwiatami się człowiek nie naje. Wylała resztki wody na grządkę. Teraz czeka ją kolejna wyprawa do strumienia po wodę do gotowania i mycia.

Ocierając spocone czoło, pomyślała o kąpieli. Oddałaby wszystko za kąpiel w prawdziwej wannie.

Nagle usłyszała tętent koni i z radością stwierdziła, że zaczyna się przyzwyczajając do odgłosów, jakie otaczały jej nowy dom - albo raczej do ich braku. Mrużąc oczy, patrzyła na dwóch jeźdźców, którzy pojawili się w polu widzenia. W jednym z nich rozpoznała Luciusa. Odetchnęła z ulgą.

- Lafitte! - zawołała, ale szczeniak miotał się po podwórzu, głośno ujadając.

- Witam, panno Conway! - Szeryf uchylił kapelusza i roześmiał się na widok rozwścieczonego szczeniaka. - Widzę, że sobie pani sprawiła groźnego stróża

- Niezły kundel - stwierdził Lucius, zsiadając z konia. Lafitte rzucił się na niego i zaczął go szarpać za nogawkę. Lucius nachylił się i złapał psa za skórę na karku. - Co to za maniery, przyjacielu? - Kiedy postawił go na ziemi, Lafitte popędził do Sarah i skrył się za jej spódnicą.

- Podobno miała tu pani jakieś kłopoty. - Barker skinął w stronę zgliszcz. - To się stało wczoraj w nocy?

- Tak. Zechce pan wejść na chwilę? Waśnie miałam pójść po wodę. Na pewno chętnie napije się pan kawy.

- Ja przyniosę wody, panienko - powiedział Lucius, sięgając po wiadro. - Hej, mały! - cmoknął na psa. - Może się ze mną przejdiesz? - Lafitte zawahał się, a potem pobiegł za nim w podskokach.

- Nie myślała pani o tym, żeby go zatrudnić? Sarah popatrzyła w ślad za Luciusem.

- Owszem, zastanawiałam się nad tym.

- Radzę pani to zrobić. - Barker wyjął chusteczkę i otarł kark. - Wprawdzie lubi sobie czasami wypić, ale to uczciwy

człowiek. Był przez jakiś czas żołnierzem. Poza tym, trzeźwy czy pijany, to naprawdę porządny gość. Sarah uśmiechnęła się.

- Potraktuję to jako rekomendację, szeryfie.

- Wracając do rzeczy... - Szeryf znów spojrzął na zgłoszcza. - Chciałbym usłyszeć, co się tutaj stało.

Sarah opowiedziała mu wszystko, a on słuchał uważnie, kiwając głową. Każde jej słowo potwierdzało wersję, jaką przedstawił mu Jake. Jednego mu tylko nie powiedziała, bo nie mogła tego wiedzieć, że Jake pojechał po śladach napastników i odkrył w skałach pozostałości po ognisku.

- Jak pani myśli, dlaczego ktoś chciał zrobić coś takiego?

- Nie mam pojęcia. Ta ziemia nie przedstawia żadnej wartości dla nikogo oprócz mnie. Czy mój ojciec miał jakichś wrogów?

Barker strzyknął brunatną od tytoniu śliną.

- Raczej nie. Szczerze mówiąc, panno Conway, niewiele mogę zrobić. W każdym razie popytam ludzi i trochę się rozejrzę. Może to grupa maruderów. Oni lubią takie awantury - powiedział bez przekonania.

- Tak też sobie pomyślałam.

- Będzie się pani czuła bezpieczniej, mając przy sobie Luciusa.

Sarah podniosła wzrok. Lucius wracał już z wiadrem, a szczeniak deptał mu po piętach.

- Chyba ma pan rację - odparła, chociaż nie tak, jej zdaniem, powinien wyglądać obrońca. Co za pech, że waleczny

rycerz przybrał w jej myślach postać Jake'a Redmana. - Jestem pewna, że jakoś się dogadamy - powiedziała z przekonaniem, którego wcale nie czuła.

- Będę tu zaglądał od czasu do czasu, żeby sprawdzić, jak sobie pani radzi. - Barker dosiadł konia. - Coś pani powiem, panno Conway. Odkąd pamiętam, Matt próbował wyhodować coś na tym kawałku piachu - znów splunął - ale nigdy mu się to nie udało.

- Może ja będę miała więcej szczęścia. Do zobaczenia, szeryfie.

- Do widzenia, panno Conway. - Barker pomachał Luciusowi i spiął konia.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

W ciągu następnego tygodnia Sarah dostała zamówienie na sześć sukien. Z braku wykrojów, musiała posłużyć się wyobraźnią oraz własną garderobą. Każdego ranka szła przez trzy godziny i jeszcze przez kolejne trzy wieczorem. Kiedy znużona kładła się do łóżka, bolały ją oczy i pokłute palce. Raz czy dwa była już tak wyczerpana, że dopiero płacz ukoił ją do snu. Ból po stracie ojca był wciąż zbyt świeży, a warunki życia za trudne.

Na szczęście bywało również inaczej. Coraz częściej zdarzało jej się zasypiać z uczuciem satysfakcji. Prócz sukienek zdążyła uszyć ładne, żółte firanki, a także obrus i serwetki do kompletu. Marzeniem jej było położenie prawdziwej podłogi w całym domu. Miała nadzieję, że uda jej się zarobić szcieniem na kupno desek. Tymczasem musi się zadowolić tym, co ma.

Nigdy by też nie przypuszczała, że zatrudnienie Luciusa okaże się prawdziwym błogosławieństwem. Postawił nową szopę i naprawiał teraz pozostałe zabudowania. Zgodził się też, mimo początkowych protestów, sklecić kurnik, żeby mogła hodować drób. A w nocy sypiał przy koniach i był bardzo zadowolony.

Asystował jej również przy codziennych ćwiczeniach z bronią, łaskocząc Lafitte'a w brzusek.

Jake'a Redmana nie widziała od dnia, w którym udzielił jej lekcji strzelania. To i dobrze, nie miała ochoty oglądać go u siebie. A jeżeli nawet czasami o nim myślała - wstyd przyznać, ale tak było - to wyłącznie z niechęcią.

Najemnik. Człowiek bez czci i zasad. Włóczęga, który nigdzie nie potrafi zagrzać miejsca, zawsze gotów wyciągnąć broń i zabijać. I pomyśleć tylko: niemal uwierzyła, że to ktoś szczególnie, a nawet godny podziwu. Pomógł jej, to prawda, ale pewnie z nudów. A może dlatego, że czegoś od niej chciał? Stąd ten pocałunek. A ona, o zgrozo, nawet nie próbowała się bronić.

Sięgnęła po lustro i uważnie przyjrzała się swojej twarzy. Nie z próżności, lecz w nadziei, że znajdzie odpowiedź na kilka pytań. Jak to możliwe, że jeden pocałunek tak ją zmienił? Prawie co noc śniła o Jake'u i budziła się ogarnięta tęsknotą. Z żenującym uczuciem, że jej miejsce jest w jego ramionach.

To musiało być jakieś chwilowe zamroczenie, pocieszyła się, odkładając lustro. Albo udar słoneczny. Przecież to niemożliwe, żeby pociągał ją człowiek pokroju Jake'a Redmana.

Chyba najwyższa pora, żeby o nim zapomnieć. Może zresztą wyjechał i nigdy więcej go nie zobaczy. Tak czy owak, to już bez znaczenia. Miała teraz własne życie i wyglądało na to, że z pomocą Lizy znalazła sposób na zarabianie pieniędzy. Wzięła trzy pakunki owinięte w brązowy papier i wyszła przed dom.

- Na pewno panienka nie chce, żebym ją zawiózł do miasta?

Sarah położyła paczki na wóz. Lucius stał przy koniach.

- Nie, dziękuję.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że jej umiejętności są

raczej marne, ale dostała wóz od właściciela miejskiej stajni w zamian za uszycie sukien dla jego córek, i chciała je osobiście doręczyć. Posłała Luciusowi promienny uśmiech.

- Miałam nadzieję, że zabierzesz się dziś do budowy kurnika. Chcę wstąpić do pani Miller i zapytać, czyby mi nie sprzedała tuzina kurcząt.

- Dobrze, panienko. - Lucius przestąpił z nogi na nogę i chrząknął. - Będzie dziś upał.

- Wiem. - To żadna nowość. Każdy dzień był tu jednako upalny. - Wzięłam manierkę z wodą na drogę.

Kiedy usiadła na kozle, wygładzając spódnicę, Lucius podjął kolejną próbę:

- Jest jeszcze coś, panienko. Sarah ujęła lejce.

- Co takiego, Lucius? Mów - powiedziała niecierpliwie.

- Skończyła mi się whisky.

- I co? - Uniosła z dezaprobatą brwi.

- Skoro już jedzie panienko do miasta, może by mi panienka przywiozła butelkę.

- Ja? Ja miałabym kupować whisky?

Tego się, niestety, spodziewał.

- Może panienka poprosi kogoś innego, żeby kupił. -

Obdarzył ją szczerbatym uśmiechem i nawet nie splunął. - Byłbym bardzo wdzięczny.

Otworzyła usta, żeby wygłosić kazanie na temat ulegania zgubnym nalogom, a potem je zamknęła. Ten człowiek ciężko pracował, i to prawie za darmo. Nie ma prawa odmawiać mu drobnych przyjemności, jakiegokolwiek one są.

- Zobaczę, co da się zrobić.

- Bardzo dziękuję, panienko. - Lucius rozpromienił się. -

Zaraz się wezmę za ten kurnik. - Uspokojony, wypuścił tytoniowy sok. - Ślicznie dziś panienka wygląda. Jak z obrazka. Usta Sarah drgnęły w uśmiechu. Gdyby ktoś powiedział jej tydzień temu, że szczerze polubi kogoś takiego jak Lucius, uznałaby, że postradał zmysły.

- Dziękuję. W kuchni masz chleb i mięso. - Szarpnęła za lejce.

Ubrała się bardzo starannie na wyprawę do miasta. Jeżeli chciała nakłonić panie, żeby zamówiły u niej nowe stroje, musiała być ich żywą reklamą. Jej suknia miała szczególnie twarzowy odcień zieleni i duży dekolt, ozdobiony kameą. Oblamowana różową wstążką, z rzędem kokieteryjnych falbanek u spódnicy, prezentowała się naprawdę szykownie. Sarah założyła też czepek, żeby osłonić twarz od słońca. O słuszności swojego wyboru przekonała się, gdy tylko wjechała do miasteczka. Dwie najnowsze klientki wybiegły ze sklepu, żeby się jej przyjrzeć.

Kiedy oddała im zamówione sukienki, pospieszyły do domu, żeby je przymierzyć, a ona tymczasem robiła zakupy.

- Sarah! - Liza wyszła zza lady, żeby się z nią przywitać. - Co za prześliczna suknia! Wszystkie panie w tym mieście będą chciały mieć podobną.

- Liczę na to, że je skuszę - roześmiała się Sarah. - To jedna z moich ulubionych sukienek.

- Doskonale rozumiem dlaczego. Co u ciebie? Wszystko w porządku? Ostatnio nie było okazji, żeby się wyrwać ze sklepu.

- Nie miałam więcej żadnych kłopotów. - Podeszła do lady, żeby obejrzeć nowe materiały. - Jestem pewna, że już się nie powtórzą. Szeryf twierdzi, że to jacyś maruderzy.

Dzień dobry, pani Cody - powiedziała na widok matki Lizy, która właśnie wyłoniła się z zaplecza.

- Cieszę się, że cię widzę, Sarah. Ślicznie wyglądasz.
- Dziękuję. Przywiozłam pani sukienkę.
- Szybka z siebie dziewczyna. - Annę Cody wzięła paczkę i podeszła do kasy.
- Nie, nie, proszę mi nie płacić, dopóki jej pani nie obejrzy.

Annę uśmiechnęła się. Na jej policzkach ukazały się dołeczki, zupełnie jak u córki.

- Słusznie. Nie darmo mój Ed powiada, że masz głowę na karku. Wobec tego, najpierw zobaczę, co my tu mamy.
- Kiedy zaczęła rozwijać papier, dwie klientki podeszły bliżej, żeby się przyjrzeć.

- Och, Sarah, jakie to śliczne! - Annę z zachwytem uniosła suknię. Suknia, w odcieniu gołąbkowym, była na tyle prosta, by można ją było nosić w sklepie, a zarazem niezwykle kobieca dzięki wstawkom z koronki przy mankietach i szyi. - Świetna z siebie krawcowa, kochanie.

- Wyszła zza lady, żeby pozostałe klientki mogły ją obejrzeć. - Niech pani spojrzy, pani Miller, co za robota!

Liza z uśmiechem szepnęła Sarah do ucha:

- Zobaczysz, że ona bez trudu załatwi ci z tuzin zamówień. Papa zawsze mówi, że mama potrafiłaby sprzedać beznogiemu nowe buty.

- Proszę, Sarah. - Annę podała jej pieniądze. - Uczciwie zapracowałam na każdego pensa.

- Młoda damo! - Pani Miller nałożyła okulary i obejrzała ścięgi w nowej sukni Annę. - W przyszłym miesiącu wybieram się z wizytą do siostry, do Kansas City. Myślę, że

w kostiumie podróżnym z tego samego materiału wyglądałabym korzystnie.

- Oczywiście - zapewniła ją z uśmiechem Sarah, choć tak naprawdę nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby tęga pani

Miller mogła w czymkolwiek wyglądać korzystnie. - Ma pani doskonałe wycucie koloru. W szarym kostiumie z czerwoną lamówką będzie pani do twarzy.

Sarah opuszczała sklep z trzema nowymi zamówieniami oraz całym nęczeniem materiałów. Liza towarzyszyła jej, tłumiąc chichot.

- To nie do wiary! Udało ci się namówić tę starą kutwę, panią Miller, na dwie nowe suknie!

- To jasne, że ona chce przyćmić swoją siostrę. A ja muszę jej to umożliwić.

- Nie będzie to łatwe. A poza tym, bardzo drogo policzyła ci za kurczęta.

- Nie szkodzi - odparła z uśmiechem Sarah. - Policzę jej bardzo drogo za suknie. Masz trochę czasu, żeby się ze mną przejść? Chciałabym wpaść do pani O'Rourke i zapytać, czy podoba jej się ten materiał w białoniebieskie pążki.

Ruszyły w dół ulicy. Po kilku krokach Liza zatrzymała się nagle. Sarah zobaczyła postawną kobietę nadchodzącą w ich kierunku. Nigdy w życiu nie widziała włosów takiego koloru. Lśniły jak mosiężna klamka w drzwiach gabinetu matki przełożonej. Jaskrawoniebieska jedwabna suknia była zbyt obcisła i nazbyt głęboko wycięta jak na tę porę dnia. Dekolt odsłaniał białe piersi. Na lewej widniał pieprzyk; drugi zdobił kącik karminowych ust. Szła, bezwstydnie kołysząc biodrami, ze złożoną parasolką pod pachą.

Kiedy zbliżyła się do Sarah, przystanęła i zlustrowała ją

od stóp do głów. Uśmiech, który zdobił jej twarz, zmienił się w pogardliwy grymas, po czym kobieta oddaliła się wolnym krokiem.

- Dobry Boże! - Nic innego nie przyszło Sarah do głowy. Potarła nos, ale w powietrzu wciąż unosił się ciężki zapach perfum.

- To Carlotta. Prowadzi „Srebrną Gwiazdę”.

- Ale... czemu wygląda tak... dziwnie?

- No bo to jest... wiesz kto.

- Nie wiem.

- Kobieta o złej reputacji - szepnęła Liza.

- Ach! - Oczywiście Sarah zrobiły się okrągłe jak spodki. Słyszała o nich, oczywiście. Nawet w Filadelfii mówiło się o takich kobietach. Ale żeby spotkać taką na ulicy... - O mój Boże. A czemu ona tak mi się przyglądała?

- Może dlatego, że Jake Redman był u ciebie kilka razy. Jake to jej zdecydowany faworyt. - Liza przygryzła wargi. Gdyby jej matka to usłyszała, obdarłaby ją ze skóry.

- Powinna była się tego domyślić. - Sarah uniosła głowę i ruszyła przed siebie. Nie mogła zrozumieć, czemu nagle zachciało jej się płakać.

Pani O'Rourke powitała ją z radością. Po pierwsze, minął ponad rok, odkąd sprawiła sobie nową suknię, a po drugie, była bardzo ciekawa dziewczyny, która wpadła w oko Jake'owi Redmanowi.

- Pomyślałam sobie, że spodoba się pani ten prążkowany materiał, pani O'Rourke.

- Bardzo ładny. - Maggie O'Rourke czerwoną, spracowaną dłonią pogładziła kreton. - Na pewno wyjdzie z tego ładna sukienka. Michael... mój pierwszy mąż, Michael

Bailey, lubił dobrze ubrane kobiety. Biedak umarł tak młodo. Kiedyś upił się i wsiadł na cudzego konia. Powiesili go jako koniokrada, zanim zdążył wytrzeźwieć.

Co się mówi w takich okolicznościach? Sarah bąknęła coś niezrozumiale, po czym stwierdziła:

- Jestem pewna, że w tych kolorach będzie pani do twarzy.

Maggie parsknęła śmiechem.

- Moje dziecko, dawno przekroczyłam wiek, w którym kobieta może się spodziewać komplementów. Pochowałam dwóch mężów. Pan O'Rourke, świeć Panie nad jego duszą, zginął od pioruna w sześćdziesiątym trzecim. Dobry Bóg nie zawsze chroni pijaków i głupców. Nie mam już ochoty próbować trzeci raz. Kobiety stroją się tylko z dwóch powodów - żeby złapać chłopca, albo żeby go utrzymać.

Świdrującym wzrokiem zmierzyła Sarah od stóp do głów.

- Aleś się dziś wysztafirowała, kochaneczko! Sarah uznała to za komplement i uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Gdyby pani wolała coś innego, mogę...

- Nie powiedziałam, że mi się nie podoba.

- Sarah uszyje pani ładną i praktyczną sukienkę - wtrąciła się Liza. - Moja mama jest bardzo zadowolona ze swojej. A pani Miller zamówiła sobie dwie na wyjazd do Kansas City.

- Naprawdę? Mnie też przyda się coś nowego. Ale żadnych cudów. Nie chcę, żeby moim gościom przychodziły do głowy jakieś bzdury - zachichotała.

- Nawet gdyby któremuś z gości przyszło coś do głowy, po zjedzeniu twojego gulaszu z miejsca by mu przeszło - rozległ się głos Jake'a.

Sarah odwróciła się. Jake był już w połowie schodów.

- Są mężczyźni, którzy chcą od kobiety czegoś więcej niż tylko gulaszu - odcięła się Maggie. - A wy, panienki, strzeżcie się mężczyzn o takim uśmiechu. - Wycelowała palcem w Jake'a. - Wiem coś o tym, bo sama miałam dwóch takich gagatków za mężów. - Mówiąc to, przyglądała się spod oka Jake'owi i Sarah. W końcu postanowiła pomóc losowi. - Lizo, kiedy już mowa o kuchni, coś mi się przypomniało. Potrzebuję pięć kilo mąki. Skocz do sklepu i przynieś mi. Dopiszcie to do mojego rachunku.

- Tak, proszę pani.

- Ja też muszę już iść. - Sarah chwyciła kupon materiału.

- Zaczekaj chwileczkę. Mam na górze starą sukienkę, która może ci posłużyć za wzór. Trzeba ją też pocerować. Ja nie umiem obchodzić się z igłą. Lizo, jeszcze kilo kawy! No, idź już! - Machnęła ręką.

- Zaraz wracam. - Liza wybiegła, a Maggie, zadowolona z siebie, skierowała się ku schodom.

- Ty zawsze strzelasz z grubej rury, Maggie - mruknął Jake, kiedy go mijala.

Sarah stała, tuląc materiał do piersi, i patrzyła na Jake'a. Gardło miała ściśnięte, a nogi jak z waty. Pomyślała, że jeśli jej dotknie albo choćby spróbuje, da mu w twarz.

A on chciał jej dotknąć, znowu poczuć smak jej ust, za-pragnął wziąć ją tutaj, natychmiast. Ale ona wyglądała jak wiosenny kwiatusek na pustyni, i nic takiego nie miało prawa się zdarzyć.

Skoro nie, mógł przynajmniej trochę się z nią podroczyć.

- Dzień dobry, księżniczko. Przyszłaś mnie odwiedzić?

- Z satysfakcją dostrzegł błysk gniewu w jej oczach. Mimo-

wolnym gestem pogładził materiał. Sarah odskoczyła. - Ładny, ale twoja sukienka ładniejsza.

- To nie dla mnie - burknęła, zła na siebie, że odebrała to jako komplement. - Pani O'Rourke chciała sobie uszyć u mnie sukienkę.

- Umiesz także szyć? - Wzrok Jake'a prześlizgnął się po jej twarzy i spoczął na ustach. - Ciągłe mnie zaskakujesz.

- To uczciwy sposób, żeby zarobić na życie. - Wymownie spojrziała na colta na jego biodrze. - Szkoda, że nie wszyscy mogą powiedzieć to o sobie.

Nie sposób opisać, jak poczuł się po tej uwadze, wypowiedzianej zimnym, pogardliwym tonem. Ogarnęła go wściekłość, gorycz wypełniła serce. Przeszył Sarah spojrzeniem.

- Więc słyszałaś już o mnie - powiedział, zanim zdążyła go przeprosić. - To prawda, jestem niebezpiecznym człowiekiem. Kiedy wyciągam broń, kobiety zostają wdowami, a dzieci sierotami. Gdziekolwiek pojedę, towarzyszą mi zapach prochu i śmierć. W moich żyłach płynie krew Apaczów, dlatego mam inny pogląd na życie niż blade twarze. Pakuję kulę w serce, tak jak wilk skacze wrogowi do gardła. Taki się już urodziłem. Dlatego kobiety twojego pokroju powinny się trzymać ode mnie z daleka.

Z jego słów przebijała furia. Ale nie tylko - ucho Sarah wyłowiło również nutę głębokiego przygnębienia.

- Panie Redman! - zawołała. - Bardzo proszę! - Pobie-gła zanim. - Jake!

Przystanął i odwrócił się. Byli niespełna krok za progiem, ale już osaczyły ich upał i kurz.

- Wejdz lepiej do środka i poczekaj na Maggie.

- Proszę cię, wysłuchaj mnie. - Położyła mu rękę na

ramieniu. - Nie bardzo rozumiem, kim jesteś i co robisz, ale wiem, że dołożyłeś wielu starań, żeby mi pomóc. Nie każ mi o tym zapomnieć - dodała szybko - bo to niemożliwe.

- Masz szczególny talent, żeby człowieka zdenerwować - mruknął.

- Nie to chciałam...

- Chyba rzeczywiście nie. Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

- Szczerze mówiąc, ja... - urwała, bo usłyszała wybuch śmiechu w sąsiednim budynku. Jakiś mężczyzna został wypchnięty przez wahadłowe drzwi i wylądował w ulicznym kurzu. Kiedy zrobiła krok w jego stronę, Jake zastawił jej drogę.

- Co ty wyprawiasz?

- Ten człowiek może być ranny.

- Jest zbyt pijany, żeby mógł być ranny.

Zerknęła ponad ramieniem Jake'a i zobaczyła, że pijak zdołał się podnieść i zataczając się, wszedł z powrotem do baru.

- Pijany! I to w biały dzień!

- W biały dzień człowiek upija się równie łatwo jak w nocy.

- Co za wstyd! - Sarah zacisnęła usta. Nagle przypomniała sobie, że choć whisky to szatański wynalazek, obiecała Luciusowi butelkę. - Jake, mogłabym cię o coś poprosić?

- Słucham.

- Potrzebna mi butelka whisky.

- Zdawało mi się, że nie pochwalasz picia.

- To nie dla mnie, tylko dla Luciusa. - Sięgnęła do portmonetki. - Nie wiem, ile kosztuje.

- Jak dla Luciusa, mogę to zrobić. Wracaj do Maggie. Jake wszedł do lokalu. W środku rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Kawał chłopa, prawda? Sarah chwyciła się za serce.

- Och, ale mnie pani przestraszyła, pani O'Rourke.

- Byłaś myślami gdzie indziej - stwierdziła Maggie z wymownym uśmiechem, po czym wręczyła Sarah węzełek. - Przystojny mężczyzna z tego Jake'a. Proste plecy, silne ręce. Czego więcej może chcieć kobieta? - Zerknęła w stronę drzwi, bo hałas w barze przybierał na sile. - Masz tam, na Wschodzie, jakiegoś kawalera?

- Co? - zapytała nieprzytomnie Sarah. Przynęła się do wahadłowych drzwi i usiłowała zerknąć do środka. Wstyd przyznać, ale umierała z ciekawości. - Ach, nie. A przynajmniej nikogo takiego, za kogo chciałabym wyjść za męża,

- Mądra baba potrafi zaciągnąć chłopa do ołtarza i jeszcze mu wmówić, że to jego pomysł. Weźmy Jake' a... - Maggie urwała, bo Sarah krzyknęła z przerażenia. Dwaj szczepieni ze sobą mężczyźni wypadli przez drzwi i zaczęli się okładać pięściami.

- O mój Boże! - Sarah patrzyła z otwartymi ustami, jak biją się, drapią i kopią.

- Mówiłem ci, żebyś weszła do domu. - Jake wyłonił się z baru, trzymając butelkę za szyjkę.

- Właśnie miałam... Och! - Pięść trafiła w nos. Trysnęła krew. - To potworne! Każ im przestać!

- Jeszcze czego. Gdzie zostawiłaś wóz?

- Musisz coś zrobić! - nalegała Sarah. - Nie możesz stać z założonymi rękami i czekać, aż się pozabijają.

- Książniczko, jeżeli im przerwę, rzuca się na mnie. –
Podał jej flaszke. - Dzisiaj nie mam ochoty nikogo
zastrzelić.

Wcisnęła mu w ręce butelkę, materiał i zawiniątko Maggie.

- Wobec tego ja ich rozdzielę.

- Byłaby szkoda, gdybyś straciła kilka tych ślicznych
ząbków.

Spiorunowała go wzrokiem, a potem chwyciła stojącą
przy drzwiach sopluczkę i ruszyła w stronę bijących się
mężczyzn.

- Zuch dziewczyna! - stwierdziła z uśmiechem Maggie.

- Ma charakter!

- Lepiej pilnuj swojego gulaszu, bo ci się przypali -
burknął Jake, ale Maggie tylko się roześmiała.

- Widzę, że ciebie też już zawojowała. Mam nadzieję, że
będę przy tym, kiedy to zrozumie.

Sarah, zdyszana, dopadła kłębiących się ciał, znad
których unosił się odór potu i whisky. Niełatwo było jej
wycelować, ale w końcu się udało - mosiężna sopluczka
wylądowała najpierw na jednej głowie, a potem na
drugiej. Z baru dobiegł ją ryk śmiechu, a potem oklaski.
Udając, że tego nie słyszy, patrzyła na pijaków, którzy w
oszołomieniu rozcierali sobie głowy,

- Jak wam nie wstyd! - powiedziała tonem, z którego
matka przełożona byłaby z pewnością dumna. - Bić się na
środku ulicy jak para uczniaków? Jak wy wyglądacie! Cali
brudni, z rozkwaszonymi nosami! Po co robicie z siebie wi-
dowisko? Wstawajcie! - Mężczyźni sięgnęli po kapelusze
i zaczęli gramolić się na nogi. - Nie wiem, o co wam poszło,
ale chyba potraficie się jakoś dogadać. - Zadowolona z
siebie skinęła głową, po czym wróciła do Maggie i Jake'a.

- Proszę! - oddała Maggie sopluczkę, a potem z satys-
fakcją zwróciła się do Jake'a: - Widzisz? Wystarczyło prze-
mówić im do rozumu.

Jake spojrzał ponad jej ramieniem. Mężczyźni znów ta-
rzali się w kurzu, okładając się kulakami.

- Tak, moja pani. - Wziął ją pod ramię i szybko pociąg-
nął w górę ulicy, żeby ją powstrzymać przed kolejną inter-
wencją. - Gdzie nauczyli cię takich sposobów? W tej twojej
szkółce?

- Miałam parokrotnie okazję zaobserwować, jak zakon-
nice radzą sobie w sytuacjach konfliktowych.

- Walily sopluczką po głowie?

Sarah spojrzała na niego z błyskiem w oku.

- Nie, ale sama wiem, jak to jest oberwać drewnianą li-
nijką.

Wrócili przed sklep, gdzie Sarah zostawiła wóz. W środku
Liza flirtowała z wysokim blondynem w wyglansowanych
butach.

- Czy to Will Metcalf?

- Tak - mruknął Jake, ładując na wóz resztę zakupów.

- Sądzę, że Liza jest w nim zakochana.

Sarah westchnęła. Wizja romansów odpłynęła w dal
wraz z pięknym domem, który ojciec wznosił dla niej w
swojej wyobraźni. Odwróciła się i niespodziewanie
zderzyła się z Jakiem. Chwycił ją, żeby podtrzymać. Jego
ręce spoczęły na jej ramionach. A może romans wcale nie
jest tak odległy? Może jest bliżej, niż śmiałyby
przypuszczać, na wyciągnięcie ręki?

- Uważaj - burknął Jake.

- Zazwyczaj uważam. - Pocałuje ją. Tutaj, na oczach ca-
łego miasta. Czują to.

Chciał ją pocałować. Zostać z nią sam na sam, choć dobrze wiedział, że nic dobrego by z tego nie wynikło.

- Sarah...

- Dzień dobry, Jake! - rozległ się nagle zalotny głos. Carlotta podeszła do wozu i nie zważając na ostrzegawcze spojrzenia Jake'a, który kończył właśnie ładować resztę zakupów, skupiła całą uwagę na Sarah. Była już zdecydowana ją znienawidzić. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem zlustrowała ją od stóp do głów. Jest niewinna, sztywna i nudna. Jake znudzi się nią już po tygodniu. Zanim to nastąpi, już ona postara się obrzydzić tej damulce życie.

- Nie przedstawiś mnie swojej znajomej?

Jake udał, że nie słyszy, i delikatnie pchnął Sarah w stronę wozu. Ale ona nie ruszyła się z miejsca. Nikt nie będzie wyśmiewał się z niej za jej plecami.

- Jestem Sarah Conway. - Nie podała ręki, tylko skinęła lekko głową. Było to posunięcie równie obraźliwe jak przed chwilą bezwstydną oględziną Carlotty.

- Wiem, kim jesteś. - Carlotta uśmiechnęła się, choć jej wzrok stał się lodowaty. - Znałam twojego tatę. I to bardzo dobrze.

Cios był celny. Carlotta roześmiała się z satysfakcją. Kiedy przeniosła wzrok na Jake'a, przestało jej być tak wesoło. Znała już to jego spojrzenie, którym osadzał w miejscu przeciwników. Nie wróżyło niczego dobrego. Urażona, zadarła głowę i odeszła. Jeszcze do niej wróci. Mężczyźni zawsze do niej wracali.

Z zaciśniętymi ustami Jake odwrócił się do Sarah, żeby jej pomóc wsiąść na wóz. Ledwo musnął ją palcami, odskoczyła jak oparzona.

- Nie dotykaj mnie! - wydyszała, bo wciąż trudno jej było złapać oddech. Carlotta trafiła ją w najczulszy punkt. Wizja ojca w ramionach takiej kobiety okazała się nie do zniesienia.

Jake tak naprawdę wolałby teraz odejść. Odwrócić się i po prostu odmaszerować. Wściekły, wsunął ręce do kieszeni.

- Pomogę ci wsiąść, Sarah.

- Nie chcę twojej pomocy! - Odwróciła się gwałtownie i spojrzała mu w twarz. - Nie chcę już od ciebie niczego! Rozumiesz?

- Nie rozumiem, choć czuję, że powinienem.

- Czy ją też całowałeś tak jak mnie? Czy myślisz o mnie w ten sam sposób co o niej i jej podobnych kobietach?

- Kiedy cię całowałem, w ogóle nie myślałem - wybuchnął. - To był mój błąd.

- Panno Conway! - Samuel Carlson zatrzymał się obok wozu. Kiedy zsiadał z konia, wzrok miał utkwiony w Jake'a.

- Ma pani jakieś kłopoty?

- Nie. - Wiedziona instynktem stanęła między mężczyznami. Pistolet Carlona miał rękojeść z kości słoniowej. Śmiercionośna, piękna broń pod elegancką brokatową kamizelką. Świadomość, że nawet tak wytworny mężczyzna gotów jest bez wahania użyć broni, wcale Sarah nie zaskoczyła. - Od mojego przyjazdu pan Redman służy mi nieocenioną pomocą.

- Słyszałem, że miała pani kłopoty.

Sarah uświadomiła sobie nagle, że wbija paznokcie w dłonie. Powoli rozprostowała palce, jednak napięcie nie mijało. Zrozumiała, że jego źródłem są ci dwaj mężczyźni, wymieniający nad jej głową czujne spojrzenia.

- Tak. Na szczęście straty nie były zbyt poważne.
- Miło mi to słyszeć. - Carlson przeniósł wzrok na Sarah, a ona odetchnęła z ulgą. - Przyjechała pani do miasta sama, panno Conway?

- Tak. Myślę, że powinnam już ruszać w drogę.
- Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym panią odwiedzić. To zbyt długa jazda dla samotnej kobiety.
- To miło z pana strony, panie Carlson, ale wolałabym nie sprawiać panu kłopotu.
- Nie ma mowy o żadnym kłopotcie. - Carlson ujął ją pod ramię i pomógł jej wsiąść. - I tak zamierzałem się tam wybrać, żeby złożyć pani uszanowanie. Będzie to dla mnie zaszczyt, jeżeli będę mógł pani towarzyszyć.

Już chciała odmówić, kiedy spojrzała na Jake'a. Wzrok miał lodowaty. Ciekawe, w jaki sposób patrzy na Carlottę.

- Skoro tak, będzie mi bardzo miło - usłyszała swój własny głos. - Żegnam, panie Redman.

Carlson tymczasem uwiązał swojego konia do wozu, a sam zasiadł na koźle.

Przez całą drogę prowadzili niezobowiązującą pogawędkę. O pogodzie, o muzyce, o teatrze. Sarah doszła do wniosku, że to prawdziwa przyjemność spędzić godzinę czy dwie w towarzystwie człowieka, który - podobnie jak ona - rozumiał i doceniał piękno.

- Panno Conway, mam nadzieję, że nie weźmie mi pani tego za złe, jeżeli coś jej doradzę.

- Dobra rada zawsze jest mile widziana - zapewniła go z uśmiechem. - Nawet jeżeli się z niej nie skorzysta.

- Mam nadzieję, że z mojej pani skorzysta. Jake Redman to niebezpieczny typ, z rodzaju tych, co to ściągają na wszystkich

kłopoty. Niech się pani trzyma od niego z daleka. Dla własnego dobra.

Sarah milczała. Gniew, który nagle zapłonął w jej piersi, wprawił ją samą w osłupienie. A przecież Carlson nie powiedział nic, co nie byłoby prawdą i czego by już nie wiedziała.

- Dziękuję za troskliwość - odezwała się w końcu.

- Ale nie przyjmie pani mojej rady, prawda? - powiedział z nutą żalu.

- Nie sędzę, żeby to było konieczne. Teraz, kiedy już się jako tako urządziłam, nie będę miała potrzeby widywać pana Redmana.

Carlson z uśmiechem potrząsnął głową.

- Uraziłem panią.

- Nie, ani trochę. Rozumiem pańskie odczucia co do Jake'a... pana Redmana - poprawiła się szybko. - Incydent między nim a pańskim bratem musiał być dla pana bardzo przykrym przeżyciem.

Carlson zacisnął usta.

- Muszę z przykrością stwierdzić, że Jim był sam sobie winny. Jest jeszcze młody i brak mu rozsądku. Natomiast Redman to co innego. Swoje życie i reputację zawdzięcza głównie temu, że szybko wyciąga broń.

- Przecież to nie jest życie.

- Widzę, że obudziłem w pani współczucie. Nie to było moim zamiarem. - Carlson dotknął jej dłoni. - Jest pani piękną, wrażliwą kobietą. Nie chciałbym, żeby ktoś panią zranił.

Od tak dawna nikt nie nazwał jej piękną. Chyba od tamtego walca w domu Lucilli.

- Dziękuję, ale może pan być spokojny. Szybko się uczę samodzielności.

Kiedy wjechali na podwórko, szczeniak rzucił się do wozu, głośno szczekając.

- Widzę, że urósł - zauważył Carlson. Wsiadł i podszedł do Sarah, obszczekiwany przez Lafitte'a.

- Uspokój się! - Sarah ofuknęła psa. - Tak, rośnie na świetnego stróża. I, dzięki Bogu, dobrze żyje z Luciussem. Może napije się pan kawy?

- Z przyjemnością. - Kiedy weszli do domku, Carlson rozejrzał się po skromnym wnętrzu. - Miałem trudności z wyobrazeniem sobie pani w tych warunkach. Do pani pasuje raczej tapeta w kwiatki, i błękitne zasłony.

Sarah roześmiała się.

- Obawiam się, że będę musiała jeszcze trochę poczekać na tapety i zasłony. Najpierw chciałabym położyć podłogę. Proszę, niech pan spocznie.

Wyjęła z puszki herbatniki własnego wypieku i rozłożyła na stole wyhaftowaną przez siebie serwetkę.

- Nie czuje się tu pani samotna?

- Nie mam na to czasu. Choć muszę przyznać, że spodziewałam się czegoś innego.

- Szkoda, że ta kopalnia nie przyniosła pani ojcu żadnych dochodów.

- Ale dała mu nadzieję. - Sarah pomyślała o pamiętnikach. - potrzebował nadziei bardziej niż czegokolwiek innego.

- Ma pani rację. - Carlson upił łyk kawy. - Nie wiem, czy pani wie, że jakiś czas temu chciałem od niego odkupić kopalnię.

- Naprawdę? - Sarah usiadła przy stole. - Dlaczego?

- Z czystego sentymentu. - Carlson uśmiechnął się z żałowaniem. - To śmieszne, prawda? Mój dziadek był kie-

dyś właścicielem tych terenów. Przegrał je w pokera, gdy byłem małym chłopcem. Potem przez całe życie pluł sobie w brodę. - Sięgnął z uśmiechem po herbatnika. - Miał oczywiście ranczo. Tysiąc dwieście akrów z najlepszą wodą w tej okolicy. Mimo to do końca życia żałował, że tak lekkomyślnie pozbył się kopalni.

- Coś musiało w niej być, skoro nikt nie chciał się z nią rozstać. Mój ojciec także był do niej przywiązany.

- Matt kupił ją od człowieka, który wygrał ją w karty, i z miejsca wpadł po uszy. Wierzył, że trafi na żyłę złota. Nie sądzę, żeby było tu jakieś większe złożo. Po śmierci ojca pomyślałem sobie, że może dobrze byłoby, gdyby kopalnia wróciła do rodziny. W hołdzie jego pamięci. Matt nie chciał się z nią rozstać.

- Miał swoje marzenia - westchnęła Sarah. - I to one go zabiły.

- Przepraszam, zasmuciłem panią mimo woli.

- Nie ma za co. Brak mi go, to wszystko. Zawsze będę za nim tęskniła.

- Może to nie jest dobry pomysł, żeby zostawać tu, gdzie zginął ojciec.

- Ale to wszystko, co mam.

Carlson poklepał ją po ręce.

- Jak już mówiłem, jest pani wrażliwą istotą. Chciałem odkupić ten kawałek ziemi od pani ojca, a teraz ponawiam propozycję. Oczywiście tylko gdyby była pani skłonna go sprzedać.

- Sprzedać? - Spojrzała na niego ze zdumieniem. Słońce świeciło przez żółte firanki, zalewając pomieszczenie złotym blaskiem. - To bardzo wielkoduszna oferta, panie Carlson.

- Czuję się zaszczycony, gdyby zechciała pani mówić mi Samuel.

- To wielkoduszne i miłe z twojej strony, Samuelu. - Sarah wstała i podeszła do okna. Wkrótce słońce przepali cienki materiał, tak jak wypaliło tę ziemię. Dotknęła glinianej ściany. Była chłodna. To cud. Taki sam jak upór, który trzymał ludzi w tym miejscu. - Nie sądzę, żebym na razie chciała się stąd wyprowadzać.

- Nie musisz od razu podejmować decyzji. - Carlson podszedł do okna i położył jej dłoń na ramieniu.

Uśmiechnęła się. Miło poczuć, że ktoś się o nią troszczy.

- Życie tutaj jest bardzo trudne. A jednak wydaje mi się, że nie mogę wyjechać, bo zdradziłabym w ten sposób pamięć ojca.

- Wiem, jak to jest stracić rodzinę i ile potrzeba czasu, żeby odzyskać równowagę. - Carlson odwrócił ją ku sobie. - Znałem Matta na tyle dobrze, by wiedzieć, że pragnął dla ciebie wszystkiego, co najlepsze. Jeżeli zdecydujesz się wyjechać, daj mi znać. Moja oferta będzie zawsze aktualna.

- Dziękuję - powiedziała i splonęła rumieńcem, gdy podniósł jej dłoń do ust.

- Naprawdę chcę ci pomóc, Sarah. Mam nadzieję, że mi na to pozwolisz.

- Panno Conway!

Drgnęła, a potem spojrzała z westchnieniem na Luciusa, który stanął w progu.

- Słucham.

Lucius przyglądał się Carlsonowi przez chwilę, a potem odwrócił głowę i splunął.

- Mam wyprześć?

- Tak, proszę.

- A co z trzecim koniem? - zapytał, nie ruszając się z miejsca.

- Będę już jechał. Dziękuję za towarzystwo, Sarah.

- Było mi bardzo miło.

Kiedy wyszli na dwór, Carlson nałożył kapelusz.

- Mam nadzieję, że będę mógł cię jeszcze odwiedzić.

- Oczywiście. - Schyliła się, żeby wziąć na ręce psa, który znów zaatakował Carlsona. - Do widzenia, Samuelu.

Poczekala, aż odjedzie", po czym puściła szczeniaka i podeszła do Luciusa.

- Lucius, zachowałeś się bardzo niegrzecznie.

- Skoro panienka tak uważa.

- Owszem, tak uważam - powiedziała zgnębiona. - Pan Carlson był na tyle uprzejmy, że przywiózł mnie z miasta. A ty patrzyłeś na niego takim wzrokiem, jakbyś chciał mu wpakować kulę.

- Może i tak.

- Na miły Bóg, dlaczego?

- Niejeden wilk chodzi w owczej skórze.

Sarah wzniosła oczy do nieba i postanowiła się poddać. Wyciągnęła butelkę whisky i zobaczyła, że oczy mu zalśniły.

- Dostaniesz ją, ale musisz najpierw zdjąć koszulę.

Lucius się zdumiał.

- Co takiego, panienko?!

- Spodnie też. Masz się rozebrać do naga.

- Mogę zapytać dlaczego, panno Conway?

- Bo chcę wyprać twoje ubranie. Już wystarczająco długo

tolerowałam jego zapach. I twój przy okazji. Ja pójdę to wyprać, a ty w tym czasie weź kostkę mydła i idź się umyć.

- Ale panienko...

- Dam ci tę butelkę, dopiero kiedy będziesz czysty. Weź mydło, wiadro wody i idź do szopy. Jak się rozbierzesz, rzuć mi łachy.

Lucius niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- A jak tego nie zrobię, to co?

- To wyleję wszystko do ostatniej kropelki.

Idąc do szopy, Lucius trzymał się za serce. Był śmiertelnie przerażony, że mogłaby to zrobić naprawdę.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sarah zakasała rękawy, podwinęła spódnicę i wzięła się do prania.

Szkoda, że te szmaty się nie spaliły, pomyślała, wrzucając do strumienia sztywne od brudu spodnie Luciusa. Woda z miejsca zabarwiła się na brązowo. Krzywiąc się z obrzydzenia Sarah zaczęła je płukać. Musi jeszcze trochę potrwać, zanim zaczną wyglądać jako tako, była jednak zdecydowana coś z nimi zrobić.

„Czystość idzie w ślad za boskością”.

Tak brzmiało jedno z przysłów, wyhaftowanych na matce w gabinecie matki przełożonej. Zamiarem Sarah było, by Lucius zbliżył się do Boga - oczywiście na tyle, na ile to możliwe. Bez względu na to, czy mu się to podoba, czy nie.

Zostawiła spodnie w wodzie, żeby się porządnie namoczyły, po czym czubkami palców chwyciła jego wypłowiałą koszulę. Obrzydliwość, pomyślała, trąc i wyzymając materiał, absolutna obrzydliwość. Te łachy nie były prane od co najmniej roku. A to, niestety, oznaczało, że sam Lucius równie rozpaczliwie potrzebował wody i mydła. Ona już tego dopilnuje, żeby zmienił swoje higieniczne nawyki.

Trzeba było widzieć jego minę, kiedy mu zagroziła, że wyleje whisky. Biedny Lucius. Chociaż wygląda na twar-

działa, jest w głębi duszy łagodny jak baranek i bardzo potrzebuje kobiecej ręki.

Jak większość mężczyzn. Tak przynajmniej mówiła Lucilla. Wgniatając koszulę Luciusa, Sarah zastanawiała się, co powiedziałyby przyjaciółka o Jake'u Redmanie. W nim na pewno nie ma za grosz miękkości, żeby nie wiem jak jej szukać. A jednak potrafił być całkiem miły. Od czasu do czasu zachowywał się tak, jakby miał dobre serce. Ale tylko w sporadycznych przypadkach. I tylko przez chwilę. Bo zaraz potem postępował w sposób niewybaczalny.

Jak wtedy, kiedy ją pocałował. A całował tak, że krew się w niej burzyła, brakowało tchu. Nie miał prawa tak uczynić, a potem zostawić ją, roztrzęsioną i zdezorientowaną.

Powinna była dać mu w twarz. Z całych sił uderzyła koszulą o wodę i uśmiechnęła się z satysfakcją. Trzeba było z miejsca wybić mu z głowy tę jego arogancję. Atak w ogóle, to przecież ona powinna była odejść.

Następnym razem... Nie, nie będzie następnego razu. Jeżeli Jake Redman dotknie jej jeszcze raz... nie będzie mu się w stanie oprzeć. Niestety. Boże, co za wstyd!

Kiedy na nią patrzył, działały się z nią okropne rzeczy. Nigdy w życiu czegoś takiego nie doświadczyła. Serce zaczynało bić jej szybciej w piersi, wilgotniały dłonie. A wszystko z powodu jednego spojrzenia. Jake miał tak przenikliwy wzrok. Odnosiła wrażenie, że potrafi przejrzeć ją na wskroś i czytać w jej myślach.

To jakiś absurd! Przecież to rewolwerowiec, człowiek bez sumienia. A ją przez całe życie uczono, że granica między dobrem a złem jest wyraźna i nikomu nie wolno jej przekraczać.

Uczono ją też, że zabójstwo jest grzechem najcięższym i niewybaczalnym. Jake nie tylko zabijał, ale na pewno nie raz, nie dwa jeszcze zabije. Skoro ona o tym wie, nie powinno jej na nim zależeć. A jednak jej zależy. I nie tylko. Szczerze mówiąc, pragnie go i potrzebuje.

Zanurzyła ręce po łokcie w zimnej wodzie i po chwili oprzytomniała. Takie rozmyślenia są bez sensu i przynoszą więcej szkody niż pożytku. Nie powinna myśleć o Jake'u Redmanie. Jeżeli już - to raczej o Samuelu Carlsonie. Carl-son to mężczyzna elegancki i dobrze wychowany. On na pewno wie, jak należy traktować kobiety. Nie rzuca się na nie niczym dzikus. Przy nim kobieta może czuć się bezpiecznie.

A skoro tak, to dlaczego żałowała, że to nie Jake odwiózł ją do domu?

To jakiś nonsens. A ona, jak na razie, ma już dość nonsensów. Wyjęła koszulę i otarła czoło. Szkoda, że nie można pozbyć się niechcianych myśli w ten sam sposób, jak człowiek pozbywa się brudu.

Skoro znalazła się w tak ciężkiej sytuacji, chciała przynajmniej, żeby jej życie było uporządkowane. Nie musi być tak wspaniałe, jak to sobie wyobrażała, ale niech przynajmniej będzie dobrze zorganizowane. Nawet tutaj. Przysiadła na piętach i rozejrzała się wokół. Słońce chyliło się ku zachodowi. Wyglądało jak złota kula. Na tle szkarłatnego nieba rysowały się pionowe skały, jak groźne, tajemnicze posagi.

Powietrze pachniało jałowcem. Odgłosy natury, nie przerażały jej już tak jak dawniej. Spojrzała w górę. Po niebie szybował orzeł, z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Władca

przestworzy. A u jej stóp szemrał strumień, płynący leniwie wśród skał.

Nagle poraziło ją surowe piękno przyrody, nietkniętej ludzką ręką. Wcześniej go nie dostrzegła, bo po prostu nie chciała tego widzieć.

Po raz pierwszy od przyjazdu poczuła więź z otoczeniem, jakby wreszcie znalazła swoje miejsce na ziemi. Błogi spokój wstąpił w jej serce. Miała rację, że zdecydowała się zostać. Tu jest jej dom. Odnalazła go. Nareszcie.

Kiedy wstała, żeby rozłożyć na kamieniach wypraną koszulę, uśmiech opromieniował jej twarz. A potem kątem oka dostrzegła cień i podniosła głowę.

Było ich pięciu. Mieli długie, czarne włosy. Cztery siedzieli na koniach, piąty bezszelestnie skradał się w jej stronę. Biała blizna przecinała mu policzek, od brody po skroń. W ręku trzymał nóż. Patrzyła na niego przez ułamek sekundy, a potem zaczęła krzyczeć.

Lucius usłyszał tętent i chwycił pas z kaburą. W długich trykotach, z namydloną twarzą, wyszedł z szopy. Jake osadził konia i przyjrzał mu się, kiwając głową.

- Tylko mi nie mów, że już wiosna.

- Piekielne baby. - Lucius splunął tytoniowym sokiem.

- Masz rację. - Jake zsiadł z konia i uwiązał go do płotu. Lafitte podbiegł w podskokach, poszczekując radośnie. - Wybierasz się na tańce?

- Nigdzie się nie wybieram. - Lucius spojrzął ze złością w stronę domu. - Zagroziła mi. Tak, to była groźba, bez dwóch zdań. Powiedziała, że jak się nie wykupię nie dam jej do prania moich rzeczy, wyleje całą whisky, którą mi kupiła.

Jake roześmiał się. Oparł się o płot i zaczął skręcać papierosa.

- Może ona nie jest aż taka głupia, na jaką wygląda.

- Ona wygląda jak należy, ale jest uparta jak muł. - Wytarł w trykoty namydlone ręce. - A ty co tu robisz?

- Przyjechałem, żeby z tobą pogadać.

- Akurat. Przecież mam oczy. Nie ma jej tu.

- Powiedziałem, że przyjechałem, żeby porozmawiać z tobą - zirytował się Jake. - Sprawdziłeś wszystko w kopalni?

- Tylko zajrzałem. Ona, nie daje człowiekowi chwili wytchnienia. - Nachylił się i rzucił psu kamyk. - Ciągłe chce, żeby jej coś zbudować albo naprawić. Ale dobrze gotuje. - Poklepał się po brzuchu. - Nie mogę narzekać,

- Widziałeś coś?

- Obejrzałem miejsce, w którym Matt pracował. 1 zawalony chodnik. - Znowu splunął. - Nie powiem, żeby mi się podobało grzebanie w tej dziurze. Może mi przynajmniej powiesz, czego mam szukać.

- Jak znajdziesz, sam się domyślisz. - Jake spojrzął na dom. Zauważył, że w oknach wiszą firanki. - Czy ona chodzi tam czasami?

- Tak, ale nie wchodzi do środka, tylko przysiada na grobie. Kiedy na nią patrzę, serce mi pęka.

- Widzę, że masz do niej słabość. - Jake podrapał Lafitte za uszami.

- I ty mi to mówisz? - Lucius roześmiał się. Należał do tych nielicznych, którzy nie bali się Jake'a. - Mnie nie oszukasz, chłopcze. Za długo cię znam. Może to cię zainteresuje, że Samuel Carlson wpadł tu z wizytą.

Jake wzruszył ramionami i puścił kłęb dymu.

- Wiem. - Zaciągnął się papierosem, a potem cicho zaklął. - Długo siedział?

- Wystarczająco długo, żeby ją oczarować. Widziałem, jak całował ją po rękach.

- Ach tak? - Jake poczuł przyływ furii. Cisnął na ziemię papierosa. - Gdzie ona jest?

- Nad strumieniem. Chyba. - Kryjąc uśmiech, Lucius nachylił się i wziął psa na ręce, żeby szczeniak nie pobiegł za Jakiem. - Nie robiłbym tego na twoim miejscu. Zobaczysz, że będzie awantura.

Jake nie wiedział jeszcze, co zamierza zrobić, ale czuł, że cokolwiek to będzie, Sarah na pewno się to nie spodoba. Trudno, ale trzeba ją trzymać krótko. Już on jej powie, co o tym wszystkim sądzi! Żeby taki Carlson śmiał dotykać jej swoimi łapskami! Na samą myśl o tym zatrzęsła nim zazdrość.

Kiedy usłyszał krzyk, w ułamku sekundy wyciągnął broń. Ostatni odcinek drogi pokonał galopem. W uszach dźwięczały mu krzyki Sarah i tętent koni. Nawet z daleka rozpoznał profil Małego Niedźwiedzia. Gniew, który w nim zapłonął, nagle ostygł. Schował pistolety do kabury.

- Znowu się spóźniłeś - powiedział do psa, który dogonił go i weszyl wokolu, glosno warczac.

Nadbiegl Lucius, w samej tylko bieliznie.

- Co się stało? - zapytał, a kiedy Jake milczał, nachylił się i obejrzał ślady. - Apacze. - Podniósł wzrok i zobaczył swoją koszulę na kamieniach. Suszyła się na słońcu, świeżo wyprana. - Niech to wszyscy diabli! - Klnąc podbiegi do Jake'a - Poczekaj, włożę tylko buty i coś na grzbiet. Nie zostawili zbyt wielu śladów.

- Pojadę sam.

- Ale ich było czterech, a może i więcej.

- Pięciu. - Jake wrócił na polankę. - Chcę jechać sam.

- Posłuchaj, chłopcze. Nawet jeżeli to był Mały Niedźwiedź, nie masz żadnych gwarancji. Kiedy się widzieliście po raz ostami, byliście dziećmi, a później wasze drogi się rozeszły.

- To był Mały Niedźwiedź. A ja nie potrzebuję żadnych gwarancji. - Wskoczył na konia. - Przywiozę ją z powrotem.

-Postaraj się - powiedział Lucius.

- Jeżeli nie wrócę do jutra wieczorem, zawiadom Barkera. Będę zostawiał ślady, po których nawet on mnie znajdzie. - Spiał konia i puścił się galopem na północ.

Sarah nie zemdlala, lecz wcale nie byla pewna, czy to dobrze. Zostala brutalnie wrzucona na konski grzbiet i musiala z calej sily trzymac sie grzywy, zeby nie spaść na ziemie. Za nia jechal Indianin z blizna. Od czasu do czasu wykrzykiwal cos do swoich towarzyszy, wymachujac nowiutkim winchesterem. Do konia zawlokł ja za wlosy i wciaz wydawal sie nimi zafascynowany. Kiedy poczula, ze wtula w nie nos, wzdrygnela sie, zamknela oczy i zaczela sie modlic.

Pędzili w stronę skalistych wzgórz, a konie, niestrudzone, zdawały się doskonale znać drogę. Upał był morderczy. Sarah, umęczona, z trudem powstrzymywała się od łez. Nie chciała umrzeć, płacząc. Bez wątpienia ja zabija. Ale nie to ja najbardziej przerażalo, tylko wizja tego, co moga zrobic z nia przed smiercia.

Dosyc nasluchala sie mrozacych krew w zylach opowieści

o tym, co Indianie wyprawiają z pojmanymi kobietami. Kiedyś uważała, że to bzdury, podobnie jak te historyjki, którymi straszy się niegrzeczne dzieci. Teraz zaczęła się bać, że opowieści te są zaledwie bladym odzwierciedleniem rzeczywistości.

Wspinali się coraz wyżej. Powietrze stawało się chłodniejsze, a kępy sosen i bystre strumienie ożywiły spalone słońcem góry. Kiedy konie zwolniły, była wyczerpana i obolała jak nigdy w życiu. Indianie rozmawiali ze sobą w języku, którego nie знаła. Nie miało to jednak dla niej żadnego znaczenia. Podobnie jak upływ czasu, Mieli za sobą długie godziny jazdy. Poznała to po słońcu, które chyliło się ku zachodowi, barwiąc niebo krwawą luną.

Kiedy się zatrzymali, naszła ją szalona myśl, żeby spać konia i uciec. Zaraz została brutalnie ściągnięta na ziemię. Upadła i ogłuszona próbowała złapać oddech.

Trzej Indianie napelniali skórzane bukłaki nad strumieniem. Jeden z nich wyglądał jak chłopiec, ale wiek nie grał tu pewnie żadnej roli. Później napoili konie, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

Kiedy doszła trochę do siebie, uniosła się na łokciach i zobaczyła, że Indianin z blizną klóci się z drugim, który wyglądał na przywódcę. Ten drugi miał surową twarz o pięknie rzeźbionych rysach, orle pióro we włosach i naszyjnik z białych kości. Przyjrzał jej się obojętnym wzrokiem, a potem dał znak towarzyszom.

Znów zaczęła się cicho modlić, bo Indianin z blizną ruszył w jej stronę. Pociągnął ją na nogi i zaczął bawić się jej włosami. Wódz gardłowym tonem wydał mu jakieś polecenie, ale ten z blizną prychnął i sięgnął jej do gardła. Wstrzymała

oddech, ale on tylko zerwał jej z szyi wstążkę z kameą. A potem, chwilowo usatysfakcjonowany, pchnął ją w stronę strumienia i pozwolił się napić.

Ugasiwszy pragnienie, pomyślała, że być może śmierć nie jest wcale tak blisko, jak jej się wydawało. Może jakimś sposobem uda jej się ująć z życiem? Nie należy popadać w rozpacz, tłumaczyła sobie, ochlapując twarz lodowatą wodą. Może ktoś przyjdzie jej z pomocą.

Ktoś? Jake!

Omam nie wykrzyknęła jego imienia, kiedy Indianin szarpnął ją za rękę. Broszkę z kameą miał przypiętą do skórzanej kamizelki. Jak trofeum. Ale nic z tego! Kamea jej matki nie będzie zdobyczą jakiegoś dzikus! Rozwścieczona sięgnęła po broszkę, ale została obalona na ziemię. Brutalne szarpnięcie rozdarło jej bluzkę. Zaczęła się bronić, zębami i paznokciami. Usłyszała krzyk bólu, a potem grzmiący męski śmiech. W końcu jej prześladowca związał jej ręce rzemieniem, i choć wiała się i wrywała, szlochając z wściekłości, wrzucił ją na koński grzbiet. Tym razem związał jej również nogi pod brzuchem zwierzęcia.

W ustach miała smak krwi, w oczach łzy. Wspinali się coraz wyżej i wyżej.

Czasami udawało jej się zapaść na chwilę w drzemkę. Tylko w ten sposób mogła zapomnieć o nieznośnym bólu spętanych rąk i nóg. Rozrzedzone powietrze sprawiało, że kręciło jej się w głowie. Jechali wzdłuż wąskiego kanionu, który zdawał się nie mieć dna. Chyba że w piekle. Oczy znów zaczęły jej się kleić. Tak, to musi być droga prosto do piekła.

Dokądkolwiek ją zabierali, był to zupełnie inny świat

świat lasów, rzek i skalnych urwisk. Nie miało to znaczenia. Bo ona albo umrze, albo ucieknie. Nie było innego wyjścia.

Chodzi tylko o to, żeby przeżyć.

Wcześniej nie rozumiała, co Jake chciał przez to powiedzieć, ale teraz już wiedziała. Są takie momenty w życiu, kiedy istnieje albo życie, albo śmierć. Jeżeli będzie musiała zabić, żeby uciec, zabije bez litości. Gdyby ucieczka się nie powiodła, a oni chcieli zrobić z nią to, czego tak się obawiała, znajdzie jakiś sposób, żeby odebrać sobie życie.

Wspinali się coraz wyżej i wyżej. Zapadał zmierzch. Wokół rozśpiewały się ptaki nocy. Pohukiwały sowy. Drzewa stały w złoto-purpurowej poświacie, poruszane wiatrem. Było coraz chłodniej i Sarah drżała z zimna w podartej bluzce. Nie pozostało jej już nic prócz dumy.

Znowu zapadła w sen. Śniło jej się, że jada z Lucilla przez las, rozmawiając o nowym czepku, który oglądały tego ranka. Śmiały się, plotkowały o mężczyznach, w których się zakochają i za których wyjdą za mąż. Oczywiście ich wybrańcy będą musieli być wysocy, silni i zabójczo przystojni.

Potem śniła o Jake'u i jego pocałunkach - tym wyśnionym i tym prawdziwym. We śnie Jake przyjeżdżał po nią na swoim szarym koniu i zabierał gdzieś daleko, w bezpieczne miejsce. Trzymał ją w ramionach, pocieszał i ogrzewał.

A potem nagle konie się zatrzymały.

Kiedy przecięto jej więzy, nie miała już nawet sił, żeby się modlić. Została zdjęta z konia i położona na ziemi, bo nie zdołała utrzymać się na nogach. Zbyt wyczerpana, by płakać,

leżała w milczeniu, licząc swoje oddechy. W którymś momencie musiała zasnąć, bo kiedy się ocknęła, usłyszała trzask ognia i cichy gwar posilających się mężczyzn.

Tłumiąc jęk, spróbowała się podnieść, ale czyjaś ręka przygniotła ją z powrotem do ziemi.

Indianin z blizną nachylił się nad nią. Płomienie odbijały się w jego ciemnych oczach. Mówił coś w jakimś niezrozumiałym języku. Słuchając go, przysięgła sobie, że go pokona. Dotknął jej włosów, a potem przecesał je palcami. Widocznie mu się podobały, bo uśmiechnął się, zanim sięgnął po nóż.

Miała nadzieję, że poderżnie jej gardło. Taki koniec byłby najszybszy. On jednak zaczął rozcinać jej spódnicę. Broniła się, wierzgając jak szalona, ale on skutecznie blokował kopniaki, a potem unieruchomił jej nogi własnymi udami. Kiedy usłyszała trzask rozdieranego materiału, zaczęła uderzać na oślep związanym rękami. Napastnik zamachnął się, żeby jej oddać, ale w tym samym momencie od ogniska rozległo się wołanie. Porywacze podnieśli się z łukami i strzelbami gotowymi do strzału.

Z mroku wyłoniła się sylwetka jeźdźca. Kolejny sen, pomyślała z westchnieniem. Wtedy on spojrzał na nią, a w nią wstąpiło życie. Poderwała się na równe nogi.

- Jake!

Chciała podbiec do niego, ale ktoś szarpnął ją do tyłu. Jake nie wykonał żadnego gestu, tylko nie spuszczając z niej wzroku, skierował konia w stronę grupki Apaczów. Zaczął mówić, ale jego słowa zabrzmiały dziwnie i niezbyt zrozumiale.

- Minęło dużo czasu, Mały Niedźwiedziu.

Mały Niedźwiedź opuścił strzelbę i czekał.

- Myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę, Szare Oczy. Jake zsiadł spokojnie z konia, choć nerwy miał napięte jak postronki.

- Nasze drogi się rozeszły, a teraz znów się skrzyżowały. - Popatrzył przenikliwie w oczy, które znał równie dobrze jak swoje własne. Łączyła ich miłość, niewielu było w stanie ją pojąć. - Pamiętam umowę dwóch chłopców. Podpisaliśmy ją własną krwią. Przysięgliśmy sobie, żaden z nas nigdy nie podniesie ręki na drugiego.

- Przysięga krwi nie została zapomniana. - Mały Niedźwiedź wyciągnął rękę. Mężczyźni uściskali się. - Może zjesz z nami?

Jake skinął głową i zasiadł przy ognisku, żeby poczęstować się dziczyzną. Kątem oka widział, że Sarah leży na ziemi i patrzy na niego. Była przeraźliwie blada ze zmęczenia i strachu. Miała cienie pod oczyma, podarte ubranie i wyraźnie zmarzła. Jeśli jednak chciał ją uratować, musiał przestrzegać tradycji. Dlatego, choć był spięty, jadł i pił bez pośpiechu.

- Gdzie reszta naszego plemienia?

- Jedni umarli, inni zaginęli, jeszcze inni uciekli. - Mały Niedźwiedź zapatrzył się ponuro w ogień. - Długie Noże wybiły nas jak zwierzynę. Ci, co przeżyli, ukrywają się teraz w górach.

- A Krzywa Ręka i Słomiany Kosz?

- Żyją. Na północy, gdzie zimy są długie i ciężko polować. - Kiedy zwrócił oczy na Jake'a, wycierał z nich gniew, dobrze znany Jake'owi. - Nasze dzieci nie śmieją się, a kobiety przestały śpiewać, Szare Oczy.

Rozmawiali długo przy ognisku, przywoływali wspo-

mnienia wspólnie spędzonych chwil oraz ludzi, których obaj kochali. Łącząca ich więź była równie silna jak wtedy, kiedy Jake żył wśród nich i uważał się za Apacza. Jednak czasy te dawno minęły i obaj doskonale o tym wiedzieli.

Po skończonym posiłku Jake wstał. -

- Porwałeś moją kobietę, Mały Niedźwiedziu. Przyjechałem, żeby ją odebrać.

Mały Niedźwiedź podniósł rękę, zanim jego towarzysz z blizną zdażył coś powiedzieć.

- Nie jaja porwałem, tylko Czarny Jastrząb. Dlatego to nie ja mam ci ją zwrócić.

- Wobec tego możemy dochować przysięgi. - Jake zwrócił się do Czarnego Jastrzębia. - Porwałeś moją kobietę.

- Jeszcze z nią nie skończyłem. - Czarny Jastrząb dotknął rękojeści noża. - Chcę ją zatrzymać.

Mógłby się z nim targować. Dla Indianina strzelba przedstawiała większą wartość niż życie kobiety. Ale targowanie się byłoby równoznaczne z utratą twarzy. Skoro nazwał Sarah swoją kobietą, był tylko jeden sposób, żeby ją odzyskać.

- Ten, który przeżyje, będzie ją miał. - Odpiał pas i wręczył go Małemu Niedźwiedziowi. Niewielu ludziom ufał na tyle, żeby oddać im swoją broń. - Porozmawiam z nią. -

Podszedł do Sarah, a Czarny Jastrząb zaintonował wojenną pieśń.

- Mam nadzieję, że ci smakowało - prychnęła Sarah. - Przez chwilę myślałam, że przybyłeś mi na odsiecz.

- Robię, co mogę.

- Właśnie widziałam. Siedząc przy ognisku, gawędząc i jedząc. Mój ty bohaterze.

W odpowiedzi błysnął zębami w uśmiechu, a potem zamknął jej usta długim, zachłannym pocałunkiem.

- Ale z ciebie diablina, Sarah. Siedz cicho i pozwól mi działać.

- Zabierz mnie do domu. - Zapominając o dumie, chwyciła go kurczowo za koszulę. - Błagam cię!

- Obiecuję. - Uścisnął jej rękę, a potem wstał i przyłączył się do śpiewu. Jeżeli to prawda, że istnieją czary, chciał także wykorzystać należny mu przydział.

Kiedy pieśń umilkła, przeciwnicy stanęli obok siebie w blasku ognia, a najmłodszy wojownik związał ich za lewe nadgarstki. Błysnęły noże. Sarah poderwała się na równe nogi. Mały Niedźwiedź położył jej ciężką dłoń na ramieniu.

- Nie możesz ich powstrzymać - odezwał się ze spokojem.

- Nie! - Szarpnęła się, gdy ostrza uniosły się w górę. - O Boże! Nie!

- Rozleję twoją białą krew, Szare Oczy - syknął Czarny Jastrząb, gdy ostrze zazgrzytało o ostrze.

Związani za lewe ręce dźgali, odskakiwali i atakowali, z jednakową furją. Jake walczył w ponurym milczeniu. Jeżeli przegra, wykrwawi się na śmierć, a Czarny Jastrząb uczci swoje zwycięstwo, gwałcąc Sarah. Na myśl o tym mgła przesłoniła mu oczy. Czarny Jastrząb wykorzystał ten moment nieuwagi i rozciął mu ramię. Trysnęła krew. Jej zapach pozwolił Jake'owi oderwać myśli od Sarah i skupić się na walce.

Spocone twarze lśniły w świetle księżyca. Ptaki odleciały, spłoszone szczękiem ostrzy i zapachem krwi. Słychać było chrapliwe oddechy mężczyzn, których połączyła walka na

śmierć i życie. Pozostali wojownicy utworzyli krąg i przyglądali im się w milczeniu, pogodzeni z nieuchronną śmiercią jednego z walczących.

Sarah stała ze związanymi rękami przy ustach. Na widok krwi Jake'a zacisnęła mocno powieki, ale strach nakazał jej otworzyć oczy. Teraz już rozumiała, że będzie nagrodą dla zwycięzcy.

Mały Niedźwiedź wciąż trzymał jej rękę na ramieniu, nie pozwalając się ruszyć. Kiedy ostrze Czarnego Jastrzębia chybiło o milimetry, zwróciła się do stojącego za nią Indianina:

- Przerwijcie walkę. Jeżeli go puścicie, pójdę z wami dobrowolnie. Nie będę się opierać ani próbować ucieczki.

Mały Niedźwiedź oderwał na moment wzrok od walczących. Szare Oczy dobrze wybrał sobie kobietę.

- Tylko śmierć może przerwać teraz tę walkę.

Czarny Jastrząb i Jake przewrócili się na ziemię. Ostrze Czarnego Jastrzębia wbiło się w ziemię, tuż obok głowy Jake'a. Kiedy je wyciągał, nóż Jake'a rozorał mu ciało. Potoczyli się w stronę ogniska.

Jake nie czuł żaru, tylko lodowatą furję. Ogień osmalił mu rękę, zanim zdążył ją cofnąć. Rękojeść jego noża była śliska od potu; ostrze ociekało krwią przeciwnika.

Konie zarżały, kiedy przetoczyli się zbyt blisko. Teraz walczyli w ciemności. Sarah widziała jedynie ciemne kontury i od czasu do czasu błysk stali. W uszach miała szcęk ostrzy i głośnie postękiwania. A potem już tylko ciężki, chrapliwy oddech. Jednego człowieka. Z sercem w gardle czekała, kto wyłoni się z mroku.

Jake podszedł do niej, cały we krwi, i zakrwawionym

ostrzem przeciął krępujące ją więzy. A potem, także w milczeniu, odebrał od Małego Niedźwiedzia swoje rewolwery.

- To był dzielny wojownik - odezwał się Mały Niedźwiedź.

Obolały, lecz z sercem przepełnionym triumfem, Jake zapiął pas.

- Zginął śmiercią wojownika. - Wyciągnął rękę. - Niech duchy przodków zawsze będą z tobą, bracie.

- I z tobą, Szare Oczy.

Jake odwrócił się do Sarah. Kiedy zobaczył, że siania się na nogach, wziął ją na ręce i podszedł na swojego konia.

- Trzymaj się- powiedział, po czym wskoczył na siodło i odjechał, nie oglądając się za siebie. Czuli, że już nigdy nie zobaczy Małego Niedźwiedzia.

Sarah nie chciała płakać, ale nie mogła się powstrzymać. Na szczęście łzy płynęły cicho i Jake nie mógł ich usłyszeć. Tak jej się przynajmniej zdawało. Przez dłuższy czas jechali stępą, a potem nagle Jake odwrócił ją ku sobie i przygarnął do piersi.

- Przeżyłaś ciężkie chwile, księżniczko. Popłacz sobie, masz do tego prawo.

Rozplakała się bezwstydnie, z policzkiem przytulonym do jego piersi, a monotonny trucht konia powoli ją uspokajał.

- Tak strasznie się bałam - powiedziała łamiącym się głosem. - On chciał cię...

- Wiem. Nie myśl o tym więcej. Już po wszystkim.

- Nie będą nas ścigać?

- Nie.

- Skąd wiesz? - Kiedy wyschły łzy, znów obudził się w niej lęk.

- Bo tak nakazuje honor.

- Honor? - Podniosła głowę. W blasku księżyca twarz Jake'a była jak wykuta z kamienia. - Przecież to Indianie.

- Indianie. Honor jest dla nich znacznie ważniejszy niż dla białego człowieka.

- Ale... - Na moment zapomniała, że Jake miał w sobie krew Apaczów. - Dobrze ich znasz.

- Żyłem wśród nich przez pięć lat. Mały Niedźwiedź, ten z orlim piórem, to mój kuzyn. - Zatrzymał konia i zeskoczył z siodła. - Zmarzłaś. Rozpalę ognisko, żebyś mogła trochę odpocząć. - Wyjął z worka derkę i narzucił jej na ramiona. Zbyt zmęczona, żeby protestować, otuliła się nią w milczeniu i usiadła na ziemi.

Jake szybko rozpałił ognisko i zaczął robić kawę. Sarah bez protestów wzięła suchara i ogrzewała ręce nad ogniem.

- A ten, z którym się.... bileś. Znałeś go?

- Uhm.

Zabił dla niej. Znów zachciało jej się płakać. Kto wie, może był to jakiś jego krewny albo przyjaciel?

- Przepraszam - szepnęła.

- Za co? - Jake wsunął jej kubek kawy w drżące dłonie.

- Za wszystko. Oni zjawili się tak nagle. Nie mogłam nic zrobić. - Upiła łyk, żeby się rozgrzać. - Kiedy byłam w szkole, czytałyśmy różne historie w gazetach. Nigdy w nie tak naprawdę nie wierzyłam. Byłam przekonana, że armia panuje nad wszystkim.

- Czytałaś o masakrach. - Pasja w jego głosie sprawiła, że popatrzyła uważnie. - O pomordowanych osadnikach, o atakach na pociągi. O dzikusach skalpujących małe dzieci. Wszystko to prawda. A czytałaś o żołnierzach pacyfikujących

indiańskie obozy? O rzeziach, gwałtach, mordowanych niemowlętach? Wszystko to już po podpisaniu traktatów i złożeniu obietnic. Słyszałaś o zatrutej żywności i zakażonych kocach, wysyłanych do rezerwatów?

- To niemożliwe!

- Kiedy Blade Twarze chcą ziemi, a ziemia nie jest ich, - albo przynajmniej nie była... - Jake wyjął nóż i wbił go w ziemię, żeby oczyścić ostrze. - Zagarną ją bez względu na wszystko.

Nie chciała w to wierzyć, ale z oczu Jake'a wyczytała, że mówi prawdę.

- Nie wiedziałam...

- To już nie potrwa długo. Ludzie tacy jak Mały Niedźwiedź są na wymarcu.

- A ty, w jaki sposób dokonałeś wyboru między tymi dwoma światami?

- Jake wzruszył ramionami.

- Tak naprawdę wybór był niewielki. Nie miałem w sobie aż tyle z Apacza, żeby mnie przyjęli jako wojownika Poza tym wychowywano mnie raczej na białego. Czerwonoskóry. Tak nazwano mojego ojca, kiedy wyszedł z wojska i osiedlił się w Tucson. A on zatrzymał to przezwisko. Może nawet był z tego dumny? A może nie... - urwał, zły na siebie. Nigdy nikomu nie powiedział aż tyle. - Możemy już jechać? - zapytał.

Tak bardzo chciała, żeby opowiedział jej wszystko o sobie, ale nie mogła nalegać. Bała się, że jeżeli Jake zamknie się w sobie, nie dowie się już niczego więcej.

- Chyba tak. - Dotknęła jego ramienia i krzyknęła; - Och, przecież ty krwawisz!

Jake spojrział na rękę. - Owszem, tu i ówdzie.

- Niech cię obejrzę. Powinam od razu cię opatryć. - Uklękła i odwinęła podarty rękaw.

- Ślicznotka zdziera ze mnie ubranie. Czy może być coś miłszego? - roześmiał się Jake,

- Zachowuj się przyzwoicie - skarciła go, po czym zachichotała.

Dobrze było usłyszeć jej śmiech, choćby tylko przez chwilę. Strach prawie już zniknął z jej oczu. On jednak chciał, żeby zniknął na dobre,

- Podobno kazałaś Luciusowi rozebrać się do rosołu. Mówił, że mu groziłaś.

Roześmiała się, tym razem głośno.

- Sam się o to prosił. Żałuj, że nie widziałeś jego miny, kiedy kazałam mu zdjąć spodnie.

- Ale mnie nie każesz chyba tego zrobić?

- Wystarczy, jak zdejmiesz koszulę. Muszę ci zabandażować ramię. - Wstała i odwróciła się, żeby oderwać rąbek halki.

- Jestem ci bardzo zobowiązany. - Z trudem wyplątał się z koszuli. - Wiesz, co ci powiem, księżniczko? Nieraz zastanawiałem się, ile masz na sobie tych halek.

- To nie jest temat do rozmowy. Ja na szczęście ... - Odwróciła się i słowa zamarzyły jej na ustach. Nigdy dotąd nie widziała nagiego męskiego torsu, dlatego też nie przyszło jej do głowy, że męskie ciało może być takie piękne. Jake miał szeroką, muskularną pierś. Śniada skóra połyskiwała w blasku płomieni. Sarah poczuła uderzenie gorąca. Zakreśliło jej się w głowie.

Gdzieś za jej plecami rozległo się pohukiwanie sowy. Wzdrygnęła się.

- Będzie mi potrzebna woda. - Chrząknęła. - Muszę oczyścić ranę.

Patrząc jej w oczy, sięgnął po manierkę. Uklękła obok i bez słowa wzięła się za przemywanie rany, ciągnącej się od ramienia aż po łokieć.

- Rana jest głęboka. Powinieneś iść do doktora.

- Tak jest, łaskawa pani. Odwróciła wzrok.

- Obawiam się, że zostanie ci blizna.

- Nie szkodzi, mam już wiele innych.

To się rzucało w oczy. Jake miał ciało wojownika, muskularne i pokryte bliznami.

- Masz przeze mnie masę kłopotów.

- O tak, więcej, niż myślałem - rzekł, muskając palcami jej skórę.

Kiedy opatrzyła mu ramię, zajęła się raną na boku.

- Ta nie wygląda groźnie, ale musi boleć.

Głos miała przytłumiony. Czuł na policzku jej drżący oddech. Kiedy czyściła mu ranę, skrzywił się z bólu, ale większy ból sprawiał mu widok jej złotych włosów, połyskujących w blasku ognia.

- Będzie ci potrzebny płyn do przemywania ran - powie działa, kładąc mu rękę na piersi.

I bez niej wiedział, co jest mu teraz najbardziej potrzebne. Chwycił Sarah za rękę. Puls jej gwałtownie przyspieszył, ale nie ruszyła się, tylko zafascynowana patrzyła na swoją białą dłoń na jego smagłej skórze. I nagle jej ręka zaczęła błądzić po torsie Jake'a.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Były ciemne, ciemniejsze niż zwykle. Jak gradowa chmura. Słyszała bicie własnego serca.

Jake wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej policzka. Do tej pory nie spotkał czegoś równie delikatnego. W oczach Sarah płonął ogień. A on znał kobiety na tyle dobrze, by wiedzieć, że to namiętność.

Nie spuszczać z niej wzroku, wychylił się ku Sarah, przygotowany na to, że cofnie się trwożliwie. Nie zrobiła tego, tylko z bijącym sercem czekała na jego następny krok.

Kiedy dzieliło ich już tylko tchnienie, zawahali się oboje, a potem Jake delikatnie musnął ustami wargi Sarah. Usłyszał jej cichy jęk i przygarnął ją do siebie. A ona ulegle rozchyliła wargi.

Ze śmiałością, o jaką nigdy by się nie podejrzewała, powiodła rękami po jego piersi. Czy to możliwe, że drży? Zaczęła mruczeć coś niezrozumiale, a Jake całował ją coraz namiętniej i coraz bardziej zachłannie.

Przytuliła się do niego jeszcze mocniej i objęła go, a jej usta powiedziały mu wszystko.

Czuł gorąco - w żyłach, w sercu, w łędźwiach. Trzymał ją w stalowym uścisku i miażdżył ustami jej wargi. Wiatr dmuchnął silniej; buchnęły płomienie, w górę wystrzelił snop skier. Sarah prężyla się w ramionach Jake'a, owdadnięta tą samą namiętnością. Oszałały z pragnienia szarpnęła i tak już podartą bluzkę.

Kiedy nakrył ręką jej pierś, jęknęła głośno. Dłoń miał szorstką, pokrytą odciskami, mimo to jej dotyk sprawił Sarah niewysłowioną rozkosz. W ślad za dłonią poszły jego

zachłanne, rozpalone usta, znacząc wilgotny szlak na jej skórze.

Zanurzyła twarz w jego włosach. Nie tak dawno temu stała oko w oko ze śmiercią. To, co przeżywała teraz, to było samo życie. To była miłość.

Usta Jake' a błdziły po jej ciele, budząc nieznane uczucia. Jego ręce były wszędzie, podniecając do granic wytrzymałości i pozbawiając tchu.

Kiedy poczuł, że drży w jego ramionach, zagarnął ją pod siebie w dzikim szale i nagle, w jakimś przeblysku, dotarło do niego, że się zagalopował. I to do tego stopnia, że nie wiedział, co robi, i zapomniał, kim jest. Niewiele brakowało, a byłby wziął ją tu, na ziemi, w tym kurzu.

Odsunął się, pełen rozpacz.

Nierozumiejąca, na wpół przytomna, wyciągnęła rękę. Ale on już cofnął się i wstał.

- Jake!

Miał uczucie, jakby dostał kulę w pierś, a rana po niej będzie krwawić do końca życia. Zgasił w milczeniu ogień i zaczął zwijać obozowisko.

Sarah poczuła dotkliwy chłód. Zadrzała.

- Co się dzieje?

- Nic. Musimy już jechać.

- Ale... - Wciąż czuła jego dłonie na swojej skórze. - Myślałam... to znaczy... wydawało mi się, że...

- Słyszysz co mówię, kobieto? Musimy już jechać. - Wyjął z torby derkę i rzucił jej. - Okryj się.

Nie pozwoli sobie na łzy. Patrząc, jak Jake przytracza torby do siodła, przysięgła sobie, że nigdy więcej nie będzie przez niego płakała. Przecież on jej wyraźnie nie chce. Była

tylko chwilową zachcianką. On woli kobiety zupełnie innego pokroju. Otuliła się derką i podeszła do konia.

- Poradzę sobie - powiedziała zinnym tonem, kiedy chciał ją podsadzić.

Jake skinął głową, cofnął się, a po chwili ulokował się za nią w siodle.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Odgłos wystrzału odbił się echem od skał i spłoszył samotnego jastrzębia. Sarah zacisnęła zęby, wycelowała i znów pociągnęła za spust. Butelka po whisky rozprysła się na kawałki. Wniosek z tego, że robiła widoczne postępy. Ale chciała być jeszcze lepsza.

Nadszedł Lucius z Lafitte'em, który deptał mu po piętach.

- Ma panienska dobre oko.

- Dziękuję. - Opuściła strzelbę, żeby pogłaskać szczeniaka. Jake miał rację. To będzie bardzo duży pies. - Chyba rzeczywiście.

Po ostatnich przejściach poprzysięgła sobie, że nikt już nigdy nie będzie musiał jej bronić - ani przed wężem, ani przed Apaczami, ani nawet przed gniewem bożym. Odkąd Jake zostawił ją bez słowa na progu - a od tej chwili minęły już ponad dwa tygodnie'- codziennie ćwiczyła się w strzelaniu. Strzelała coraz celniej, zwłaszcza kiedy sobie wyobrażała, że puste butelki to ironicznie uśmiechnięta twarz Jake'a.

- Lucius, już ci mówiłam że nie musisz mnie pilnować na każdym kroku. To, co się wtedy wydarzyło, to nie była twoja wina.

- Nic na to nie poradzę, że czuję się odpowiedzialny. Wy-

najęła mnie przecież panienska po to, żebym miał oko na wszystko. A kiedy ja po raz pierwszy, za przeproszeniem, zdjąłem spodnie, panienska od razu popadła w kłopoty.

- Ale wróciłam. Cała i zdrowa.

- Dzięki Bogu. Gdyby Jake wtedy nie nadjechał... sam bym próbował panienkę odbić. Ale widocznie jemu było to pisane.

Już miała powiedzieć coś nieprzyjemnego, ale ugryzła się w język. W końcu to jednak Jake ją uratował, ryzykując przy tym własne życie. To, co zaszło między nimi później, nie powinno pomniejszyć w jej oczach jego zasług.

- Jestem bardzo wdzięczna panu Redmanowi.

- Jake zrobił tylko to, co do niego należało.

Zadrżała na wspomnienie morderczej walki.

- Mam nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie musiał robić czegoś takiego.

- Właśnie dlatego postanowiłem lepiej panienska pilnować. Wyznam coś panience, jak na spowiedzi. Lęk o kobiety to straszna rzecz. A ja nie martwiłem się o nikogo od śmierci mojej żony.

- Och, Lucius, nawet nie wiedziałam, że byłeś żonaty.

- Byłem, dobre kilka lat temu. Miała na imię Spokojna Woda. Była dla mnie wszystkim.

- Twoja żona była Indianką? - Sarah, zaintrygowana, przysiadła na kamieniu.

Lucius nieczęsto o tym mówił, przynajmniej kiedy był trzeźwy. Teraz jednak poczuł, że ma ochotę się zwierzyć.

- Tak, panienko Sarah. Była Apaczką z plemienia Małego Niedźwiedzia i chyba nawet jego ciotką. Poznałem ją, kiedy przyjechałem tu z wojskiem, żeby bić Czejenów. To

musiało być gdzieś tak w sześćdziesiątym drugim. Wiedziałem, że trzeba będzie walczyć, ale zmęczyły mnie te ciągle przemarsze. Dlatego pojechałem na południe, żeby się trochę rozejrzeć. I tam właśnie spotkałem Johna Redmana, ojca Jake'a.

- Znałeś ojca Jake'a?

- I to dobrze. Przez chwilę byliśmy nawet partnerami. On i jego żona mieli ciężkie życie. Byli tacy, co mieli go za nic, bo był półkrwi Apaczem. - Roześmiał się, wzruszając ramionami. - John mówił mi, że niektórym jego współplemieńcom z kolei się nie podobało, że był półkrwi białym. Więc sama panienka widzi.

- Jaki on był?

- Rozsądny i bardzo spokojny. Mówił mało, chyba że ktoś go pierwszy zagadnął. Bywał też wesoły. Czasami człowiek dopiero po chwili się orientował, że stroi sobie z niego żarty. Można się z nim było pośmiać. Był chyba najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. - Lucius wyciągnął butelkę i z ulgą stwierdził, że Sarah nie zareagowała. - John myślał o tym, żeby zostać ranczerem, więc wydzierżawiłem tu i ówdzie kawałek ziemi. I przy tej okazji poznałem Spokojną Wodę.

- Pewnie znałeś Jake'a jako dziecko - wtrąciła niby mimochodem Sarah.

- O tak, znałem - zaśmiał się Lucius. - To był mały twardziel. Potrafił przewiercić człowieka na wylot tymi swoimi oczyskami. I to się nie zmieniło. Przez jakiś czas mieszkał u swojej babki. Można by nawet pomyśleć, że jest jednym z nich, gdyby nie te jego oczy. Ale oczywiście nie był jednym z nich. A jak to mawiał John, ciężko żyć, kiedy człowiek jest

ni pies, ni wydra. Czasami się zastanawiałem, co by to było, gdybym miał dzieci ze Spokojną Wodą.

- A co się z nią stało?

- Wyjechałem szukać złota. - Mrużąc oczy, Lucius spojrzął pod słońce. - Któregoś ranka przez miasteczko przejeżdżał oddział wojska. Któryś z osadników poskarżył się, że został okradziony, i to pewnie przez Apaczów, więc żołnierze weszli do obozu i wymordowali wszystkich, oprócz tych, którzy zdążyli uciec w góry.

- Och, Lucius, tak mi przykro. - Z braku słów Sarah chwyciła go za rękę.

- Kiedy wróciłem, było już po wszystkim. Przez cztery dni jak oszalały krążyłem w pobliżu, w nadziei, że ktoś ulituje się nade mną i mnie zastrzeli. A potem pojechałem do Redmana, ale ich domu też już nie było. Spalił się.

- O mój Boże!

- Została tylko kupa zwęglonych drew i garść popiołu.

- To potworne. - Sarah mocniej ścisnęła go za rękę. - Czy to zrobili żołnierze?

- Nie, a przynajmniej nie ci w mundurach. Moim zdaniem jacyś ludzie z miasteczka upili się i doszli do wniosku, że nie chcą mieć pod bokiem mieszkańców. John i jego żona już wcześniej mieli kłopoty, ale tym razem to nie były tylko pogrożki i wyzwiska. Tamci ludzie podpalili dom i stodołę, a potem zaczęła się strzelanina. To było prawdziwe piekło. Po ich odjeździe zostały dwa trupy i pogorzeliśko.

- A Jake? - zapytała z pociemniałymi ze zgrozy oczyma.

- Był przecież jeszcze dzieckiem.

- Musiał mieć jakieś trzynaście, czternaście lat. Przestał już być chłopcem. Znalazłem go między dwoma świeżymi

grobami, z nożem myśliwskim Johna w rękę. Ma go zresztą do dziś.

Znała ten nóż. Widziała, jak ociekał krwią, przelaną z jej powodu. Ale teraz myślała tylko o tamtym chłopcu.

- Biedne dziecko. Musiał być przerażony.

- Nie, panienko Sarah. Przerażony to nie jest dobre słowo. Był jak opętany i nucił wojenną pieśń Indian. A potem postanowił wyruszyć do miasteczka i odszukać ludzi, którzy zabili mu rodziców.

- Przecież mówiłeś, że miał tylko trzynaście lat!

- Powiedziałem, że przestał już być chłopcem. Jedyne, co mogłem zrobić, to namówić go, żeby poczekał, aż nauczy się lepiej strzelać. Muszę powiedzieć, że szybko się uczył. Nie widziałem w życiu człowieka, który by potrafił wycyzniać takie sztuczki z bronią.

Mimo upału ciałem Sarah wstrząsnął zimny dreszcz.

- Czy on... odszukał tych ludzi?

- Nie wiem. Nigdy go o to nie pytałem. Pomyślałem, że lepiej będzie wyjechać w jakieś inne miejsce, więc ruszyliśmy na południe. Sam już nie wiedziałem, co jeszcze mogę dla niego zrobić. Kupiłem mu konia i przez jakiś czas jechaliśmy razem. Bałem się, że Jake może wpaść w złe towarzystwo, ale on unikał ludzi. Rozdzieliliśmy się, kiedy skończył szesnaście lat. Co jakiś czas słyszałem o nim to i owo. A potem, kilka miesięcy temu, pojawił się w Lone Bluff.

- To okropne, żeby stracić wszystko w taki sposób. - Po policzku Sarah potoczyła się łza. - To cud, że on nie jest chory z nienawiści.

- On ma w sobie dużo nienawiści - ale zastygłej. Ja

muszę sobie popić od czasu do czasu, żeby ją zalać. Jake robi to inaczej. - Lucius postukał się po głowie. - Ten chłopak tłamsi w sobie więcej, niż człowiek jest w stanie znieść. Kiedy czasami sobie pofolguje, lepiej trzymać się z daleka.

Doskonale rozumiała, co Lucius ma na myśli. Przecież sama widziała to mroczne, nieruchome spojrzenie. Beznamiętny wzrok, bardziej wymowny niż furia, groźniejszy niż najsroższy gniew.

- Lubisz go?

- Poza nim nie mam nikogo, kogo mógłbym uważać za swoją rodzinę. Powiem nawet, że jest mi bardzo bliski. - Zerknął na Sarah. - Tak jak panience.

- Nie potrafię powiedzieć, co do niego czuję - skłamała, choć wiedziała nie tylko, co czuje, ale i dlaczego. Nie tak wyobrażała sobie obiekt swoich uczuć, a jednak nie potrafiłaby pokochać nikogo innego. - Zresztą, czy to ważne, co ja czuję, jeżeli to nieodwzajemnione uczucie?

- Skąd panienka może wiedzieć? Może trudno mu to wyrazić słowami, ale kobiety zawsze potrafią to wyczuć.

- Nie zawsze. - Podniosła się z westchnieniem. - Bierzmy się do roboty, Lucius.

- Tak jest, panienko.

- Mam jeszcze jedno pytanie. Co robiłeś w kopalni?

- Ja? W kopalni?

- Sam powiedziałeś, że mam dobre oko. Wiem, że tam chodziłeś. Chciałabym wiedzieć po co.

- No więc... - Kręcenie nigdy nie było mocną stroną Luciusa. Kaszlnął, przestąpił z nogi na nogę i wbił wzrok w ziemię. - Rozglądałem się.

- A czego szukałeś? Złota?

- Może.
- Myślisz, że tam coś jest?
- Matt zawsze uważał, że ta skała kryje w sobie bogatą żyłę. A gdy Jake... - urwał.
- Gdy Jake co? Poprosił cię, żebyś to sprawdził?
- Może kiedyś powiedział coś takiego.
- Rozumiem. - Sarah spojrzała na zbocze. Wciąż zastanawiała się, czego Jake chce tak naprawdę. Może teraz otrzymała odpowiedź. Czy złoto musiało aż tak bardzo pociągać mężczyzn, których kochała? - Nie mam nic przeciwko twoim wyprawom do kopalni, Lucius. Szczerze mówiąc, uważam, że to świetny pomysł. Powiedz mi tylko, gdybyś potrzebował jakichś narzędzi. - Kiedy przeniosła na niego wzrok, malowała się w nim zimna, męska determinacja. - Gdy następnym razem pojedziesz do miasta, powiedz Jake'owi, że to moja kopalnia.
- Jak panienka sobie życzy.
- To polecenie. - Spojrzała na drogę. - Widzę nadjeżdżającą bryczkę.

Lucius splunął. Mógł tylko mieć nadzieję, że to nie Carlson. Ten człowiek, jego zdaniem, zbyt często pozwalał sobie odwiedzać Sarah w ostatnim czasie.

Nie był to Carlson. Bryczką powoziła kobieta. Ale nie Li-za, tylko ładna, ciemnowłosa dziewczyna.

- Dzień dobry. - Sarah odstawiła strzelbę.
- Dzień dobry. - Nieznajoma uśmiechnęła się niepewnie. - Rzeczywiście mieszka pani kawałek drogi od miasta.
- Tak. - Widząc, że gość nie kwapi się wysiąść, Sarah podeszła do bryczki. - Jestem Sarah Conway.
- Wiem. A ja jestem Alice. Alice Johnson. - Dziewczyna

uśmiechnęła się radośnie do szczeniaka, a potem znów spojrzała na Sarah. - Miło mi panią poznać.

- Mnie też jest miło, panno Johnson. Może wejdzie pani na herbatę?

- Och nie, nie mogę. - Alice była wyraźnie przerażona.

Sarah spróbowała z innej beczki:

- Czy pani zgubiła drogę?

- Nie, przyjechałam, żeby z panią pomówić, ale nie mogę wejść. To nie wypada.

- Ale dlaczego?

- Widzi pani, panno Conway, jestem jedną z dziewcząt Carlotty.

Co takiego? Sarah raz jeszcze przyjrzała się nieznajomej. Była młoda, młodsza od niej samej. Miała ładną, delikatną twarz i skromną sukienkę.

- Pracuje pani w „Srebrnej Gwieździe”?

Pod badawczym spojrzeniem Sarah dziewczyna zarumieniła się i spuściła oczy.

- Tak. Od trzech miesięcy.

- Ale... - Widząc że Alice przygryza wargi, Sarah urwała. - Panno Johnson, skoro przyjechała pani ze mną porozmawiać, proponuję, żebyśmy weszły do domu. Na słońcu jest za gorąco.

- Nie mogłabym. Naprawdę, to nie wypada, panno Conway.

- Wypada czy nie, nie chcę, żeby któraś z nas dostała udaru. Proszę wejść.

Alice wahała się. To rzeczywiście nie wypada, bo panna Conway to prawdziwa dama. Jeżeli jednak wróci do miasta i powie, że nic nie załatwiła, oberwie jej się od Carlotty, która

zawsze pozna, kiedy ktoś kłamie. I zawsze trzeba za to zapłacić.

Sarah już nastawiała wodę na herbatę, kiedy usłyszała nieśmiało kroczy. Zanim zdążyła się odwrócić i zaproponować Alice, żeby usiadła, dziewczyna zalała ją potokiem słów.

- Och, jak tu ślicznie! Co za piękny domek, panno Conway. I nawet są firanki.

- Dziękuję. - Uśmiech Sarah był szczery. Jej dom po raz pierwszy komuś naprawdę się spodobał. -- Czuję się tu coraz lepiej. Proszę siadać. Zaraz podam herbatę.

- To miło z pani strony, ale proszę tego nie robić. To nie uchodzi.

- To mój dom, a pani jest moim gościem. Napije się pani ze mną herbaty i mam nadzieję, że będą pani smakowały ciasteczka. Upiekłam je wczoraj.

Alice usiadła, szarpiąc nerwowo rąbek sukni.

- Dziękuję. Niech się pani nie martwi, nie powiem nikomu, że weszłam do domu i piłam herbatę.

- Co panią do mnie sprowadza? - zapytała Sarah, mocno zaintrygowana.

- Carlotta widziała te wszystkie suknie, które pani uszyła innym paniom w mieście. Są takie ładne, panno Conway.

- Dziękuję.

- Wczoraj, po wyjeździe Jake'a...

- Jake'a?

- Tak, proszę pani. - Odstawiając mały paluszek, Alice ostrożnie podniosła filiżankę do ust. - On regularnie przychodzi do „Srebrnej Gwiazdy”. Carlotta bardzo go lubi. Sama już raczej nie pracuje, wie pani, co mam na myśli. Chyba że chodzi o kogoś takiego jak Jake.

- Rozumiem. - Sarah przeraziła się, że pęknie jej serce, ale ono, ku jej zdumieniu, wezbrało furia. - Myślę, że taki mężczyzna może jej się podobać.

- O tak, nawet bardzo. Wszystkie dziewczyny mają słabość do Jake'a.

- Mogę to sobie wyobrazić - mruknęła Sarah.

- No więc, jak już mówiłam, po jego wyjeździe Carlotta wymyśliła sobie, że powinnyśmy mieć nowe suknie. Coś z klasą, jak te panie z miasta. Podobno Jake jej powiedział, że mogłaby nam pani coś uszyć.

- Tak powiedział?

- Tak. Carlotta uznała, że to świetny pomysł, i kazała mi to załatwić. Dała mi wszystkie miary.

- Niestety, panno Johnson, muszę odmówić. Proszę powiedzieć pani Carolocie, że doceniam jej propozycję.

- Jest nas osiem, a Carlotta mówi, że zapłaciłaby z góry. Przywiozłam nawet pieniądze.

- Niestety, nie mogę. Może jeszcze herbaty?

- Ja nie... - Alice, zmieszana, spojrzała na filiżankę. Nie znała dotąd nikogo, kto potrafiłby odmówić Carolocie. - Nie chciałabym sprawiać kłopotu. - Miała wielką ochotę przedłużyć wizytę, chociaż wiedziała, że po powrocie Carlotta natrze jej uszu.

- Panno Johnson...

- Proszę mi mówić Alice, panno Conway. Wszyscy mnie tak nazywają.

- Dobrze, Alice. Możesz mi powiedzieć, jak do tego doszło, że zaczęłaś pracować u Carlotty? Jesteś trochę za młoda, żeby żyć... na własną rękę.

- Mój tata mnie sprzedał.

- Twój tata cię sprzedał?!

- Było nas w domu dziesięcioro i jedenaste w drodze. A tata, kiedy się upił, albo nas bił, albo robił następne dziecko. On bardzo dużo pił. Kilka miesięcy temu jakiś człowiek przejeżdżał obok naszej farmy i ojciec sprzedał mnie za dwadzieścia dolarów, aleja uciekłam przy pierwszej okazji. Dotarłam do Lone Bluff i znalazłam pracę u Carlotty. Wiem, że to niedobra praca, ale i tak jest mi lepiej niż w domu. Przynajmniej dają mi jeść i mam swoje własne łóżko. - Wzruszyła ramionami. - Goście są na ogół w porządku.

- Twój ojciec nie miał prawa cię sprzedać, Alice!

- Prawo to jedno, a życie to co innego.

- Jestem pewna, że gdybyś chciała odejść od Carlotty, znalazłabyś inną pracę w mieście. I to godziwą.

- Za pozwoleniem, panno Conway, ale to nieprawda. Żadna z pań nie zatrudniłaby mnie u siebie. Bo i dlaczego? Przecież ich mężowie mogli być moimi klientami.

Zabrzmiało to całkiem rozsądnie, mimo to Sarah potrząsnęła głową.

- Gdybyś postanowiła kiedyś odejść, znajdę ci jakąś pracę.

Alice spojrzała na nią ze zdumieniem.

- To miło z pani strony. Zawsze wiedziałam, że jest pani damą, panno Conway. Jestem pani bardzo zobowiązana. A teraz muszę już wracać.

- Gdybyś miała kiedyś ochotę mnie odwiedzić, będzie mi bardzo miło.

- Nie, to naprawdę nie uchodzi. Dziękuję za herbatę, panno Conway.

Sarah dużo myślała o wizycie Alice. Tego wieczoru, po lekturze pamiętnika ojca, próbowała sobie wyobrazić, jak to jest zostać sprzedaną. I to przez własnego ojca. Jak krowa albo koń. Wprawdzie ona sama spędziła wiele lat bez rodziny, ale zawsze wiedziała, że jej ojciec ją kocha. Wszystko, co robił, robił z myślą o niej, mając na względzie jej dobro.

Kiedyś bez dyskusji potępiłaby Alice. Teraz jednak doszła do wniosku, że ją rozumie. Ona po prostu nie zaznała innego życia. Zaczęło się od niegodziwości jej ojca, a potem dziewczyna została wciągnięta w wir, z którego nie potrafiła się wydostać. Sprzedawała się kolejnym mężczyznom, bo nie widziała innego wyjścia.

Czy z Jakim było tak samo? Czy okrucieństwo, jakiego doświadczył w dzieciństwie, pchnęło go na drogę pełną przemocy? Rany musiały być bardzo głębokie. I ta nienawiść... Zimna i zastygła, jak mówił Lucius.

Ona także mogłaby w zasadzie znienawidzić Jake'a. Byłoby jej to nawet na rękę, gdyby to straszne, niszczące uczucie, stłumiło pozostałe. Gdyby udało jej się wzbudzić w sobie zimną nienawiść, odzyskałaby tak bardzo potrzebą równowagę ducha. Niestety, takie rozwiązanie nie wchodziło w rachubę.

Nie potrafiła. Nawet wiedząc, że spędził noc z inną kobietą, którą pieścił i całował, tak jak jeszcze niedawno ją samą. Mogła jedynie oplakiwać utracone uczucie, któremu nie dane było rozkwitnąć.

A już zaczynała sobie wyobrażać, jak mogłoby wyglądać ich wspólne życie. Próbowała oswajać się z myślą, że należą do siebie, bez względu na różnice, bez względu na ryzyko.

Wprawdzie on zawsze będzie żył z bronią w ręku, według swoich własnych praw, potrafił jednak okazać jej tyle dobroci i czułości...

W jego sercu było dla niej dość miejsca. Dobrze o tym wiedziała. Pod maską zimnej obojętności ukrywał się człowiek, który wierzył w sprawiedliwość i był zdolny do szlachetnych odruchów. Odślonił przed nią tę część swojej duszy, do której tylko nieliczni mieli dostęp.

Dlaczego więc, w chwili kiedy zaczynała się ku niemu skłaniać, gotowa akceptować go takim, jaki jest, on zwrócił się do innej kobiety? Kobiety, której miłość można kupić za garść monet?

Zresztą, jakie to miało znaczenie? Zamknęła z westchnieniem pamiętnik ojca i zaczęła szykować się do snu. Oszukiwała samą siebie, że mu na niej kiedykolwiek zależało. Dobroć Jake'a i tak zawsze przegra z jego nieokiełznaną naturą i zbuntowanym sercem. A ona pragnie domu, męża i gromadki dzieci u stóp. Niestety, będzie to nieosiągalne, póki nie przestanie kochać Jake'a.

Dlatego, chcąc nie chcąc, będzie musiała wyrwać z serca tę miłość.

Nienawidził sam siebie za to, co zrobił, a jednak jechał do Sarah, z całą listą powodów w głowie. Zamierzał porozmawiać z Lucusem i zajrzeć do kopalni. Chciał się upewnić, że Sarah nie została pokaszana przez węża. Nabral ochoty na przejażdżkę, a dom Sarah był równie dobrym celem jak każdy inny.

A tak w ogóle, wszystko to jedno wielkie kłamstwo. Pragnął ją zobaczyć. Chciał na nią popatrzeć, usłyszeć ją

i poczuć zapach jej włosów. Nie widział jej przez całe dwa tygodnie. Miał chyba prawo, prawda? Nie, nie miał żadnego prawa ani żadnego interesu w tym, żeby myśleć o niej tak, jak myślał i pragnąć jej tak, jak pragnął.

Sarah zasługiwała na mężczyznę, który dotrzyma złożonych obietnic; który zapewni jej życie w równie godziwych warunkach, do jakich przywykła.

Już nigdy więcej jej nfe dotknie. Przysiągł to sobie, kiedy od niej ostatnio odjeżdżał. Jeżeli raz zacznie, nie potrafi się powstrzymać. A to żadnemu z nich nie wyjdzie na dobre.

Zranił ją. Poznał to po jej oczach, gdy odjeżdżał. Ale zraniłby ją jeszcze głębiej, gdyby został.

Wokół panowała podejrzana cisza. Jake zatrzymał się i rozejrzał wokół, z ręką na kolbie rewolweru. Pies nie zaszczekał, dym nie unosił się z komina. Tylko gdy zeskakiwał z konia, zaskrzypiało siodło.

Nie zapukał, tylko pchnął drzwi i czekał. W domu także było cicho. Wszędzie panowały czystość i porządek. Uszyte przez Sarah zasłony, trochę już spłowiałe, poruszały się lekko na wietrze. Jake odetchnął z ulgą.

Jednak czegoś tu dokonała. To kolejny powód, żeby ją podziwiać. Potrafiła stworzyć dom praktycznie z niczego. Na ścianach wisiały obrazki. Pastelowa akwarelka przedstawiała delikatny kwiat. Ona sama jest jak ten kwiat, pomyślał, podchodząc bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć. Równie zwiewna, delikatna i świeża. Takie kwiaty szybko więdną, jeśli się ich troskliwie nie pielęgnuje.

Podszedł do następnego obrazka. Był to szkic przedstawiający spalone słońcem skały. Miejsce to, dobrze mu znane,

znajdowało się na zachód od strumienia. Magiczne miejsce Apaczów. Tam mieszkały duchy ich przodków. Patrząc na rysunek, odniósł wrażenie, że Sarah także o tym wiedziała. Gdyby było inaczej, czym tak surowy krajobraz mógłby ją urzec, że aż zechciała go naszkicować, a potem powiesić rysunek na ścianie?

A przecież i ten surowy pejzaż pasował do niej tak samo jak delikatny kwiat.

Odwrócił się i zmarszczył z irytacją brwi. Widocznie magia nie była Sarah tak całkiem obca. Cały domek przesycony był jej czarownym zapachem, od którego serce zaczynało szybciej bić mu w piersi. Pomyślał, że dla własnego dobra powinien natychmiast wyjść na powietrze i uciec, gdzie pieprz rośnie.

Ruszył do drzwi i wtedy jego wzrok padł na niewielką książeczkę. Otworzył ją - był to dziennik Sarah. Choć czuł, że to nie wypada, nie mógł się powstrzymać, żeby nie zerknąć na pierwsze kilka stron.

Sarah opisywała swój przyjazd do Lone Bluff. Czytając opis napadu Apaczów na dyliżans, uśmiechnął się mimo woli. Przedstawiła go w nim jako bohatera, postać naprawdę imponującą, mimo iż oceniła jego zachowanie jako „irytujące i wysoce niechrześcijańskie”.

Potem następował dłuższy fragment, w którym pisała o ojcu i uczuciach, jakie do niego żywiła. Tego nie czytał, gdyż uznał, że powinien uszanować jej żalobę, skoro nie może w niej uczestniczyć. Rozbawił go za to opis pierwszej nocy spędzonej w domku Matta - posiłek z zimnej fasoli i przerażające hałasy, które nie pozwoliły jej do rana zmrzyć oka. Później natrafił na kilka zabawnych, celnych uwag

na temat mieszkańców miasteczka oraz życia w Lone Bluff. A potem znów natrafił na swoje imię.

„Jake Redman to postać enigmatyczna”. Enigmatyczna? Co to znaczy? Nie znał tego słowa. Brzmiało zdecydowanie zbyt wymyślnie, żeby można je było do niego odnieść.

„Jest jak drogi kamień, choć rzeczywiście brak mu szlif. Uczciwość nakazuje mi przyznać, że nieraz mi pomógł i okazał serce. Nie potrafię określić uczuć, jakie do niego żywię, ale czy muszę to robić? On sam sobie ustanawia prawo, wykazuje też kompletny brak ogłady i dobrych manier. Reputację ma raczej skandaliczną. Jest rewolwerowcem - broń nosi w sposób tak naturalny, jak dżentelmen breloczek do zegarka. A jednak wierzę, że gdyby poszukać głębiej, można by w nim odkryć całe pokłady dobroci. Na szczęście nie mam ani czasu, ani ochoty, żeby to robić.

Muszę jednak przyznać, że mimo jego manier oraz stylu życia, jest to mężczyzna niezwykle atrakcyjny. Ma piękne, szare oczy, usta, które można by określić mianem marzycielskich, zwłaszcza kiedy się uśmiecha, oraz naprawdę piękne ręce”.

Przerwał i marszcząc brwi, spojrzał na własne dłonie. Różnie o nich mówiono, ale nikt nigdy nie nazwał ich pięknymi. Nigdy zresztą nie przywiązywał do tego wagi. Jednak musiał przyznać, że słowa Sarah sprawiły mu przyjemność.

Przewrócił stronę i chciał czytać dalej, ale szelest za jego plecami sprawił, że w jednej sekundzie odwrócił się, z rewolwerami w dłoni.

Lucius zaklął soczyście, opuszczając broń.

- Nie po to żytem tak długo, żebyś mnie teraz podziurawił jak sito.

Jake schował pistolety do kabury.

- Uważaj, jak kogoś zachodzisz od tyłu. Nie widziałeś mojego konia?

- Widziałem, ale chciałem się upewnić. Nie myślałem, że cię przyłapię na grzebaniu w jej rzeczach. - Spojrzał wymownie na pamiętnik Sarah.

Jake zamknął go bez słowa.

- Skąd mogłem wiedzieć, że dom będzie pusty.

- Byłem w kopalni. - Lucius wyjął z kieszeni butelkę.

- I co?

- To bardzo dziwne. - Lucius pociągnął łyk i grzbietem dłoni otarł usta. - Nie rozumiem, jak Matt mógł zginąć w tym wyrobisku. To był niegłupi facet, a stemple były bardzo solidne. Moim zdaniem ktoś musiał się nieźle napracować, żeby spowodować katastrofę.

Jake pokiwał głową i spojrzał na akwarelkę na ścianie.

- Powiedziałaś jej o tym?

- Jeszcze nie. Jest jeszcze coś, o czym ci nie mówiłem - do-rzucił z uśmiechem. - Chłopcze, tam jest złoto! Matt zawsze był tego pewny i w końcu trafił na żyłę. - Lucius pociągnął ostatni łyk i zakorkował butelkę. - Domyślałeś się tego?

- Owszem.

- Mam trzymać głębę na kłódkę?

- Na razie tak.

- Nie lubię oszukiwać panny Sarah, ale wierzę, że masz swoje powody.

- Istotnie.

- Nie będę o nie pytał. Nie będę cię też pytał, czemu cię tu tak długo nie było. Od czasu tego porwania panna Sarah wygląda nie najlepiej.

- Co z nią? Jest chora? - mimowolnie wyrwało się Jake'owi,

Lucius zakrył usta, żeby ukryć uśmiech.

- Tak. Chyba ma coś z sercem.

- Przejdzie jej - mruknął Jake, kierując się do drzwi.

- Sam też nie wyglądasz najlepiej - rzucił za nim Lucius, a kiedy Jake nie odpowiadał, dodał: - To twarda dziewczyna. Wygląda delikatnie, ale jest uparta jak osioł. Widzisz to? -wskazał na warzywnik. - Zasadziła tu coś. Nigdy nie myślałem, że zobaczę w tym miejscu kawałek zieleni, a tu proszę! Podlewa to codziennie. Taka dzielna kobieta potrafi zdziałać cuda.

- Gdzie ona jest?

Lucius miał nadzieję, że w końcu usłyszy to pytanie.

- Wybrała się na przejażdżkę z Carlsonem. On tu przyjeżdża prawie codziennie i popija herbatę. - Splunął z pogardą. - Całuje ją po rączkach i zwraca się do niej po imieniu.

- Z radością spostrzegł zimny błysk w oczach Jake'a. - Mówił coś, że chce jej pokazać swoje ranczo. Pojechali jakąś godzinę temu.

- Dawno nie spędziłam równie miłego dnia. - Sarah podniosła się od stołu. Mahoniowe meble w jadalni Carlsona połyskiwały w blasku słońca. - Dawno też nie jadłam równie pysznego posiłku.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Carlson ujął ją za rękę, którą cofnęła z uśmiechem.

- Masz bardzo piękny dom. Nie spodziewałam się, że zobacz tutaj coś równie wspaniałego.

- Mój dziadek kochał piękne przedmioty. - Carlson ujął Sarah za łokieć. - A ja odziedziczyłem po nim to zamiłowanie do piękna. Większość mebli została sprowadzona z Europy. Musieliśmy oczywiście pójść na pewne ustępstwa, ze względu na klimat. Nie widzę jednak powodu, żeby rezygnować z innych wygód. Na tym portrecie - podprowadził Sarah do obrazu, przedstawiającego bladą, elegancką damę w błękitnych jedwabiach - jest moja matka. Była dumą i radością mojego dziadka, który owdowiał, zanim zdążył dokończyć ten dom. Od śmierci żony wszystko, co robił, robił z myślą o córce.

- Jaka piękna!

- Taka właśnie była, ale nawet ojcowska miłość nie wystarczyła, żeby zachować ją przy życiu. Kobiety w mojej rodzinie zawsze były bardzo delikatne. A tu życie jest ciężkie, zbyt ciężkie dla tak kruchych istot. To ta ziemia wysała z niej wszystkie siły. I właśnie dlatego tak się o ciebie martwię.

- Nie jestem taka delikatna, jak myślisz. - Sarah przypomniała sobie upiorną jazdę przez góry.

- Masz silną wolę. To mnie w tobie tak bardzo pociąga.

Znowu ujął ją za rękę, ale zanim zdążyła zareagować, jakiś człowiek wkroczył do domu. Był niższy i szczuplejszy niż Carlson, łączyło ich jednak pewne podobieństwo, zwłaszcza oczu i ust. Zsunęty do tyłu kapelusz zwiślał mu na szyi, żółty kurz pokrywał ubranie. Zatknał kciuki za pasek i obrzucił Sarah taksującym spojrzeniem.

- No, no, kogo ja tu widzę?

- To panna Conway. - W głosie Carlsona zabrzmiało łagodne ostrzeżenie. - Pozwolisz Sarah, to mój brat Jim. Musisz mu wybaczyć, ale pracował właśnie przy bydło.

- Sam trzyma w garści kasę, a ja całą resztę. Nie mówiłeś mi, że mamy gościa. - Podszedł bliżej. Pachniał skórą i tytoniem, ale Sarah jego zapach wydał się odrażający. - I to takiego ładnego.

- Zaprosiłem pannę Conway na lunch.

- I było cudownie - odezwała się Sarah - ale muszę już wracać.

Była dalej od Jima Carlsona.

- Chyba nie chce pani wychodzić właśnie w chwili, kiedy wszedłem? - Jim z uśmiechem oparł brudną rękę na lśniąącym blacie stołu. - Cierpimy tu na brak towarzystwa, a pani jest śliczna, jak z obrazka. - Spojrzał na brata ze śmiechem, którego Sarah nie zrozumiała. - Naprawdę śliczna. Jak z obrazka - powtórzył.

- Idź się lepiej umyć. - Głos Carlsona nadal brzmiał spokojnie, chociaż spojrzenie było stanowcze. - Kiedy wrócę, będę miał z tobą pewien interes do omówienia.

- Sam żyje tylko interesami. - Jim mrugnął znacząco do Sarah. - Ja za to zawsze umiem znaleźć czas na różne inne rzeczy.

Samuel ujął Sarah za łokieć. Odetchnęła z ulgą.

- Miłego dnia, panie Carlson - zwróciła się do Jima.

- Tak, tak, miłego dnia. - Jim popatrzył w ślad za nią.

- Bardzo miłego dnia.

- Musisz mu wybaczyć. - Samuel pomógł Sarah wsiąść do powoziku. - Jim jest trochę nieokrzesany. Mam nadzieję, że nie czujesz się dotknięta.

- Nie, ani trochę - odparta Sarah, siłąc się na uśmiech. Z rękoma złożonymi na podolku zaczęła paplać o wszystkim, co jej ślina na język przyniosła.

- Widzę, że przystosowałaś się już do tutejszego życia - zauważył Carlson.

- Można powiedzieć, że nawet je polubiłam.

- Może to samolubne z mojej strony, ale miło mi to słyszeć. Bałem się, że szybko się zniechęcisz i zechcesz wyjechać. - Śmignął konie batem i spojrzął z uśmiechem na Sarah. - Cieszę się, że postanowiłaś zostać. - Skręcił tak, że po raz ostatni mogli popatrzeć na ranczo. Rozległy, piętrowy dom wydawał się różowy, a szyby lśniły w blasku słońca. Obok padoku wznosiły się zabudowania gospodarcze, błękitny strumień przecinał tereny otoczone wzgórzami.

- To piękna posiadłość, Samuelu. Musisz być z niej bardzo dumny.

- Duma to nie wszystko. Takie miejsce trzeba z kimś dzielić. Zawsze chciałem mieć rodzinę, z którą mógłbym tu zamieszkać. Wyznam ci, że byłem już bliski zwątpienia, że uda mi się spotkać kobietę, którą chciałbym wprowadzić pod mój dach. - Podniósł dłoń Sarah do ust. - Nareszcie ją znalazłem. Byłbym niewymownie szczęśliwy, gdybyś zgodziła się tu przenieść.

Nagle zabrakło jej słów, choć nie powinna być zaskoczona. Carlson nigdy nie ukrywał, że przyjeżdża do niej w konkury. Przyjrzała mu się w milczeniu. Był przystojny, czarujący, godny zaufania i zamożny. A na dodatek proponował jej wszystko, o czym marzyła - dom, rodzinę, szczęśliwe, spełnione życie.

Chciała powiedzieć tak, z uśmiechem dotknąć jego pol-

czka. Nie mogła. Odwróciła wzrok, rozpaczliwie szukając Słów.

I wtedy go zobaczyła, a raczej jego sylwetkę na horyzoncie. Samotny jeździec. Nie musiała widzieć jego twarzy czy słyszeć głosu, by wiedzieć, że to Jake. Powiedziało jej to przyspieszone bicie serca.

Odwróciła się do Carlsona.

- Samuelu, nie umiem wyrazić słowami, jak bardzo pochlebia mi twoja propozycja.

Przeczuwając odmowę, uśmiechnął się, żeby zamaskować gniew.

- Proszę, nie odpowiadaj mi teraz. Chciałbym, żebyś to sobie przemyślała. Zdaję sobie sprawę, że znamy się bardzo krótko i twoje uczucia mogą nie być tak głębokie jak moje. Błagam, daj mi szansę.

- Dziękuję. - Nie oponowała, kiedy znów ucałował jej dłoń. - Zastanowię się. - To obiecała samej sobie. - Będę ci wdzięczna za wyrozumiałość. Mam teraz tyle spraw na głowie. Już prawie udało mi się wyjść na prostą, i właśnie gdy zamierzam znów uruchomić kopalnię...

- Co takiego? - Ręka Carlsona zastygła na jej ręce. - Chcesz uruchomić kopalnię?

- Tak. - Spojrzała na niego ze zdumieniem. - Czy cię to dziwi?

- Nie, nie. Tylko że to bardzo niebezpieczne. - Miarą jego determinacji było tempo, w jakim zdołał odzyskać spokój. - Boję się też, że może to się okazać dla ciebie bardzo przygnębiające. Przecież ta kopalnia zabiła twojego ojca.

- Wiem, ale przez jakiś czas pozwalała mu żyć. I wiem, że chciałby, żeby kontynuowała jego poszukiwania.

- Możesz coś dla mnie zrobić¹?
- Postaram się.
- Proszę, zastanów się dobrze. Bardzo wiele dla ranie znaczysz. Nie chciałbym, żebyś traciła siły na mrzonki. - Cmoknął z uśmiechem na konie. - Jeżeli za mnie wyjdiesz, dopilnuję, żeby kopalnia funkcjonowała jak należy. Nie będziesz musiała się o nic troszczyć.
- Pomyślę nad tym - odparła. Kiedy jej wzrok wędrował ku sylwetce samotnego jeźdźca na wzgórzu, w jej myślach nie było już miejsca dla Carlsona.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sarah nigdy w życiu nie była bardziej podekscytowana wizją zbliżającego się wieczoru tanecznego. Nigdy też równie ciężko nie pracowała. Zamówienia na nowe suknie zaczęły napływać już w dniu, kiedy zapowiedziano festyn dla uczczenia Dnia Niepodległości. Musiała przekazać wszystkie obowiązki domowe w ręce Luciusa, a sama szła dniami i nocami.

Bolały ją palce, piekły oczy, ale udało jej się zarobić tyle, że mogła wreszcie zamówić drewnianą podłogę.

Później przyjdzie pora na szyby w oknach i serwis stołowy. A potem, kiedy będzie miała więcej czasu i pieniędzy, każe Luciusowi, żeby zbudował jej prawdziwą sypialnię. Zamknęła ze śmiechem oczy i spróbowała ją sobie wyobrazić. Jeżeli w kopalni rzeczywiście jest złoto, będzie miała swój wymarzony dom z czterema sypialniami i bawialnią. Na razie musi jej wystarczyć drewniana podłoga.

Już niedługo będzie ją miała. Przed tym czekają ją jeszcze tańce.

W stroje, które uszyła, włożyła wszystkie swoje talenty, jednak jej kreacja miała być najpiękniejsza. W dniu balu wyjęła swoją najlepszą, jedwabną suknię, w delikatnym kolorze lawendy. Dekolt karo, oblamowany białą koronką,

odslaniał szyję i część ramion. Bufiaste rękawy wykończone były falbankami w nieco ciemniejszym, lawendowym odcieniu.

Gorset zasnuwała tak ciasno, że aż rozboleły ją żebra, ale powiedziała sobie, że czasami warto się pomęczyć. A potem obejrzała się w małym lusterku i spróbowała wyobrazić sobie całość. Marszczona spódnica z falbankami podkreślała jej kobiece kształty, a aksamitka na szyi stanowiła miły akcent. Chętnie przypięłaby do niej kameę po matce, ale broszka, niestety, przepadła jak wiele innych rzeczy.

Tego wieczoru nie będzie o tym myślała, powiedziała sobie, poprawiając fryzurę. Wszystkie włosy zaczesła do góry i kunsztownie upięła spinkami. Drobne loczki przy uszach i skroniach wyglądały bardzo wdzięcznie i naturalnie.

To ważne, żeby wyglądała jak najlepiej. Nawet bardzo ważne. Założyła długie, białe rękawiczki. Jeżeli Jake tam będzie, powinien zobaczyć, co stracił. Narzuciła biały koronkowy szal, sprawdziła zawartość torebki i wyszła na podwórze.

- Nareszcie. - Lucius stał obok wozu, z kapeluszem w ręku. Nawet nie musiała mu przypominać, żeby się umył i ogolił. Kiedy Sarah uśmiechnęła się do niego, doszedł do wniosku, że gdyby miał o dziesięć lat mniej, dałby Jake'owi do wiwatu.

- Lucius, ale z ciebie przystojny mężczyzna.

- A niech mnie kule biją, panienko Sarah, to znaczy...

- Lucius chrząknął - aż miło na panienkę popatrzeć.

Sarah wyciągnęła z uśmiechem rękę, a on, tak szarmancko, jak tylko potrafił, pomógł jej wsiąść na wóz.

- Panienska wszystkie je zakasuje.

- Mam nadzieję. - A przynajmniej jedną z nich. - Zarezerwujesz sobie dla mnie taniec, Lucius?

- Z przyjemnością. Śmiem twierdzić, że pijany czy trzeźwy, zawsze był ze mnie niezły tancerz.

- Postaraj się tej nocy być trzeźwy.

Jake zobaczył ich, jak wjeżdżali do miasta. Siedział w oknie, pałac papierosa, i przyglądał się kowbojom, którzy galopowali po ulicach, powiewając kapeluszami, strzelając i pohukując.

Dzień Niepodległości. Większość z tych ludzi uważa, że należy im się wolność oraz ta ziemia, do której od dawna rościli sobie prawa. Musiał się z tym pogodzić, że to właśnie oni oraz im podobni zagarną Terytorium Arizony oraz cały Zachód. Czarny Jastrząb i jego współplemieńcy nie powstrzymają ich naporu.

A on sam nie był ani najeźdźcą, ani podbitym.

Może właśnie dlatego nigdy nie próbował odcisnąć swojego piętna na tej ziemi. Zwłaszcza od czasu, kiedy jego ojciec stracił to, co próbował zbudować. Najlepiej jest, gdy wszystko, co człowiek posiada, da się przytroczyć do końskiego siodła.

Miasto było pełne ludzi i zgiełku. Pomyślał, że większość kowbojów szybko się upije i będą potem strzelać do siebie zamiast do celu. Cody zorganizował zawody strzeleckie, ale on nie miał ochoty brać w nich udziału. Siedział po prostu w oknie i patrzy.

I wtedy ją zobaczył. Mimowolnie położył dłoń na sercu, tam, skąd promieniował dziwny ból. Sarah roześmiała się perliście. Wstrząśnięty własną reakcją, odwrócił wzrok, żeby się do reszty nie pogrążyć.

A potem znów na nią spojrzął. Zsiadła z wozu i śmiała się do Lizy Cody, która wybiegła ze sklepu ojca. Kiedy okręciła się przed Liza, zobaczył ją całą - białą szyję, zarys biustu, szczupłą talię i żywy błysk w oku. Papieros sparzył mu palce. Zaklął, ale nie spuszczał z niej wzroku.

- Będziesz tak siedział w oknie przez cały dzień czy zabierzesz mnie tło miasta, jak obiecywałeś? - Maggie wtargnęła do pokoju i ujęła się pod boki. Ten chłopak wyraźnie nie słyszy, co się do niego mówi! Szarpnęła go za rękę, udała, że nie słyszy imienia, które wyrwało mu się z ust, i powtórzyła pytanie.

- Niczego ci nie obiecałem - burknął.

- Obiecałeś, obiecałeś. Tej nocy, kiedy kładłam cię do łóżka, bo przyszedłeś taki pijany, że nie mogłeś utrzymać się na nogach.

Doskonale pamiętał tę noc. To było tydzień po tym, jak przywiózł Sarah z gór. A także tydzień po tym, jak wybrał się do „Srebrnej Gwiazdy”, próbując wykrzesać z siebie choć tyle entuzjazmu, żeby móc wziąć do łóżka Carlottę albo którąkolwiek z jej dziewcząt. Gdyby się tylko upił, nie byłoby problemu, ale on po raz pierwszy w życiu urządził się w sztok i nie miał ochoty powtarzać tego doświadczenia.

- Wcale cię nie prosiłem, żebyś mnie kładła do łóżka.

- Nie byłeś nawet w stanie wejść na górę. Potrafię rozpoznać, kiedy chłop jest taki pijany, że nie może nawet myśleć. No to jak będzie? Idziemy do miasta czy będziesz się dalej gapić przez okno?

Jake zaklął, ale cofnął się posłusznie od okna.

- Co za męczące babsko.

Maggie tylko się uśmiechnęła i podała mu jego kapelusz. Ledwo wyszli na dwór, podbiegł do nich John Cody.

- Panie Redman, panie Redman, czekałem na pana!

- Tak? - Jake nasunął chłopcu kapelusz na oczy. - A po co?

- Chodzi o ten konkurs. - Johnny był wniebowzięty względami, jakie okazywał mu Jake. - Nasz tata urządza konkurs. Najlepszy strzelec dostanie nową końską derkę. Czerwoną. Wygra pan, prawda?

- Nie zamierzałem brać w nim udziału.

- Jak to? Przecież nikt tak dobrze nie strzela. Poza tym taka ładna derka.

- Posłuchaj, Jake. - Maggie poklepała go po ręce. - Chłopak na ciebie liczy.

- Ja nie strzelam dla sportu. - Już miał odejść, ale widząc zawieszoną twarz chłopca, zmienił zdanie. - Mówisz, czerwona derka?

- Tak, proszę pana. - Johnny'emu zaświeciły się oczy. - W życiu takiej nie widziałem.

- No to chodź, zobaczmy. - Jeszcze nie skończył, a chłopiec już ciągnął go na drugą stronę ulicy.

Na tyłach sklepu Cody ustawił puste butelki i puszki. Każdy zawodnik mógł oddać sześć strzałów zza wytyczonej linii. Ziemia była już usłana odłamkami szkła.

- Trzeba zapłacić wpisowe - powiedział Johnny. - Mara drobne, gdyby pan potrzebował.

Jake popatrzył na monety, które chłopiec trzymał w garści. Gest Johnny'ego głęboko go poruszył. Nieczęsto mu się zdarzało, żeby ktoś chciał się z nim podzielić czymkolwiek z własnej woli.

- Dziękuję, nie trzeba.

- Pan strzela lepiej niż Jim Carlson, a to on teraz wygrywa. - Johnny spojrział na Jima, który z dumą demonstrował swojego najnowszego Smitha & Wessona 44. Może pan go pokonać?

- Ale po co? Co mi to da, że strzelę lepiej? - Jake rzucił Johnny'emu monetę. - Wpisz mnie na listę, chłopcze.

- Tak jest, proszę pana! - Johnny zamienił kilka słów z kolegą, po czym zniknął w podskokach.

- Chcesz powalczyć o nagrodę? - Jake usłyszał za sobą głos Luciusa.

- Myślałem o tym - odparł, ale wzrok miał utkwiony w Jima Carlsona. Wiedział, że Jim jeździ na wielkim, białym ogierze, i przypomniał sobie, że tej nocy, kiedy podpalono szopę Sarah, mignął mu w oddali biały koń.

Lucius uchylił kapelusza przed Maggie.

- Pani pozwoli.

- To ty, Lucius? Nie wierzę własnym oczom. Nigdy w życiu nie widziałam cię ogolonego.

Lucius poczerwieniał.

- Chyba można się od czasu do czasu ogolić? I nie muszą się wszyscy od razu gapić.

- Zapomniałem, że ogóle miałeś twarz - rzucił Jake, kiedy Will Metcalf trafił cztery spośród sześciu butelek. - Ty też chcesz powalczyć?

- Nie. Wpadłem tu powiedzieć ci, że Burt Donley pojawił się w mieście.

- Tak? - Tylko oczy zmieniły się w twarzy Jake'a. - Myślałem, że jest w Laramie.

- Już nie. Przyjechał, kiedy byłeś w New Mexico. Dostał pracę u Carlsona.

Jake odwrócił się i zlustrował wzrokiem otoczenie.

- Donley raczej nie zajmuje się bydłem.

- W każdym razie nigdy o tym nie słyszałem. Może Carlson zatrudnił go w jakimś innym celu.

- Może - mruknął Jake, patrząc na Donleya, który przedzierał się właśnie przez tłum.

Był to wysoki, zwałisty mężczyzna, o długich, siwiejących włosach i gęstej brodzie. Był także szybki - nikt tak dobrze tego nie wiedział jak Jake. Gdyby dwa lata temu prawo nie wkroczyło między nich, jednego z nich nie byłoby już na tym Świecie.

- Słyszałem, że jakiś czas temu miałeś z nim kłopoty.

- Owszem. - Oczy Jake'a i Donleya spotkały się ponad tłumem. Słowa nie były im potrzebne. Pewne sprawy między nimi nie zostały dopowiedziane do końca.

Stojąc obok Lizy, Sarah patrzyła na Jake'a. Nagle zadrżała. W jego oczach pojawił się zimny, zabójczy błysk. A potem podniósł się ryk, bo kolejny zawodnik rozbił wszystkie sześć butelek.

- Och, popatrz! - Liza szarpnęła Sarah za rękę. - Jake będzie teraz strzelał. Wiem, że to nie wypada, ale zawsze chciałam zobaczyć, jak on to robi. Ludzie opowiadają takie rzeczy. Na przykład... - Zastygła z otwartymi ustami, kiedy Jake strzelił z prawego biodra.

- Nawet nie widziałam, żeby wyjął broń - wyszeptęła. - Tylko błysnęła mu w rękę.

- Stracił wszystkie. - Sarah otuliła się szalem.

Jake nawet nie ruszył się z miejsca. Kiedy wsuwał broń do kabury, dymiła jeszcze lufa.

Z tłumy wysunął się Donley, rzucił monetę i poczekał, aż Cody ustawi nowe butelki. Sarah zobaczyła, jak jego potężna

dłoń zaciska się na kolbie. A potem Donley pociągnął za cyngiel i wystrzelił.

- O mój Boże! On też rozbił wszystkie. Czyli zostali tylko Dave Jeffrey, Jim Carlson, Jake oraz Burt Donley.

- Kto to jest? - zapytała Sarah. Uderzyło ją, że Jake wyglądał, jakby chciał zabić tego człowieka. - Ten olbrzym w skórzanej kamizelce?

- Donley? Pracuje dla Jima Carlsona. Słyszałam, co o nim mówią. Mniej więcej to samo, co o Jake'u, tylko że...

- Że co?

- Zauważyłaś, że Johnny ciągle biega za Jakiem? Na początku się bałam, teraz, na szczęście, już nie. Gdyby zbliżył się do Donleya, obdarłby go ze skóry.

Tłum zakolysał się, kiedy Donley przesunął linię o dwa metry do tyłu. Pierwszy zawodnik wycelował i wystrzelił, trafiając cztery butelki. Sarah zobaczyła, jak Johnny chwyta Jake'a za rękę i szepcze coś. Ku jej zdumieniu Jake uśmiechnął się i zwichrzył chłopcu czuprynę. Znowu to samo. Znowu ta jego dobroć. A jednak wciąż miała w pamięci zimny błysk, który przed chwilą pojawił się w jego oczach.

Kim ty jesteś naprawdę?

A Jake jakby ją usłyszał, bo nagle odwrócił głowę. Ich spojrzenia spotkały się *na dłuższą chwilę*. Sarah *rumieniec* wystąpił na policzki i choćby tylko za to chętnie by go zniecierliwała.

- Jak będziesz tak na nią patrzył - odezwała się Maggie - będziesz się musiał z nią ożenić albo uciekać, gdzie pieprz rośnie.

- Zamknij się, Maggie!

Maggie uśmiechnęła się słodko, jakby ją pocałował.

- Muszę ci powiedzieć, że Samuelowi Carlsonowi nie zbyt podoba się to, co w tej chwili robicie.

Jake obejrzał się i napotkał wzrok Carlsona, który podszedł właśnie do Sarah i zaborczym gestem położył jej rękę na ramieniu. Już za to samo gotów był go zastrzelić.

- On nie ma do niej żadnych praw.

- Ale próbować mu wolno. Lepiej się pospiesz, chłopcze.

Widownia zaczęła bić brawo, kiedy Jim Carlson trafił pięć

butelek.

Jake spokojnie załadował broń i podszedł do linii. Sześć strzałów zabrzmiało jak jeden wystrzał. A kiedy opuścił colta, po sześciu butelkach pozostały tylko okruchy szkła.

Donley zajął jego miejsce. Sześć strzałów - sześć butelek.

Linia znów została przesunięta do tyłu.

- Z tej odległości nie uda im się - szepnęła Liza do Sarah.

- Nikomu się nie uda.

Sarah potrząsnęła tylko głową. To już nie była zabawa. Gra toczyła się o coś znacznie poważniejszego niż czerwona derka. Ludzie wkoło także to wyczuli i patrzyli po sobie z niepokojem.

Jake stanął za linią. Popatrzył na cel, obliczając w myślach odległość. A potem zdał się na instynkt. Huknęły strzały, butelki rozprysły się na tysiące odłamków. Zostało tylko jedno, wyszczerbione denko. Jake bez wahania wyciągnął drugi rewolwer i rozbił także tę resztkę.

Kiedy Donley wysunął się do przodu, zapadła cisza. Pociągnął za spust. Broń podskakiwała przy każdym strzale. Gdy skończył, została jedna butelka.

- Moje gratulacje, Redman. - Cody szybko podał mu

nagrodę, w nadziei, że tym gestem choć trochę rozładuje napięcie. Na szczęście z tłumy wysunął się szeryf Barker.

- To była dobra robota, chłopaki. - Skinął obu mężczyznom. Will Metcalf stał tuż za nim. - Dobrze wam zrobi, jak się teraz trochę napijecie. Jeżeli jeden z was dostanie kulkę tej nocy, nie będę miał wątpliwości, czyja to robota.

Ostrzeżenie zostało okraszone przyjaznym uśmiechem. Carlson, za plecami Sarah, potrząsnął lekko głową. Donley wycofał się bez słowa, a tłum rozstępował się przed nim w milczeniu.

- W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak strzelał. - Johnny podniósł na Sarah wzrok pełen zachwytu.

- Trzymaj, chłopcze, to dla ciebie. - Jake rzucił mu czerwoną derkę.

Johnny osłupiał.

- Naprawdę mogę ją sobie zatrzymać?

- Masz przecież konia, prawda?

- Tak, gniadego kucyka.

- Twojemu gniadoszowi będzie ładnie w czerwonym.

Idź i sam sprawdź.

Pokrzykując z radości, Johnny puścił się biegiem i wpadł prosto w objęcia matki, która skarciła go szeptem. Chłopiec szybko odwrócił się:

- Dziękuję, panie Redman, bardzo dziękuję.

- Sprawileś mu wielką przyjemność - rzucił Barker.

- Niepotrzebna mi nowa derka.

Barker potrząsnął tylko głową.

- Jesteś dla mnie zagadką, Jake. Muszę przyznać, że cię polubiłem.

- O, to dla mnie nowina, szeryfie. Większość stróżów prawa żywi do mnie zupełnie inne uczucia.

- Może i tak. Tak czy owak proszę, żebyś tej nocy trzymał swoje colty w kaburze. Powiesz mi, co zaszło między tobą a Donleyem?

- Nie.

- Tak też myślałem. No cóż, wobec tego skoczę na kurczaka z piwem, a potem potańczę sobie trochę z żoną.

Wzdłuż wielkiego, płóciennego namiotu ustawiono tużin stołów. Orkiestra nie zdążyła jeszcze zagrać, a już polowa potraw została zjedzona. Kobiety, te młodsze i te starsze, flirtowały, szczęśliwe, że mogą się pokazać w najładniejszych sukniach. Gdy rozległy się dźwięki skrzypiec, pary ruszyły do tańca. Liza, w różowej muślinowej sukience, chwyciła Willa za rękę i pociągnęła go na parkiet. Carlson, oszalamiająco elegancki w brązowym ubraniu, skłonił się przed Sarah.

- Będę zaszczycony, jeżeli zechcesz ze mną zatańczyć.

W odpowiedzi roześmiała się i dygnęła.

- Będzie mi bardzo miło.

Melodia była radosna i żywawa. Mimo upału orkiestra grała taniec za tańcem, wodzirej co i raz zwilżał gardło piwem, a pary wirowały do utraty tchu. Wyglądało to zupełnie inaczej niż wieczorki taneczne, na których Sarah bywała w Filadelfii. Cudownie inaczej. Muzyce towarzyszyły gromkie pokrzykiwania i pohukiwania, tupania, gwizdy i oklaski.

- Miałeś rację, Lucius - powiedziała zasapana, kiedy muzyka ucichła. - Jesteś naprawdę świetnym tancerzem. A to

jest najlepsza zabawa, na jakiej w życiu byłam. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- No, no. - Lucius zrobił się czerwony jak burak. - Może przynieść szklaneczkę ponczu?

- Bardzo proszę.

- Sarah! - Liza, niemal tak zaczerwieniona jak Lucius, podbiegła i chwyciła ją za rękę.

- O Boże! Co się stało?!

- Nic. Nic złego. - Liza niecierpliwie pociągnęła ją w róg namiotu. - Muszę ci natychmiast coś powiedzieć, to ważne!

- Co się stało? Mam nadzieję, że to pomyślna wiadomość.

- Wysłałam na dwór, żeby zaczerpnąć powietrza... - Liza nerwowo rozejrzała się na boki. - Will poszedł za mną. Pocałował mnie!

- Naprawdę?

- I to dwa razy! Aż mi serce stanęło w piersi.

Sarah z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- Czy to ma znaczyć, że pozwoliłaś mu zostać swoim kawalerem?

- Pobieramy się! - wybuchnęła Liza.

- Och, Liza! To cudownie! - Sarah zarzuciła przyjaciółce rękę na szyję. - Tak się cieszę. A kiedy?

- Najpierw Will musi porozmawiać z tatą. - Przygryzając wargi, Liza spojrzała na ojca. - Wszystko będzie dobrze, bo tata bardzo lubi Willa.

- Jestem tego pewna. Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę.

Łzy napłynęły Lizie do oczu.

- Ojej, nie chciałabym się teraz rozplakać.

- Nie płacz, bo i ja się rozplaczę.

- Już się nie mogę doczekać. - Liza uściskała Sarah, śmiejąc się przez łzy. - Zobacysz, że niedługo przyjdzie twoja kolej. Samuel Carlson nie może oderwać od ciebie oczu. Muszę ci powiedzieć, że kiedyś się w nim podkochiwałam. Ale potem już tylko chciałam wzbudzić zazdrość w Willu.

- Nie wyjdę za Samuela. Myślę, że w ogóle nie wyjdę za męża.

- Co ty opowiadasz?! Jeżeli nie Samuel, to jakiś inny mężczyzna przypadnie ci do gustu.

Rozległy się pierwsze tony walca. Sarah zasłuchiwała się w rozmarzeniu.

- Problem w tym - usłyszała swój własny głos - że ktoś już wpadł mi w oko, ale mężczyźni tacy jak on nie myślą o małżeństwie.

- A kto... - Liza urwała, bo Sarah nagle pociemniały oczy. - O mój Boże - wyszeptała na widok Jake'a, który wszedł właśnie do namiotu i skierował się w ich stronę.

Carlson ruszył ku Sarah, żeby poprosić ją do walca, ale ona już go nie widziała, wpatrzona w Jake'a. Nie spostrzegła, jak zacisnął usta, kiedy powiódł oczyma za jej spojrzeniem. Widziała tylko zmierzającego ku niej Jake'a.

Kiedy przed nią stanął, wyciągnął bez słowa rękę, a ona wsunęła się w jego ramiona.

To musiał być sen. Krążyli spleceni w uścisku, a muzyka spowijała ich jak kokon. Patrzyli sobie w oczy, dłoń Sarah mimowolnie uniosła się i dotknęła policzka Jake'a, a wtedy jego oczy stały się mroczne jak gradowa chmura.

Zawstydzona swoją śmiałością, opuściła rękę.

- Nie przypuszczałam, że umiesz tańczyć.
- Moja matka pięknie tańczyła.
- Ostatnio mnie nie... - urwała. Gdzie podział się jej wstyd? - Nie odwiedzałeś mnie.
- Nie.
Co za trudny człowiek.
- Ale dlaczego?
- Dobrze wiesz dlaczego. - Czy on postradał zmysły? Po co dręczy ją i siebie?
Po jego słowach odwróciła wzrok, ale znów popatrzyła na Jake'a.
- Boisz się ze mną spotykać?
- Nie. - Było to kłamstwo, a przecież rzadko kłamał. - Ty za to powinnaś się bać.
- Ja się ciebie nie boję, Jake.
- Widocznie nie masz na tyle rozumu. - Kiedy przebrzmiały tony walca, nie puszczał jej jeszcze przez chwilę.
- Gdybyś miała rozum, uciekałabyś na mój widok.
- Tymczasem to ty ciągle uciekasz. - Wysunęła się z jego objęć i odeszła.
Ciężko jej było zachować spokój, kiedy tak naprawdę miała ochotę tupać i krzyknąć ze złości. Zaciskając usta, ruszyła do tarczki z pierwszym mężczyzną, który ją poprosił. Kiedy znów rozejrzała się wokoło, Jake'a już nie było.
- Sarah! - Carlson pojawił się u jej boku ze szklanką lemoniady.
- Dziękuję. - Jedwabny wachlarzyk okazał się niewystarczającym lekarstwem na lipcowy upał. - Wspaniała zabawa, prawda?
- O tak. Tym bardziej że ty tu jesteś.

Chcąc się wymigać od odpowiedzi, podniosła szklankę do ust.
- Wolałbym nie psuć ci wieczoru, Sarah, ale czuję, że muszę ci coś powiedzieć.
- Ależ proszę. O co chodzi?
- Wkraczasz na śliski grunt. Mówię o Redmanie.
- Ach tak? - Stłumiła gniew. - Co masz na myśli, Samuelu?
- Wiesz chyba, moja droga, kto to jest? Rewolwerowiec, najemny morderca. Taki człowiek nie będzie cię bardziej szanował niż te wszystkie kobiety, które... które nie zasługują na miano dam.
- A jednak, bez względu na to, co o nim myślisz, pan Redman wielokrotnie przyszedł mi z pomocą. Dlatego uważam go za przyjaciela.
- On nie ma przyjaciół. Trzymaj się od niego z daleka. Dla własnego dobra.
Sarah uniosła dumnie głowę.
- Co to ma być? Rada czy rozkaz?
Błysk gniewu w jej oczach nakazał mu zmienić taktykę.
- Potraktuj to jako prośbę. - Ujął ją za rękę. - Chciałbym wierzyć, że łączy nas pewne porozumienie, Sarah.
- Przykro mi - powiedziała ze spokojem - ale tak nie jest. Nie powiedziałam, że wyjdę za ciebie, Samuelu. Póki tego nie zrobię, nie czuję się w obowiązku spełniać twoich prośb. A teraz przepraszam, ale chciałabym wyjść na powietrze. X to sama.
Zła na siebie, że potraktowała go zbyt ostro, opuściła pospiesznie namiot.
Księżyc stał wysoko na niebie. Zbliżała się pełnia. Sarah

przypomniała sobie, co mówiła siostra Madeleine, i zrobiła kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić. Tam, na Wschodzie, księżyc musiał być równie jasny i wielki, a przecież wydawał się jakby mniejszy. Niebo także nie było aż tak rozległe i tak gęsto usiane gwiazdami. Ludzie za to byli mniej nieznośni.

Niestety, szybko przekonała się, że rady siostry Madeleine jakoś nie skutkują. Może spacer pomoże jej ochłonąć z gniewu? Uszła z pięć kroków, gdy spostrzegła stojącą w mroku postać. To był Jake, z papierosem w ustach.

- Trochę za gorąco na spacer - odezwał się, kiedy go mijala.

- Dziękuję za zwrócenie mi uwagi - powiedziała zimno, nie zatrzymując się.

- Dziś wieczorem szykuje się wielka popijawa. Miasto jest pełne mężczyzn, którzy rzadko mają okazję popatrzeć na ładną dziewczynę. Nie chodź nigdzie sama. To bardzo nierozsądne.

- Wysłuchałam twojej porady. - Chciała iść dalej, ale Jake chwycił ją za rękę. - Jeżeli to wszystko, co miałaś mi do powiedzenia, zostaw mnie teraz samą.

- Nie, nie wszystko - wybuchnął, sięgając do kieszeni. - To należy do ciebie.

- Och! - Chwyciła kameę. - Myślałam, że przepadła. Wziął ją ten Apacz ze szramą. Miał ją, kiedy...

- Zabrałem mu ją. Zamierzałem ci oddać, ale jakoś wypadło mi z pamięci. - Kolejne kłamstwo. Zatrzymał broszkę, bo chciał mieć coś, co do niej należy. Choćby tylko przez chwilę.

- Dziękuję. - Schowała broszkę do torebki. - To dla

mnie cenna pamiątka. - Na dźwięk wysokiego, kobiecego śmiechu, zacisnęła usta. Widocznie w „Srebrnej Gwieździe” także odbywało się tej nocy przyjęcie. O nie! Nigdy tego Jake'owi nie daruje! Nie ulegnie już więcej słabości. - Dziwię się, że jeszcze tu jesteś. Taniec jest chyba zbyt przyzwoitą rozrywką jak na twoje gusta. Nie chciałabym cię zatrzymywać.

- Niech cię, Sarah. Powiedziałem tylko, żebyś nie chodziła sama po nocy, Sarah zimno spojrziała na rękę spoczywającą na jej ramieniu.

- Nie mam obowiązku wykonywać twoich rozkazów. Puść mnie!

- Wracaj do namiotu!

- Jak mi się będzie chciało. - Wyrwała się ze złością. - Będę chodzić, gdzie mi się podoba i z kim mi się podoba.

- Jeżeli mówisz o Carlsonie, powiem ci jedno: trzymaj się od niego z daleka.

- Tak? - Tego już za wiele! Dopiero co jeden mężczyzna ostrzegł ją przed drugim, a teraz znowu to samo? - Możesz sobie mówić, co chcesz, a ja nie mam obowiązku cię słuchać. Będę się widywała z Samuelem, kiedy tylko będę miała ochotę.

- Żeby cię całował po rękach? - rzucił jej w twarz. - Żeby café miasteczko plotkowało, że byłaś u niego w domu?

- Jak śmiesz?! - wyszeptwała z oburzeniem. - Ty, który spędzasz czas u... tej kobiety. Płacisz jej, żeby okazywała ci względy. Jak śmiesz insynuować, że w moim zachowaniu jest coś niestosownego? - Podeszła bliżej i dźgnęła go palcem w pierś. - Jeżeli pozwalam Samuelowi całować się po rękach, to moja sprawa. Samuel poprosił mnie niedawno, żebym została jego żoną.

Ostatnia rzecz, jakiej mogła się spodziewać, to że Jake nagle uniesie ją do góry.

- Co powiedziałaś?!

- Powiedziałam, że poprosił mnie o rękę. Postaw mnie na ziemi.

Potrząsnął nią tak silnie, że kilka spinek wysunęło jej się z włosów.

- Ostrzegam cię, księżniczko, dobrze się zastanów, zanim za niego wyjdiesz. Jeżeli to zrobisz, zostaniesz za jednym zamachem żoną i wdową. Obiecuję ci to.

Serce podeszło jej do gardła.

- Czy twoją odpowiedzią na wszystko jest kula? Opuścił ją wolno, patrząc jej w oczy.

- Zostań tu.

- Ja nie...

Znów nią potrząsnął.

- Mówię ci, zostań! Bo jak nie - rzucił na odchodnym

- to przywiążę cię do płotu jak konia.

Już miała coś powiedzieć, gdy poraziła ją pewna myśl. O Boże! On gotów kogoś zabić! Rzuciła się za nim. Jake złapał ją przy wejściu do namiotu, z którego właśnie wychodził.

- Czy ty kiedykolwiek słuchasz, co się co ciebie mówi?

- Myślałam... przeraziłam się, że...

- Że co? Że wpakuję Carlsonowi kulę w serce? - Zacisnął usta. Więc tak bardzo jej na nim zależy, że aż pobiegła go ratować? - Na to jest jeszcze czas. - Chwycił ją mocno za rękę i pociągnął za sobą.

- Co ty wyprawiasz?

- Zabieram cię do domu.

- Nie ma mowy! - Na próżno się opierała. - Nigdzie z tobą nie pójdę. Nie chce mi się jeszcze wracać do domu.

- Sama się o to prosiłaś. - Zirytowany jej oporem, Jake chwycił ją na rękę.

- Przestań, bo zacznę krzyczeć!

- A krzycz sobie, krzycz. - Posadził ją na wóz. Sięgnęła po lejce, ale on był szybszy.

- Lucius mnie odwiezie.

- Lucius zostaje w mieście. - Jake szarpnął lejce. - Rozsiądź się wygodnie i ciesz się przejażdżką. I bądź cicho, - dorzucił, widząc, że chce coś powiedzieć - albo przysięgam, że zaknebluję ci usta.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Godność. W każdych warunkach. Musi zachować godność - mimo wszystko. Może nie będzie to takie łatwe, zważywszy na gwałtowność, z jaką Jake powoził, a także na stan jej ducha, ale postara się nie zapomnieć, że jest damą.

A tak w ogóle szkoda, że nie jest mężczyzną. Nauczyłaby go moresu!

Opanowanie. Z oczyma wbitymi w odległy punkt ponad końskimi łbami Jake modlił się w duchu, by nie stracić zimnej krwi. Nie będzie to łatwe, ale dotychczas udawało mu się panować nad sobą równie skutecznie jak nad swoimi coltami. Nie chciał, żeby tym razem stało się inaczej. Nie chciał zrobić czegoś, czego potem żałowałby do końca życia.

Szkoda, że mężczyzna nie może spuścić lania kobiecie.

W grobowej ciszy jechali pod wielkim, srebrzystym księżycem. Niektórzy mogliby to nawet uznać za bardzo romantyczne okoliczności, ale nie Sarah. Ona już nigdy nie spojrzy na księżyc w pełni bez uczucia złości. Ośmielił się wywlec ją w samym środku tak wspaniałej zabawy! Jak mógł wydawać jej rozkazy dotyczące jej prywatnego życia?! I jeszcze te groźby, że przy wiąże ją do płotu jak konia! Co za bezczelny, nieokrzesany... Wzięła głęboki oddech i próbowała o tym nie myśleć.

Jeśli nie przestanie myśleć o Jake'u, straci więcej niż godność.

Kiedy wjeżdżali na podwórze, powitało ich radosne szczekanie. To Lafitte wyczuł zapach Sarah, a także wysokiego mężczyzny, który zawsze drapał go za uszami. Z wywieszonym językiem rzucił się do wozu, szczęśliwy, że jego pani wróciła.

Jake zatrzymał konie przed domem, a Sarah chwyciła spódnice, żeby zsiąść z wozu. Niestety, w zdenerwowaniu, zbyt mocno szarpnęła za rąbek sukni. Rozległ się trzask rozdieranego jedwabiu. Boże, co za kompromitująca sytuacja!

- No i widzisz, co zrobiłaś? - Jake, równie zły, wysiadł z drugiej strony. - Gdybyś poczekała chwilę, podałbym ci rękę.

- Tak? - Zadzierając głowę, obeszła wóz. - Nigdy w życiu nie zachowałeś się jak dżentelmen. Jesz rękami, przeklinasz, nie znasz nawet takich zwrotów, jak „dzień dobry” czy „do widzenia”.

- To mi dopiero wady - prychnął szyderczo.

- Wady? - Podeszła bliżej. - Jeszcze nie doszłam do twoich wad. Gdybym zaczęła je wyliczać, zajęłoby mi to co najmniej rok. Jak śmiesz rzucać mnie na wóz niczym worek mąki i przywozić tutaj wbrew mojej woli?

W świetle księżycy wyglądała zachwycająco - zarumieniona z gniewu, z błyskiem w oczach.

- Mam swoje powody - odparł.

- Tak? Chciałabym je poznać.

On też. Sam nie wiedział, co go napadło. To musiała być zazdrość. Wolał się nad tym nie zastanawiać.

- Idź do łóżka, księżniczko.

- Nigdzie nie pójdę! - Złapała go za rękę, zanim zdążył

chwycić lejce, żeby odprowadzić konie. ~-1 ty też nie, póki się nie wytłumaczysz. Zaczepiłeś mnie, a na koniec zagroziłeś, że zabijesz Samuela Carlsona.

- To nie były groźby. - Jake odtrącił jej rękę. - Jeżeli jeszcze raz spróbuje cię tknąć, zabije go.

Sarah ze zgrozą uświadomiła sobie, że mówił prawdę. Rzuciła się za Jakiem.

- Oszalałeś?

- Może.

- Co cię obchodzi moja znajomość z Samuelem Carlsonem? Mogę cię zapewnić, że żaden mężczyzna nie tknął mnie nigdy wbrew mojej woli.

- Sama tego chciałaś, tak? - Konie zarżały, kiedy odwrócił się gwałtownie w jej stronę. - Lubisz, jak on cię obejmuje, dotyka i całuje?

Pomyślała, że nawet na torturach nie przyzna się, że Carlson ucałował tylko jej palce. A jedyny mężczyzna, któremu pozwoliła na coś więcej, stał właśnie przed nią, patrząc jej z gniewem w twarz.

- Mówię raz jeszcze, to nie twoja sprawa.

- Wydaje mi się, że moja - burknął, wprowadzając konie do stajni. Chętnie spuściłby Sarah lanie za tę hardą minę.

- Źle ci się wydaje. - Weszła za nim do środka. Może to i niegodne, ale chciała mieć ostatnie słowo. - Wszystko, co robię, to wyłącznie moja sprawa. Nie zrobiłam nic, czego mogłabym się wstydzić. Ani z czego musiałabym się przed tobą tłumaczyć. Jeżeli pozwalam, żeby Samuel przyjeżdżał do mnie w konkury, nic ci do tego.

- Tak to nazywasz? - Jake wprowadził konia do boksu.

- Konkury?

- Masz na to jakąś inną nazwę? - zapytała lodowatym tonem.

- Może myliłem się co do ciebie. - Patrząc na Sarah, ujął drugiego konia za uzdę. - Myślałem, że jesteś bardziej wybredna. Chociaż nie cofnęłaś się, kiedy cię objąłem. - Chwył ją za ręce, zanim zdążyła dać mu w twarz.'

- Jak śmiesz?! - krzyknęła. Z oburzenia zabrakło jej tchu. - Jak możesz mówić do mnie w ten sposób? - Szarpnęła się; szal zsunął się na ziemię. - Nie, nie protestowałam, kiedy wzięłaś mnie w objęcia. Choć Bóg mi świadkiem, że gorzko tego żałuję. Sprawiasz.; - Na moment zabrakło jej słów. - Budzisz we mnie uczucia, których nie rozumiem. Jesteś kłamcą. Kazałaś sobie zaufać, a później zawiodłaś moje zaufanie. Sprawiliś, że cię zapragnęłam, a potem wcale mnie nie chciałaś. A po tym wszystkim zostawiłaś mnie, jakby moje uczucia nie miały dla ciebie najmniejszego znaczenia.

Ból ścisnął mu serce. To, co mówiła, było prawdą. Gorycz w jej oczach i głosie była prawdziwa.

- Tak będzie lepiej - powiedział cicho.

- Zgadza się z tobą. - Nagle zachciało jej się płakać. - Jeżeli uważasz, że to daje ci prawo wtrącać się w moje życie, grubo się mylisz.

- Szybko przeskoczyłaś z moich ramion w jego objęcia - zauważył z goryczą i ugryzł się w język.

- Ja? - To już przekracza ludzkie pojęcie! Wściekła, obiema rękami chwyciła go za koszulę. - To nie ja przeskoczyłam, tylko ty. To ty zostawiłaś mnie bez słowa, a potem pojechałaś prosto do „Srebrnej Gwiazdy"! To ty mnie całowałaś, a potem otarłaś usta i, jakby nigdy nic poszedłaś całować tamtą kobietę!

- Kogo? - Złapał ją, zanim zdążyła uciec. - Kogo?
 - Nie mam nic więcej do dodania.
 - Jak się powiedziało a, trzeba też powiedzieć b. Do czyjego łóżka miałem niby wskoczyć?
 - Carlotty! - Włożyła w to imię całą wściekłość. - Zosta-wiłeś mnie i pojechałeś do niej. I żeby mnie jeszcze bardziej upokorzyć, powiedziałaś jej, że może mnie zatrudnić.
 - Zatrudnić ciebie? - Jake na moment osłupiał. - O czym ty mówisz, do cholery?
 - Dobrze wiesz, o czym mówię. Powiedziałeś jej, że mogę uszyć suknie dla niej i jej... i dla reszty.
 - Uszyć suknie? - Sam nie wiedział, czy ma się śmiać, czy przeklinać. Ręce mu opadły. - Możesz sobie myśleć o mnie co chcesz, ale głupi to ja nie jestem.
 - Sama już nie wiem, co o tobie myślę - powiedziała bli-ska płaczu.
- To właśnie te łzy, które zalśniły w jej oczach, kazały mu wyjaśnić to, co tak naprawdę wolałby zachować dla siebie.
- Nigdy nie powiedziałem Carlocie, żeby cię zatrudniła. W żadnym celu. I nie byłem z... - urwał i głośno zaklął. Nie zdążył odejść, bo Sarah znów chwyciła go za rękę.
 - Chcesz mi wmówić, że nie byłeś w „Srebrnej Gwieździe”? - zapytała z bijącym sercem.
 - Nie. Tego nie mówię.
 - Rozumiem - roześmiała się gorzko. - Po prostu znalazłeś sobie - i kupiłeś - kolejną kobietę, która ci jesz-cze bardziej odpowiada. Biedna Carlotta. Musiała być za-lamana.
 - Ona się tak łatwo nie załamuje. A poza tym jedyne, co

kupowałem w „Srebrnej Gwieździe”, to whisky, odkąd ty... odkąd wróciłem do miasta.

- Ale dlaczego? - wyszeptala z trudem.
 - To moja sprawa. - Ruszył do drzwi, ale Sarah znowu go zatrzymała.
 - Zadałam ci pytanie.
 - A ja ci odpowiedziałem. - Podniósł z ziemi szal i wcisnął jej w rękę. - Idź do łóżka.
- Odrzuciła szal.
- Nigdzie nie idę i ty też nigdzie nie pójdziesz, póki mi nie powiesz, czemu nie byłeś z Carlotta albo z jakąś inną kobietą.
 - Bo ciągle myślę tylko o tobie. - Wściekły pociągnął ją pod ścianę. Zamierzał ją nastraszyć tak, jak ona jego nastraszyła. - Nie jesteś ze mną bezpieczna, księżniczko. - Wsunął palce w jej włosy. - Zapamiętaj to sobie.
- Przycisnęła spocone dłonie do ściany. Nie czuła strachu. Uczucie, które nią owładnęło, było porażające, ale nie był to strach.
- Nie chcesz mnie.
 - Chcę, chcę, i to mnie spala. - Wolną ręką chwycił ją za szyję. - Wolałbym dostać kulę, niż czuć się tak, jak się teraz przez ciebie czuję.
 - A jak się przeze mnie czujesz? - zapytała szeptem.
 - Jakbym postradał zmysły. - Była to prawda, choć niecała. - To niedobrze dla nas obojga. Bo ja wiem, że w końcu sprawię ci ból. Dlatego uciekaj, póki czas.
 - Nie mam najmniejszego zamiaru uciekać. - Nawet gdyby chciała, byłoby to niemożliwe, bo nogi miała jak z waty i brakowało jej tchu. - To ty ciągle uciekasz. - Rzu-ciła mu wyzywające spojrzenie. - Pogrożki przychodzą ci

bez trudu. Gdyby było tak, jak mówisz, gdybyś mnie rzeczywiście pragnał, wziąłbyś mnie. Tu i teraz.

Oczy mu pociemniały - stały się niemal czarne, a palce boleśnie zacisnęły się na jej włosach. Ale ona nawet nie drgnęła, tylko dumnie patrzyła mu w oczy.

- Niech cię wszyscy diabli! - Usta Jake'a z furją zaatakowały jej wargi. Przycisnął ją do ściany, a jego ręce zaczęły brutalną wędrówkę po jej ciele. Zachowywał się tak, jakby była dziewczyną ze „Srebrnej Gwiazdy”. Chciał doprowadzić ją do łez. Usłyszeć, jak błaga, żeby dał jej spokój.

Może wtedy potrafiłby jeszcze ją zostawić.

Kiedy z jej ust wyrwał się stłumiony okrzyk, zamierzał się wycofać, ale Sarah otoczyła go ramionami i przyciągnęła do siebie.

Oddawała mu pocałunki całkowicie i bez reszty. Czowała, że chce ją zranić, ale wiedziała też, że mu się to nie uda. Postanowiła udowodnić mu, że w jego ramionach nigdy nie stanie się jej krzywda. Tulila go coraz mocniej, jęcząc z rozkoszy, a w końcu, zdumiona własną odwagą, rozpięła mu koszulę. Chciała znów dotknąć jego ciała i poczuć pod palcami jego ciepło.

Zatracał się w niej. Nie, już się zatracił. Jej delikatny zapach przyprawiał go o zawrót głowy. A kiedy wyszeptala jego imię, zabrzmiało to w jej ustach jak modlitwa. I wtedy puściły ostatnie zahamowania.

Pociągnął ją na siano i jednym mchem zdarł jej z ramion suknie.

Strach chwycił ją za gardło, ale nie jego się bała, tylko tego, co się z nią działo.

Jake szarpał cienkie koronki, przeklinając je, a także

siebie. A potem zerwał z grzbietu koszulę i jęknął, kiedy palce Sarah wpiły się w jego ciało.

Zasypał jej twarz pocałunkami, tak że nie mogła złapać tchu. Nawet wtedy, gdy wyłuskał ją z gorsetu. Tarzali się na sianie, uwalniając się od ostatnich części garderoby. Kiedy nakrył rękami jej piersi, wygięła się w łuk. Nagle przestała się wstydzic własnej nagości.

Była smukła jak brzoza, gładka jak jedwab, krucha jak szkło. A jednak miała nad nim przewagę.

Czuł zapach siana, koni, aromat nocy. Blask księżycy sączył się przez szczeliny w ścianach. Widział jej oczy, włosy, skórę. Po raz ostatni spróbował się wycofać. Dla jej dobra. I dla własnego dobra.

Właśnie wtedy Sarah wyciągnęła ręce i przyciągnęła go z powrotem do siebie.

Był szczupły i muskularny, oczy miał przepastne, a jego skóra lśniła w półmroku jak miedź. Gdy jego usta znowu zawładnęły jej ustami, delikatnie obwiodła palcami szramę na jego ramieniu.

Nie było już dla nich odwrotu. Konie nerwowo szarpały się w boksach. Na wzgórzach zawył samotny kojot, ale oni byli głusi na wszystko, prócz własnych imion, wypowiedanych urywanym szeptem.

Siano kłuło i drapało naga skórę Sarah, kiedy Jake nakrył ją swoim ciałem. Westchnęła ulegle, a jego serce wypełniła dzika radość.

Jego pieścizoty budziły w niej nieznane uczucia, których niebyła w stanie pojąć, więc tylko raz po raz powtarzała jego imię.

Piersi Sarah miały smak grzanego miodu, kiedy przywarł

do nich ustami. Wodзил dłonią po jej ciele i czuł, jak drży, a kiedy jego ręka dotarła tam, gdzie nikt jeszcze nie dotarł, z ust Sarah wyrwał się okrzyk.

Objęła go mocno za szyję. A więc to jest ta miłość, która zbliża mężczyznę i kobietę pod osłoną nocy. Nieraz o tym marzyła, ale rzeczywistość przekroczyła jej najśmielsze oczekiwania. Łzy trysnęły jej z oczu, mieszając się z jego perlistym potem.

- Proszę cię - szepnęła mu prosto w usta, choć sama nie wiedziała, o co właściwie prosi. - Proszę.

Była jego, należała do niego, a on nie chciał jej sprawić bólu. Dlatego wziął głęboki oddech, zacisnął powieki i wszedł w nią tak powoli, jak tylko potrafił.

Stubarwne fajerwerki trysnęły jej pod powiekami, żar narastał, pozbawiając tchu. Wbiła mu boleśnie paznokcie w plecy, ale on nawet tego nie poczuł.

Straciła niewinność w spazmie rozkoszy, z okrzykiem, który odbił się echem od ścian.

Jake patrzył, jak światło księżycy wędruje po jej uśpionej twarzy. On także był spragniony snu, ale natłok myśli nie pozwalał mu zasnąć. Sarah wyglądała tak pięknie, że aż nierealnie - skulona na sianie, z rozsypanymi włosami, lśniąca skórą, mając za jedyny strój aksamitkę na szyi.

Już od pierwszej chwili odkrył w niej pokłady stłumionej namiętności. Kto lepiej niż on sam mógł wiedzieć coś na ten temat? Przyszła do niego otwarcie, uczciwie, w całej swojej niewinności. A on pozbawił ją tej niewinności, i był to największy grzech, jaki w życiu popełnił.

Nie powinien tego zrobić, ale nie miał wyboru. Za bardzo

jej pragnął. A to, co się stało, nie zmniejszyło wcale jego pragnienia.

Był w niej zakochany! Omal nie parsknął śmiechem. Nie powinien nawet dopuszczać takich myśli. To może być niebezpieczne. Dla Sarah. Ilekroć pokochał, kończyło się to tragicznie. Powiódł wzrokiem po jej nagim ciele. Suknia, ciśnięta byle jak leżała u jej stóp. Od bladego jedwabiu wyraźnie odcinał się ciemny pas z kaburą.

To chyba jakiś symbol. On i Sarah tak samo do siebie nie pasują jak jej jedwabna suknia i jego colty. Zresztą, on do nikogo nie pasuje.

Już miał wstać, kiedy Sarah poruszyła się i chwyciła go za rękę.

- Jake?

- Tak? - Sposób, w jaki wypowiedziała jego imię, sprawił, że znów obudziło się w nim pożądanie.

Otworzyła z uśmiechem oczy. Więc to nie sen! Jake był tu z nią obok niej. Siano pachniało, a jego oczy lśniły w ciemności. Niestety, był to zimny błysk. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Co się stało?

- Nic się nie stało - burknął, sięgając po spodnie.

- To dlaczego jesteś zły?

- Nie jestem zły. - Wstał i zaczął się ubierać. - Czemu miałbym być zły?

- Nie wiem. - Za wszelką cenę chciała zachować spokój. Nie dopuści do tego, żeby kilka ostrych słów zniszczyło to, co zaszło między nimi. Znalazła halkę i narzuciła ją na

siebie.

- Gdzie się wybierasz?

Sięgnął po pas, bo nie mógł patrzeć, jak leży obok jej rzeczy.

- Nigdzie. Nie pójde przeciwk pieszo do miasta, a Lucius ma mojego konia.

- Czy to jedynty powód, dla którego tu zostajesz?

Odwrocił się, rozgniewany. Stała wyprostowana, włosy złotą falą opadały jej na ramiona. Halka oblepiała jej biodra, a urwane ramiączko odsłaniało białą pierś. Potrząsnął głową, bo nagle zaschło mu w ustach.

Sarah uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

- Zostań ze mną.

Czy miał jakiś wybór? Zamknął w rękę jej drobną dłoń i wolnym krokiem poszli w stronę domu.

Sarah obudziła się, kiedy Lafitte zaczął ją lizać po twarzy.

- Idź sobie! - mruknęła i odwróciła się na drugi bok.

- Przecież prosiłaś, żebym został. - Jake otoczył ją ramieniem. Otworzyła oczy i nagle odmalowało się w nich wspomnienie minionej nocy.

- Mówiłam do psa. - Przysunęła się bliżej. Co może być cudowniejszego, niż obudzić się w ramionach ukochanego mężczyzny? - Nauczył się wchodzić na górę, ale zejść na dół jeszcze nie umie.

Jake pogłaskał Lafitte'a.

- Hopsal - powiedział, a potem pociągnął na siebie Sarah.

- Czy to już rano?

- Nie. - Pocałował ją.

- Ale słońce już wstało... och! - Kiedy jego ręce zaczęły błądzić po jej ciele, pociemniało jej w oczach.

Dzień. Noc. Lato. Zima. Czy czas ma jakiegokolwiek znaczenie? Liczy się tylko to, że Jake jest z nią, że zabierają

do tych wszystkich cudownych miejsc, które jej wcześniej pokazał. Towarzyszyła mu chętnie o świcie, tak jak wcześniej nocą na sianie, a potem jeszcze raz i jeszcze raz, na wąskiej prycy, w środku nocy.

Jake nauczył ją wszystkiego, co kobieta powinna wiedzieć o miłości, o rozbudzonym pragnieniu i o pragnieniu spełnionym. Pokazał jej, że miłość może być jak burza z piorunami, a także jak ciepły wiosenny deszczyk. Nauczył, że pragnienie może być bolesne i palić żywym ogniem - a może też być pełną słodczy radością.

Jednak to ona nauczyła go więcej, choć nie była tego świadoma. Dała mu piękno, otuchę i nadzieję.

Później, kiedy już została sama, obmyła się chłodną wodą. Tak właśnie mogłoby być zawsze. Co rano parzyłaby mu kawę, podczas gdy on karmiłby bydło i przynosił wodę ze strumienia. Gotowałaby mu i dbałaby o dom. Wspólnie zrobiliby coś z tą ziemią i ze swoim życiem. Coś dobrego i pięknego.

Mieliby oczywiście dużą rodzinę. Położyła dłoń na brzuchu i zaczęła się zastanawiać, czy już nie zaczęło się w nim nowe życie. Nigdy by nie przypuszczała, że dzieci poczyzna się w tak cudowny sposób.

Zarumieniła się. Nie powinna nawet o tym myśleć. Przecież nie są małżeństwem. Jake nie poprosił jej jeszcze o rękę. Zresztą, czy w ogóle to zrobi? Sama mówiła, że mężczyźni jego pokroju nie myślą o małżeństwie.

A jednak... czy mógłby kochać się z nią w taki sposób, gdyby nie chciał spędzić z nią reszty życia?

Co takiego powiedziała pani O'Rourke? Ze mądra kobieta potrafi doprowadzić mężczyznę do ołtarza i jeszcze mu

wmówić, że to jego pomysł. Skończyła się ubierać i śmiejąc się, podeszła do pieca.

- Co cię tak śmieszy? Odwróciła się. Jake stał w drzwiach.

- Nic. Jestem po prostu szczęśliwa. Postawił koszyk z jajkami na stole.

- Nie zbierałem jajek, odkąd moja matka... od bardzo dawna.

- Twoja matka hodowała kury? - zapytała, biorąc się za przygotowanie śniadania.

- Tak. Czy kawa jest gorąca?

- Usiądź, to ci naleję.

Najwyraźniej nie chciał mówić o przeszłości, może jeszcze nie przyszedł na to czas. Na razie.

- Pani Cobb dała mi polec boczku - Sarah ukroiła parę plasterków i rzuciła na patelnię. - Myślałam o tym, żeby wziąć

kilka świnek. Lucius będzie zrzędził, kiedy go poproszę, by postawił chlewik, ale później chętnie zje szynkę. Nie przy puszczam, żebyś się znalazł na hodowli świń?

Do czego doszło? Jake, rozsiadł się wygodnie na krześle. Księżniczka z Filadelfii mówi o hodowli świń!

- Zaslugujesz na coś lepszego - usłyszał swój własny głos. Bekon zaczął skwierczeć, kiedy nalewała mu kawę.

- Lepszego niż co?

- Niż to miejsce. Wracaj na Wschód, Sarah, i żyj tak, jak powinnaś.

- Czy tego właśnie chcesz, Jake? - zapytała, podając mu kubek. - Żebym wyjechała?

- To nieważne, czego chcę.

Stała tuż obok, spoglądając na niego z góry.

- Choć raz mi powiedz, czego chcesz.

Ich oczy się spotkały. Miał już dość czasu, żeby sobie to wszystko przemyśleć, kiedy jednak na nią patrzył, mąciło mu się w głowie.

- Kawy - powiedział wreszcie.

- Masz zdumiewająco proste zachcianki. Zdejmij kapelusz, kiedy siedzisz przy stole. - Zdjęła mu z głowy kapelusz i odłożyła na bok.

Jake uśmiechnął się i przecesał palcami włosy.

- Pyszna kawa, księżniczko.

- Cieszę się, że wreszcie zrobiłam coś, co sprawiło ci przyjemność. - Zaprotestowała cicho, kiedy odwrócił ją ku sobie.

- Robisz dużo różnych rzeczy, które sprawiają mi przyjemność. - Pocałował ją zachłannie. - Nawet bardzo dużo.

- Naprawdę? - zapytała obojętnym tonem, ale jej ręce już obejmowały go za szyję. - Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o tobie.

- To chyba jakaś inna kobieta pieściła mnie ostatniej nocy. Poza tym, przyniosłem twoje rzeczy ze stajni. Sukienka raczej nie nadaje się do noszenia. I cztery halki. - Musnął wargami jej ucho. - Mam nadzieję, że na co dzień nie nosisz aż tylu.

- Nie mam ochoty rozmawiać...

- I tego pancerza, w który się sznurujesz. To cud, że jeszcze nie zemdląłeś. Po co go nosisz? Jesteś taka wąska w pasie, że mogę cię objąć dłońmi. Wiem coś o tym. - Ścisnął ją w tali. - Po co się tak męczyć?

- Nie będę rozmawiać z tobą o mojej bieliźnie.

- Skoro mogłem ją z ciebie zdjąć, mogę też chyba o niej porozmawiać.

Sarah splonęła rumieńcem i wysunęła się z jego objęć.

- Bekon się spali.

Jake odwrócił się do stołu i sięgnął po kubek.

- A teraz, ile masz na sobie halek?

Zdjęła patelnię z ognia i rzuciła mu zalotne spojrzenie.

- Będziesz musiał sam sprawdzić.

Jak miał z nią postępować? Śniadanie upojnie pachniało na stole, Sarah siedziała już naprzeciw, a on rozpaczliwie szukał w myślach jakiegoś tematu do rozmowy.

- Widziałem twoje obrazki. Ładne.

- Dziękuję. Zawsze lubiłam rysować. Gdybym wiedziała, jak mieszka mój ojciec, wysłałabym mu kilka szkiców, żeby choć trochę przyozdobić ten dom. Kiedyś wysłałam mu akwarelkę. - Zmarszczyła brwi. - To był mój autoportret, namalowany podczas ostatnich świąt. Pomyślałam sobie, że może chciałby wiedzieć, jak teraz wyglądam. To dziwne. Wszystkie moje listy trzymał w blaszanym pudełku na stryżku, ale akwarelki tam nie znalazłam. Chciałam nawet zapytać szeryfa, czy nie ma jej u siebie. Może zapomniał mi oddać?

- Gdyby Barker ją miał, na pewno by ci oddał. Jesteś pewna, że ojciec ją dostał? Poczta nie zawsze tu dochodzi.

- Wiem, że doszła, bo mi później dziękował. Słyszałam też od Lizy, że portrecik mu się podobał i że pokazywał go w sklepie.

- Może się znajdzie.

- Mam nadzieję. - Wzruszyła ramionami. - Przeszukałam cały dom, ale zrobię to jeszcze raz, kiedy Lucius położy podłogę.

- Jaka podłogę?

- Drewnianą. Zamówiłam już deski. - Sarah sięgnęła po biszkopta. - Nawet więcej niż potrzeba na samą podłogę, bo wymarzyłam sobie prawdziwą sypialnię. Z oknami na zachód. Pieniądze, jakie dostałam za szycie, bardzo mi się przydały.

- Podobno Carlotta chciała, żebyś dla niej szyla. I podobno miał to być mój pomysł. - Zobaczył, że Sarah się zachnęła. - Kiedy z nią rozmawiałas?

- Nie rozmawiałam. Nie zamierzam w ogóle rozmawiać i tą osobą.

- To skąd ta wiadomość?

- Od Alice Johnson. Ona tam... pracuje. Carlotta wysłała ją do mnie w tej sprawie.

- Alice? - Jake skupił się i spróbował skojarzyć twarze z imionami. - To ta mała - ciemne włosy, czarne oczy?

- Właśnie ta - burknęła Sarah. - Widzę, że dobrze znasz personel ze „Srebrnej Gwiazdy”.

- Nie wiem, czy nazwałbym je personelem, ale potrafię je odróżnić.

Sarah poderwała się i sprzątnęła mu sprzed nosa pusty talerz.

- One pewnie też cię dobrze znają. - Chętnie starłaby mu z twarzy ten ironiczny uśmieszek. - Byłabym ci wdzięczna, gdybyś przestał szczerzyć zęby.

- Tak jest, szanowna pani. Jesteś taka śliczna, kiedy się złościś - ciągnął niezrażony.

- Jeżeli to miał być komplement, to na próżno się wysilasz.

- Nie umiem prawić komplementów. Jesteś śliczna. Jesteś najładniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Zwłaszcza kiedy się wściekasz.

- To dlatego ciągle działasz mi na nerwy?

- Chyba tak. Chodź tu.
- Nie.
- Jesteś okropnie uparta. - Jake podniósł się powoli. - Nie wiem, czemu mnie to tak bierze. - Przyciągnął ją do siebie. Udawała, że protestuje, ale po chwili oparła mu ze śmiechem głowę na piersi.
- Muszę zapamiętać, że mam być uparta i zła.
Jake nic na to nie odpowiedział. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, żeby pozbawić go tchu. Przytulił ją tylko jeszcze mocniej, a ona otoczyła dłońmi jego twarz i musnęła wargami usta.
- Co ty ze mną wyprawiasz? - mruknął. - Przestań!
- Ani mi się śni.
Jake cofnął się, a potem chwycił ją za rękę.
- W którą cię całował?
- Nie wiem, o co ci chodzi.
- O Carlsona. - Ścisnął boleśnie jej dłonie. - W którą rękę cię całował?
- W obie - odparła, patrząc mu w oczy.
Zimny błysk trwał może ułamek sekundy, potem skrył się gdzieś pod powiekami, ale nie zniknął. Czuli to.
- Jake...
- Nie życzę sobie, żebyś mu na to pozwalała."
- Dobrze.
Ta odpowiedź zamiast go uspokoić, jeszcze bardziej go zdenerwowała.
- Tak po prostu?
- Tak po prostu.
Odwrócił się i zaczął chodzić po kuchni. Sarah uniosła brwi. Nigdy dotąd nie widziała, żeby wykonał choć jeden

zbędny ruch. Jeżeli robił krok, to żeby odejść albo podejść, ale nie bez celu.

- Nie mam prawa tego żądać - odezwał się po chwili.
- Masz prawo - odparła ze spokojem. - Tylko ty masz prawo, bo ciebie kocham.

Teraz zastygł bez ruchu. Jakby ktoś przyłożył mu lufę z tyłu głowy. Sarah czekała ze skrzyżowanymi rękami i pogodną twarzą.

- Sama nie wiesz, co mówisz - wykrztusił w końcu.
- Wiem. I ty też wiesz. - Podeszła do niego, patrząc mu w oczy. - Myślisz, że mogłabym być z tobą tak blisko jak zeszłej nocy, gdybym cię nie kochała?

Cofnął się, zanim zdążyła go dotknąć. Już tak dawno nikogo nie kochał, że niemal zapomniał, jak to jest. Teraz to zapomniane uczucie wróciło i porwało go jak wartki nurt.

- Co ja ci mogę dać, Sarah? Nic.
- Siebie. - Dotknęła jego policzka. - A zresztą, czy ja o coś proszę?

- To, co zaszło między nami tej nocy, myli ci się...
- Z czym? - przerwała mu. - Myślisz, że skoro nie znalazłam przed tobą innych mężczyzn, nie potrafię odróżnić miłości od... żądzy? Czy możesz z ręką na sercu powiedzieć, że z każdą kobietą było ci tak samo jak ze mną?

Nie mógł. Nie mógł jej też powiedzieć, że już z żadną tak nie będzie.

- Lucius wróci lada chwila - powiedział, żeby zmienić temat. - Przyniosę ci jeszcze wody.

I to wszystko? Niech go piekło pochłonie za to, że znów pokazuje jej plecy. Widocznie jej nie uwierzył. Pewnie wziął ją za sentymentalną głuptaskę, Choć nie, to nieprawda.

Nagle z porażającą jasnością zdała sobie sprawę, że Jake jej uwierzył i właśnie dlatego się od niej odwrócił. Jej miłość przeraziła go i zaskoczyła w ten sam sposób, jak ją na początku ta jałowa ziemia. Uczucie, jakim go obdarzyła, było mu obce, niepojęte i trudne do przyjęcia.

Ale ona potrafi to zmienić. Tak jak odmieniła siebie. Zdażyła już pokochać ten kraj i zaczęła nazywać go swoim własnym. Jake musi ją kiedyś zrozumieć i pokochać.

Wzięła głęboki oddech i podeszła do sterty brudnych naczyń. Kiedy skrzypnęły drzwi, odwróciła się z uśmiechem.

- Jake...

To nie Jake stanął w progu, tylko Burt Donley.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Gdzie Redman?

Panika wyrzała z jej szeroko otwartych oczu. Nadal trzymała patelnię i w pierwszym odruchu chciała walnąć go w głowę, ale jego palec spoczywał na cynglu, a w oczach dostrzegła coś, czego nigdy dotąd nie widziała, nawet u Jake^ czy u tych Apaczów, którzy ją porwali - żądę mordy.

Wszedł do środka. Gęsta broda nie zdołała zakryć drażniącego uśmiechu.

- Spytałem cię, gdzie Redman?

- Nie ma go tu. - To niebywale, że udało jej się zachować tak spokojny ton, chociaż serce tłukło się jak oszalale. Chodzi przecież o ukochanego mężczyznę, którego musi chronić.

- Nie przypominam sobie, żebym pana zapraszała do domu.

Intruz uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że Jake przywiózł tu wczoraj taką ślicznotkę, a potem zostawił ją samą?

Co robić? Była przerażona. Bała się, że Jake wróci. Bała się też, że nie wróci. W tej sytuacji nie miała wyboru.

- Nic panu nie powiem. Zresztą, widzi pan przecież, że jestem sama.

- Tak, widzę, widzę. To dziwne, że jego koń jest w mieście, a jego tam nie ma. - Brudnymi paluchami sięgnął

po biskopka, przyjrzał mu się, a potem wbił w niego zęby. - Mówi się, że tu bywa.

- Pan Redman przyjeżdża tu od czasu do czasu. Powtórzę mu, że pan o niego pytał, kiedy - i o ile - jeszcze go zobaczę.

- Zrób to. Dobrze ci radzę - powiedział, żując ciastko i nie spuszczać z niej wzroku.

- Wobec tego, żegnam pana.

Donley nie wyszedł, tylko podszedł jeszcze bliżej.

- Jesteś ładniejsza, niż mi się wydawało. Oblizwała drżące wargi.

- Chyba się nie znamy.

- Nie, ale cię widziałem. - Żachnęła się, kiedy dotknął jej włosów. - Tatusina córeczka.

- Pan wybaczy. - Chciała się odsunąć, ale on zastąpił jej drogę.

- Był z ciebie taki dumny. Teraz rozumiem dlaczego. - Wepchnął sobie do ust garść biskoptów, a potem dotknął paluchami kołnierzyka jej bluzki. - Szkoda, że dał się zabić w tej kopalni, a ty zostałeś sierotą. Bystry facet umiałby zachować życie. Wiedziałby, o co chodzi.

Znów chciała odejść, ale i tym razem jej się to nie udało.

- Ten wypadek, to nie była jego wina.

- Później o tym pogadamy. - Jej strach go podniecił. Pociągnął za wstążkę. - Wyglądasz na mądrzejszą od tatusia.

Lafitte rzucił się na niego, warcząc i ujadając. Donley zacisnął dłoń na kolbie, Sarah chwyciła go za rękę.

- Proszę, nie! To tylko szczeniak. - Porwała psa na ręce. - Niech mu pan nie robi krzywdy. Przecież to bezbronne stworzenie.

- Donley lubi mordować bezbronne stworzenia - rozległ

się głos Jake'a od drzwi. Mężczyźni stali o kilka kroków od siebie: Jake tyłem do słońca, Donley w cieniu. - Był taki chłopak w Laramie, prawie dziecko. Daniel Mały Jeleń był nieszkodliwy, prawda, Donley?

- To był mieszaniec. - W gąszczu brody błysnęły białe zęby. - Zabić mieszaniec to jak zabić chorego konia.

- Tym łatwiej, kiedy strzela się w plecy.

- Nie strzelę ci w plecy, Redman.

- Odsuń się, Sarah!

- Jake, proszę...

- Odsuń się! - Zdołał już zapanować nad obłądnym strachem, jaki dopadł go, gdy zobaczył konia Donleya przed domem. Teraz czuł już tylko zimny gniew.

Donley rozstawił szeroko nogi.

- Długo na to czekałem, Redman.

- Niektórzy mają to szczęście - mruknął Jake. Pas z coltami miał nisko na biodrach, ręce w pogotowiu. - I długo czekają na śmierć.

- Kiedy cię zabiję, będę miał i tę kobietę, i złoto. - Ręka Donleya już trzymała broń, wycelowaną w serce. Był szybki.

Odgłos wystrzału rozdarł ciszę poranka. Donley zachwiał się, zatoczył, a potem runął, z czerwoną plamą na piersi.

Jake stał w drzwiach, z twarzą bez wyrazu, spokojny i opanowany. Zabijanie nigdy go nie podniecało. Nie było dla niego oznaką siły ani przekleństwem. Było jedynie sposobem na przeżycie.

- O mój Boże! - Sarah przywarła plecami do ściany i szeroko otwartymi oczami patrzyła na leżące ciało. Lafitte zeskoczył na ziemię i warcząc, zaczął obwąchiwać Donleya.

Nagle pociemniało jej w oczach. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy Jake chwycił ją za rękę.

- Zrobił ci coś?
- Nie ja...
- Wyjdź stąd!

Histeria ścisnęła ją za gardło. W jej domu leży trup, a jej ukochany zachowuje się jak ktoś zupełnie obcy.

- Jake...
- Wyjdź na dwór! - powtórzył, próbując zasłonić sobą zwłoki Donleya. - Idź do stajni albo nad strumień - powiedział, a widząc, że nie rusza się z miejsca, wypchnął ją po prostu za drzwi. - Rób, co ci mówię.

- Co... co chcesz zrobić?
- Zabiorę go do miasta.

Oślabła, oparła się o ścianę i zaczęła łykać gorące, zakurzone powietrze, jakby to była woda.

- Co oni z tobą robią? Przecież go zabiłeś.
- Barker uwierzy mi na słowo albo mnie powiesi.
- Ale przecież... - zaczęła, walcząc z mdłościami - przecież to on chciał cię zabić. Przyjechał tu za tobą. Szukał cię.

- To prawda. - Jake chwycił Sarah za rękę, bo chciał, żeby popatrzyła mu w oczy. - Jutro, za tydzień, za miesiąc, ktoś inny będzie mnie szukał. Jestem szybki, Sarah, ale zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał udowodnić światu, że jest szybszy. I któregoś dnia komuś się to uda.

- Możesz się przecież zmienić. To też się może zmienić. Musi! - Wyswobodziła rękę tylko po to, żeby mu je zarzucić na szyję. - Nie możesz wiecznie tak żyć. Nie wierzę, że tego chcesz.

- To, czego chcę, a to, co dostaję, to dwie różne rzeczy. - Odsunął ją. - Zależy mi na tobie. - Wyznanie to, choć szczere, nie przyszło mu łatwo. - Właśnie dlatego mówię ci, żebyś odeszła.

Dopiero co na jej oczach zabił człowieka, i to z zimną krwią. Widziała to, mimo przerażenia. Teraz z jego oczu wyzierały przygnębienie i gorycz. Potrzebował kogoś, kto pomoże mu wydostać się z pułapki, albo da mu przynajmniej nadzieję. A tę mogła mu dać, nawet jeśli nie była w stanie pomóc mu w inny sposób.

- Nie! - Otoczyła dłońmi jego twarz. - Nie odejdę. Nie chcę. Nie mogę.

Ręce jej drżały. I były takie zimne, kiedy je ujął.

- Jesteś niemądra.

- Tak. Na pewno masz rację, ale cię kocham.

Nawet nie próbował jej powiedzieć, co poczuł, kiedy usłyszał te słowa. Gdy spojrzał w jej oczy, zrozumiał, że mówiła prawdę. Przyciągnął ją do siebie i zaborczym pocałunkiem zamknął jej usta.

- Odejdź gdzieś dalej. Nie chcę cię tu widzieć, kiedy będę wynosił zwłoki.

Skinęła głową i odsunęła się. Słabość minęła. Jednak żołądek nadal miała boleśnie ściśnięty.

- Dawniej myślałam, że istnieje tylko dobro albo zło i że największym złem jest zabić człowieka. Ale teraz zrozumiałam, że jest inaczej. Musiałeś zrobić to, co zrobiłeś, by ocalić życie. A dla mnie liczy się tylko twoje życie. - Wzięła go za rękę. - Zrób, co uważasz za słuszne, a potem wracaj do mnie, Jake.

Jak kiedyś, patrzył w ślad za nią, gdy wspinała się ku mo-

gile ojca. Gdy zniknęła mu z oczu, wszedł z powrotem do domu.

Minęły dwa dni, podczas których Sarah próbowała robić to co zawsze i nie zastanawiać się, czemu Jake się u niej nie pokazał. Wszyscy znajomi złożyli jej już wizytę, tylko nie on. Zjawił się też Barker, żeby wypytać ją o Burta Donleya. Była to zresztą czysta formalność, gdyż szeryf znał się na ludziach i uwierzył Jake'owi na słowo.

Wieść o tym, co się wydarzyło, szybko rozeszła się po okolicy. Zaraz po Barkerze wpadła Liza z Johnnym, na plotki i ciasteczka. Po herbacie Lizie udało się pozbyć braciszka na pół godziny. Chciała w spokoju opowiedzieć Sarah o Willu i zbliżającym się ślubie. Wymarzyła sobie różową suknię i nawet zamówiła już w Santa Fe jedwab i wykrój.

Następnego ranka tętent kopyt oderwał Sarah od karmienia kur. Wybiegła z koszykiem pełnym jajek i z trudem ukryła uczucie zawodu na widok Samuela Carlsona.

- Sarah! - Carlson zeskoczył z konia i byłby ją chwycił za ręce, gdyby nie trzymała w nich koszyka. - Tak się o ciebie martwiłem.

- Niepotrzebnie. - Uśmiechnęła się, gdy wiązał konia u płotu.

- Przeżyłem wstrząs na wieść o tym, że Redman i Donley sięgnęli po broń tutaj, w twoim domu! To cud, że nic ci się nie stało.

- Na pewno byłoby inaczej, gdyby Jake nie zjawił się w porę. Donley... Donley mi groził.

- Wybacz. Czuję się za to odpowiedzialny.

- Ty? - Zatrzymała się w pół kroku. - Dlaczego?

- Pracował u mnie. Wiedziałem, co z niego za człowiek.

- Wokół oczu i ust Carlsona zarysowały się surowe zmarszczki. - Nie miałem z nim kłopotów, póki Redman nie wrócił do miasta.

- To Donley szukał Jake'a - odezwała się może zbyt ostrym tonem. - To on sprowokował strzelaninę. Byłam przy tym. Widziałam.

- Oczywiście. - Carlson położył jej dłoń na ramieniu. Dobre wychowanie powstrzymywało go przed wejściem do środka bez zaproszenia. Był też na tyle bystry, by się zorientować, że coś się zmieniło i nie zostanie zaproszony. - To ohydne, że musiałaś być świadkiem morderstwa, i to we własnym domu. Przebywanie w nim musi być teraz dla ciebie okropne.

- Wcale nie. - Zerknęła przez ramię. Oczywiście ciężko jej było wejść do środka tuż po tym, co się stało. Na ziemi wciąż widniały ślady krwi - wywarło to wielkie wrażenie na małym Johnnym - ale był to jej dom. - Nie jestem aż taka wrażliwa, jak myślisz.

- Jesteś silną kobietą, Sarah, ale i delikatną. Martwię się o ciebie.

- To miło z twojej strony. Twoja przyjaźń daje mi komfort psychiczny.

- Sarah. - Samuel dotknął jej policzka. - Chyba wiesz, że bardzo chcę być czymś więcej niż tylko przyjacielem.

- Wiem - powiedziała z żalem. - Przykro mi, ale to niemożliwe, Samuelu.

Nim zdołał nad sobą zapanować, dostrzegła błysk gniewu w jego oczach.

- To Redman, prawda? - zapytał, już spokojny.
Nie chciała go okłamywać. Byłoby to niehonorowe i uwłaczające jego godności.

- Tak.

- Sądziłem, że masz więcej rozumu, Sarah. Jesteś przecież inteligentną panną z dobrego domu. Chyba sama widzisz, że Redman to człowiek niebezpieczny i bez skrupułów. I poza wszystkim, nieokrzesany. Uznaje tylko przemoc. Taką już ma naturę.

- To dziwne, bo on mówi o sobie w ten sam sposób - odparła z uśmiechem. - Moim zdaniem obaj się mylicie.

- Zobaczysz, że on cię skrzywdzi.

- Może, ale nie mam wpływu na moje uczucia. Zresztą, nie chcę ich zmieniać. - Z żalem dotknęła jego ręki. - Przykro mi, Samuelu.

- Wierzę, że z czasem uda ci się przewyciężyć to fatalne zauroczenie. Potrafię czekać, jestem cierpliwy.

- Samuelu, ja nie...

- Spokojnie, nie trapij się tym. - Poklepał ją po ręce. - Prócz cierpliwości żywię też głębokie przekonanie, że jesteś mi przeznaczona.

Odwiązał konia. Z trudem pohamował furję, która go ogarnęła. Pragnął tej kobiety wraz z tym, co do niej należało, i zamierzał to zdobyć, w ten czy inny sposób.

Kiedy odwrócił się do Sarah, na jego twarzy malowała się już tylko życzliwa troska.

- Wszystko to nie zmienia faktu, że twój samotny pobyt w tym domu napawa mnie niepokojem.

- Nie jestem sama. Jest ze mną Lucius.

Carlson wymownym wzrokiem omiótł podwórze.

- Nie ma go tu. Jest w kopalni - wyjaśniła Sarah. - Gdyby coś się działo, zdażyłby wrócić.

- Kopalnia - westchnął Carlson i spojrzał na zbocze góry. - Przyrzeknij mi choć jedno: że nie będziesz tam wchodzić. To bardzo niebezpieczne miejsce.

- Złoto mnie nie pociąga. - Uśmiechnęła się. To dobrze, że mimo wszystko pozostali przyjaciółmi.

Carlson wsiadł na konia. W siodle prezentował się jak uosobienie gracji.

- Złoto wszystkich pociąga.

Patrzyła za nim, gdy odjeżdżał. Może i miał rację. Złoto miało w sobie jakąś hipnotyczną moc. Nawet ona jej doświadczała. Choć w głębi duszy nie wierzyła, że kopalnia kiedykolwiek przyniesie zysk, na myśl o tym, że jest to możliwe, odczuwała podniecenie. Ta sama moc kazała Luciusowi godzinami kopać w ciemnościach. I to ona przywiodła jej ojca do śmierci.

Nawet Jake nie był na nią uodporniony. To on poprosił Luciusa, żeby kontynuował kopanie tam, gdzie przerwał jej ojciec. Któregoś dnia spróbuje się dowiedzieć dlaczego. A jeśli już mowa o śmierci, ostatnie słowa Donleya brzmiały: „Będę miał i tę kobietę, i złoto”.

Nagle w jej duszy zrodziło się podejrzenie.

Dlaczego człowiek taki jak Donley mówił o złocie, zanim sięgnął po broń? Czemu w tak dramatycznej chwili myślał o tej bezwartościowej kopalni? Chyba że nie była zupełnie pozbawiona wartości...?

Zapominając o danej Carlsonowi obietnicy, ruszyła w stronę kopalni.

Nagle jakiś ruch przykuł jej uwagę. Odwróciła się i spoj-

rzała na drodze. Ktoś zbliżał się, i to pieszo. W pewnej chwili samotna postać zachwiała się, potknęła i upadła. Zanim zdążyła się podnieść, Sarah już pędziła w jej stronę, przytrzymując suknie.

- Alice! - Dopadła do niej i podtrzymała ją. Dopiero z bliska zobaczyła, że Alice ma całą twarz we krwi.

- Jezus Maria! - Objęła szlochającą dziewczynę i powoli poprowadziła w stronę domu. - Co ci się stało? Kto ci to zrobił?

- Panno Conway... - wyszeptała Alice przez opuchnięte wargi. Lewe oko miała podbite, policzki podrapane do krwi. Przy każdym oddechu syczała z bólu.

- Już dobrze, nic nie mów, tylko się o mnie oprzyj. Jesteśmy już prawie w domu.

- Nie miałam dokąd pójść - wyszeptała Alice. - Nie powinnam tu przychodzić.

- Nic nie mów. Wejdz do środka. Och, Lucius, całe szczęście. - Sarah z ulgą spojrzała na zbiegającą z góry postać. - Pomóż mi położyć ją do łóżka. Jest ranna.

- Rany boskie! - Lucius chwycił Alice na rękę. - Panienska wie, kto to jest?

- Wiem. Zanieś ją na górę, do łóżka. A ja tymczasem przyniosę wody.

Kiedy Lucius wnosił Alice na górę, dziewczyna głucho jęknęła.

- Zemdlała, panienko Sarah.

- To i lepiej dla niej. - Sarah nalala wody do miski i wyjęła czyste ręczniki. - Musi mieć straszne bóle. To cud, że dotarła tu pieszo w takim upale.

- Ktoś ją niezłe pobił.

Sarah wspięła się na stryszek, usiadła na brzegu łóżka i za-

częła delikatnie obmywać twarz Alice. Kiedy rozluźniła jej stanik, Lucius chrząknął i odwrócił wzrok.

- O mój Boże! - Drżącymi rękami Sarah szybko rozpięła pozostałe guziki. Cienki materiał przywarł do otwartych ran. - Pomóż mi zdjąć z niej tę suknię! Wygląda na to, że ktoś ją wychłostał.

Na widok sinych pręg na plecach i ramionach dziewczyny nawet Lucius doznał wstrząsu.

- Tak, ktoś ją wychłostał. I to gorzej niż psa. Chciałbym dostać tego drania w swoje ręce.

Sarah zacisnęła pięści z gniewu.

- Na półce nad piecem jest płyn do przemywania ran. Przynieś mi go. - Obmyła Alice tak delikatnie, jak potrafiła. Kiedy dziewczyna z jękiem otworzyła oczy, odezwała się cichym, kojącym tonem: - Staraj się nie ruszać. Zajmiemy się tobą. Jesteś już bezpieczna. Możesz mi wierzyć.

- Boli...

- Wiem, wiem. - W oczach Sarah ukazały się łzy, gdy zaczęła przemywać opuchnięte rany.

Był to długi i bolesny proces. Choć palce miała delikatne, przy każdym dotknięciu Alice cicho jęczała. Jej plecy, aż do pasa, były pocięte czerwonymi pręgami. Niektóre z nich krwawiły. Sarah przemywała i opatrywała rany, choć pot spływał jej po twarzy, a serce ścisnęło się z bólu.

- Napijesz się jeszcze?

- Tak, proszę. - Alice, podtrzymywana przez Sarah, wypila kilka łyków wody. - Przepraszam, panno Conway. - Opadła na posłanie. - Wiem, że nie powinnam tu przychodzić, ale nie myślałam trzeźwo.

- Dobrze zrobiłaś.

- Pani była wtedy dla mnie taka miła. Bałam się, że jak nie odejdę, to...

- Nie martw się o nic. - Sarah zrobiła jej okład na opuchnięte oko. - Za kilka dni poczujesz się lepiej. Wtedy postanowimy się, co dalej. Na razie zostaniesz u mnie.

- Nie mogę...

- Możesz i zostaniesz. - Sarah wzięła ją za rękę. - Czy masz na tyle sił, żeby nam powiedzieć, co się stało? Kto ci to zrobił? Któryś z twoich klientów?

- Nie, panno Conway. - Alice oblizwała spuchnięte wargi.

- To Carlotta.

- Carlotta? - Oczy Sarah zwięzły się w szparki. - Chcesz powiedzieć, że Carlotta tak cię pobiła?

- W życiu nie widziałam, żeby tak się wściekła. To prawda, że czasami była zła, kiedy ktoś jej wszedł w paradę albo gdy za dużo wypijała. Ale zawsze kończyło się na kilku kuksańcach. Tym razem chyba zabiłaby mnie, gdyby dziewczęta nie przybiegły na pomoc.

- Ale dlaczego to zrobiła?

- Tak naprawdę nie wiem. Musiałam zrobić coś nie tak.

- Głos jej zadrżał, opadły powieki. - Najpierw pokłóciła się z Jakiem. Nancy podsłuchiwała pod drzwiami. Jake musiał jej coś powiedzieć, bo strasznie krzyczała. Mówiła też różne rzeczy o pani, panno Conway. A po wyjściu Jake'a dostała szału i zaczęła tłuc szkło. Poszłam na górę, do mojego pokoju, a ona przyleciała za mną i pobiła mnie gorzej niż ojciec.

Nie wiem, co by ze mną było, gdyby mnie Eli stamtąd nie zabrał.

- Eli to ten wielki Murzyn, który pracuje u Carlotty - wyjaśnił Lucius.

- Wywiózł mnie za miasto. Jak Carlotta się dowie, będzie miał za swoje - wymruczała sennie Alice. - Biła mnie pasem i krzyczała, że to przeze mnie Jake przestał do niej przychodzić.

- Podła dziwka! - rzucił z gniewem Lucius, a potem szybko dodał: - Za przeproszeniem, panienko Sarah.

- Nie przepraszaj. Zgadzam się z tobą. - Patrząc na śpiącą Alice, Sarah z trudem zapanowała nad gniewem i przysięgła sobie, że zapamięta każdą opatrzoną ranę. - Zaprzęgaj konie, Lucius.

- Już się robi, panienko. Gdzie mam jechać?

- Nigdzie. Masz zostać z Alice. Ja pojedę.

- Już zaprzęgam, panienko Sarah, ale nie warto jechać do szeryfa. To nic nie da. Alice nie będzie z ^nim rozmawiać tak szczerze jak z panienką. Będzie się bała.

- Nie jadę do szeryfa, Lucius. Zaprzęgaj konie.

W drodze do miasta poganiała konie jak nigdy. Wściekłość nie opuszczała jej ani na chwilę. Odkąd osiedliła się na Zachodzie, nauczyła się akceptować wiele rzeczy - ból, przemoc i znojny trud. Choć kraj ten nadal nie rządził się prawem, nawet tutaj istniała jakaś sprawiedliwość.

Kiedy przemknęła obok sklepu, Johnny wybiegł na ulicę, a potem wrócił, by poskarżyć się siostrze, że Sarah mu nie pomachała. A ona nawet go nie zauważyła. Przed oczyma miała tylko jedną twarz. Przejechała przez miasto i zatrzymała się przed „Srebrną Gwiazdą”.

W przestronnym wnętrzu, które można by nazwać salo-
nem, trzy dziewczyny drzemały, utrudzone południowym
żarem. Miały na sobie tylko halki i boa z piór. Było
duszno,

panował półmrok. Szkarłatne kotary zasłaniały okna. Na ścianach wisiały lustra w grubych złożonych ramach.

Na widok Sarah rudowłosa kobieta o ciężkim spojrzeniu uniosła się leniwie, a potem znów opadła na sofę.

- No, no, patrzcie, dziewczęta - zawołała ze śmiechem - mamy gościa. Niech no któraś przyniesie filiżanki!

Jej koleżanki spojrzały w stronę drzwi. Jedna z nich szczerze otuliła się boa. W progu stała Sarah, z rękami skrzyżowanymi na piersi, i szeroko otwartymi oczami lustrowała wnętrze.

Szczerze mówiąc, nie dostrzegła tu nic w najmniejszym stopniu podniecającego. Przybytek grzesznych rozkoszy wyglądał raczej jak mieszczański salon, zakurzony i niegustownie umeblowany. Ciężki zapach tanich perfum mieszał się z... co tu mówić... odorem potu.

Sarah powoli zdjęła rękawiczki.

- Chciałabym porozmawiać z Carlottą. Proszę jej powiedzieć, że tu jestem.

Żadna z dziewczyn nie ruszyła się z miejsca. Wymieniły tylko znaczące spojrzenia. Rudowłosa z uwagą oglądała swoje paznokcie. W tej sytuacji Sarah spróbowała innej taktyki.

- Przyjechałam, żeby z nią porozmawiać o Alice. - Tym razem udało jej się zainteresować dziewczyny, które obrzuciły ją bacznyymi spojrzeniami. - Zostanie u mnie, póki nie wyzdrowieje.

Rudowłosa podniosła się z sofy. Kwiecista narzutka zsunęła jej się z ramion.

- To pani wzięła do siebie Alice?

- Tak. Ona potrzebuje opieki, panno...

- Mam na imię Nancy. - Dziewczyna zerknęła za siebie.

- Jak to możliwe, że ktoś taki jak pani zajął się Alice?

- Ona potrzebuje pomocy. Byłabym wdzięczna, gdyby któraś z was powiedziała Carlotcie, że tu jestem.

- Ja to zrobię. - Nancy poprawiła narzutkę. - Proszę powiedzieć Alice, że o nią pytałam.

- Z przyjemnością jej powtórzę.

Nancy zniknęła na górze, a Sarah wciąż czekała, udając, że nie czuje na sobie badawczych spojrzeń. Włożyła jedną ze swoich najlepszych sukni - z gołąbkowego jedwabiu z czarną lamówką - a także szykowny kapelusz, wedle najświeższej paryskiej mody. Wyglądała wyjątkowo elegancko i dystyngowanie, a jednak widok schodzącej po schodach Carloty uświadomił jej, że nie była to stosowna kreacja do burdelu.

Właścicielka „Srebrnej Gwiazdy” ubrana była jak zwykle, w swoją ulubioną czerwień. Krój sukni uwypuklał jej ponętne kształty, a kolor podkreślał śnieżną biel cery i złoty odcień włosów. W rękę trzymała wachlarz. Kiedy go rozpostarła, wokół rozszedł się aromat róż.

Patrząc na nią, Sarah, wbrew sobie, musiała przyznać, że Carlottą jest olśniewająca. W innym miejscu i czasie mogłaby być królową.

- Co za zaszczyt, panno Conway - odezwała się Carlottą, a jej oddech świadczył o tym, że piła.

- To nie jest towarzyska wizyta - powiedziała zimno Sarah.

- Co za zawód. - Karminowe wargi wygięły się w luk. - Przydałaby mi się nowa pracownica. Prawda... moje panie?

Dziewczyny poruszyły się niepewnie, zachowały jednak dyplomatyczne milczenie.

- Myślałam, że szukasz pracy. - Carlottą obeszała wkoło Sarah - Za chuda, ale niektórzy to lubią. Można by ją

odrobinę podszykować, prawda, dziewczyny? Przydałoby się tu dodać. - Poklepała policzek Sarah. - A tu ująć. - Dotknęła jej skromnie wyciętego dekoltu. - Myślę, że udałoby ci się zarobić parę groszy.

- Nie sędzę, żebym miała ochotę pracować dla ciebie, Carlotta.

- Tak? - Carlotta zmierzyła ją lodowatym spojrzeniem. - Za wielka pani, żeby chciała robić to za pieniądze, ale nie aż tak wielka, by potrafiła całkiem obyć się bez pieniędzy.

Sarah zacisnęła pięści, ale zaraz się opamiętała.

- Nigdy bym się nie podjęła pracy u osoby, która bije swoje pracownice. Alice jest teraz u mnie i zostanie u mnie. A jeżeli jeszcze raz ośmielisz się ją tknąć, postaram się, żebyś wylądowała w więzieniu.

- Ach tak? - Czerwone z gniewu policzki Carlotty stały się purpurowe. - Zrobię, co zechcę. - Dźgnęła Sarah wachlarzem w pierś. - Żadna wypindrzona dziwka ze Wschodu nie będzie mi dyktowała, jak mam postępować.

Sarah jednym ruchem wyrwała jej wachlarz i złamała go na pół.

- Już ci powiedziałam. - Ledwo skończyła mówić, silny cios odrzucił ją do tyłu. Żeby utrzymać równowagę, złapała za brzeg stołu, strącając przy tym porcelanową figurkę.

- Brzydzę się takimi jak ty. - Głos Carlotty stał się piskliwy. Whisky i gniew zmieniły jej piękną twarz w wykrzywioną maskę. - Panna niedotykańska! Ale nogi rozkładasz chętnie jak każda inna. Myślisz, że jesteś lepsza, bo chodziłaś do szkoły i mieszkałaś w eleganckim domu? Tutaj jesteś nikim. Nikim! - Chwyciła gipsowego cherubinka i cisnęła nim o ścianę.

- Dzieli nas nie tylko to, że chodziłam do szkoły i miałam piękny dom. - Sarah, w przeciwieństwie do Carlotty, mówiła ze spokojem. - Nie wzbudzasz we mnie wstrętu, Carlotta, żal mi ciebie.

- Nie potrzebuję twojej litości. To mój lokal. Sama go zdobyłam. Nikt mi go nie dał. Nikt mi nigdy nie dawał pieniędzy na piękne suknie i kapelusze. Musiałam je zarobić. - Podeszła bliżej. Piersi jej falowały. - Jeżeli myślisz, że Jake będzie tańczył, jak mu zagrasz, to się grubo mylisz. Szybko się tobą znudzi i znowu tu przyjdzie. I będzie robił ze mną to, co teraz robi z tobą.

- Nie. - Głos Sarah wciąż brzmiał spokojnie. - Nawet jeżeli tu wróci i będzie ci płacił, nigdy nie da ci tego, co dał mnie. Dobrze o tym wiesz. Za to mnie tak nienawidzisz. - Nie spuszczać wzroku z Carlotty, zaczęła naciągać rękawiczki. Bała się, że zaczną jej drżeć ręce, i chciała jak najprędzej wyjść. - Problemem jest nie Jake, tylko Alice. Ona już u ciebie nie pracuje.

- Sama to powiem tej brudnej dziwce, kiedy tu przyjdzie.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że kiedy Sarah się opamiętała, było już za późno. Udało jej się zachować spokój podczas obelżywej tyrady przeciwko niej samej. Ale nie mogła znieść, by obrażano biedną, skatowaną dziewczynę. Jej pięść z impetem wylądowała na twarzy Carlotty.

Trzy dziewczyny w salonie i czwarta, którą zwabiły hałasy na dole, wydały okrzyk zdumienia. Carlotta złapała Sarah za włosy i obie runęły na podłogę.

Carlotta nie przestawała szarpać Sarah za włosy, klnąc przy tym jak szewc. Sarah z krzykiem wymierzyła na oślepie kilka ciosów i usłyszała głuchy jęk. Rozwścieczone tarzały

się po podłodze, objijając o meble. Sarah dostała cios w żołądek, ale szczęśliwie udało jej się uniknąć kontaktu z krwistymi paznokciami Carlotty.

W oczach Carlotty płonęła nienawiść - dzika, szalona nienawiść. Sarah chwyciła ją za nadgarstki i próbowała unieruchomić jej ręce. Bała się, że jeśli jej się to nie uda, Carlotta ją po prostu udusi. A ona nie miała na to najmniejszej ochoty.

Wściekłość dodawała jej sił. Przygniotła Carlottę do podłogi i pełną garścią szarpnęła pasmo farbowanych włosów. Kiedy poczuła zęby wbijające jej się w ramię, wrzasnęła i odchyliła głowę Carlotty do tyłu. Krzyczały teraz obie, ze złości i bólu, biły się, drapały i gryzły jak oszalałe. W jednej chwili zniknęły dzielące je bariery.

Kiedy potrafiły kolejny stolik, rozległ się huk spadającej lampy i brzęk szkła.

- Co tu się dzieje?! - Szeryf Barker wpadł do salonu. Na widok sceny, rozgrywającej się na podłodze, zamknął oczy. Wolałby mieć do czynienia z bandą uzbrojonych, pijanych kowbojów. - Przestańcie! - zawołał, kiedy przetoczyły się po dywanie. - Możecie sobie zrobić krzywdę. - Z wes tchnieniem potrząsnął głową. - A najgorzej to mnie się obe rwie.

Podszedł do walczących kobiet w chwili, kiedy w drzwiach salonu stanął Jake.

- Trzeba je rozdzielić - powiedział Barker, ale Jake już podnosił wierzgającą Sarah z podłogi.

- Schowaj pazurki, księżniczko. - Przytrzymał ją w pa sie, podczas gdy Barker usiłował spacyfikować Carlottę.

- Zabierzcie ją stąd! - Carlotta wyrwała się szeryfowi i stała w rozdartej sukni, rozczochrana jak nieboskie stwo-

rzenie. - Zabierajcie tę sukę. Chcę ją widzieć za kratkami. Wdarła się tu i zaczęła demolować mój dom.

- To nielogiczne - zauważył Barker. - Panno Sarah, mo że mi pani powiedziec, co pani robi w takim miejscu?

- Miałam pewną sprawę. - Sarah odgarnęła - potargane włosy. - Osobista.

- Wygląda na to, że sprawa została załatwiona. Niech pani wraca teraz do domu.

Godność. Godność w każdych warunkach! Mimo podartej sukni i zniszczonej fryzury.

- Dziękuję, szeryfie. - Skinęła mu uprzejmie głową, po raz ostatni spojrzała na Carlottę. - Skończyłam - oznajmiła i ruszyła w stronę wyjścia. Ścigały ją pełne podziwu spojrzenia dziewcząt Carlotty.

- Chwileczkę! - Ledwo wyszła na ulicę, Jake chwycił ją za rękę. Wokół zdołał już się zebrać spory tłum gapiów.

- Bardzo przepraszam - powiedziała, czerwona ze wsty du - ale muszę wracać do domu. - Przyglądała włosy. - Mój kapelusz!

- Widziałem to, co z niego zostało, tam. - Jake wskazał ręką na drzwi, a potem przyjrzał się Sarah. Miała podbite oko, rozdartą suknię i potargane włosy. Pokręcił głową i pomyślał, że Carlotta wyglądała sto razy gorzej.

- Ognista z ciebie kobieta, księżniczko.

Z zaciętą miną otrzepała zakurzoną spódnicę.

- Widzę, że cię to bawi.

- Muszę przyznać, że tak. Bardzo mi to pochlebia, ale naprawdę nie musisz się o mnie bić. - Jake wyglądał na zachwyconego.

Sarah oniemiała. To ona stoi tu, obolała, posiniaczona

i upokorzona, a on uśmiecha się od ucha do ucha! Uznał, że biła się o niego.

- Myślałeś, że pobiłam się z Carlottą, bo byłam o ciebie zazdrosna? - zapytała ze słodkim uśmiechem.

- A z jakich innych powodów?

- Zaraz ci podam ten powód. - Nieoczekiwanie spoliczkowała go, po czym odeszła.

Jake złapał się za policzek i patrzył za nią, kiedy zza pleców usłyszał głos Barkera.

- To było niezłe. - Tłum na ulicy zaczął klaskać, kiedy wsiadała na wóz. - Synu - powiedział Barker, klepiąc Jake'a po plecach - masz najszybszą rękę, najmocniejszą głowę, szczęście w kartach, ale musisz się jeszcze dużo nauczyć o kobietach.

- Na to wygląda - mruknął Jake. Przeszedł na drugą stronę ulicy i odwiązał konia.

Przez całą drogę do domu Sarah kipiała ze złości. Zrobiła z siebie widowisko. Wdała się w bójkę z kobietą niemoralną. Wywabiła na ulicę połowę mieszkańców miasteczka i dała im niezły powód do śmiechu. A na koniec musiała oglądać kpiący uśmiech na twarzy Jake'a Redmana.

Na szczęście, pokazała mu, gdzie raki zimują. Jak ten człowiek mógł w ogóle pomyśleć, że tak by się poniżyła z głupiej zazdrości?

Szkoda, że nie wyrwała Carlottcie tych jej farbowanych włosów razem z czarnymi korzeniami.

Ale to nie przez niego, powtórzyła sobie, a przynajmniej nie tylko przez niego.

Kiedy usłyszała za plecami tętent, odwróciła się, a potem mocniej szarpnęła lejce. Nie będzie z nim teraz rozmawiać.

Jeżeli o nią chodzi Jake Redman może sobie iść w diabły. Razem z tym swoim bezczelnym uśmiechem.

Niestety, zaprzęg nie wytrzymał konkurencji z jego koniem. Jake dogonił ją bez trudu i pędził teraz obok wozu. Wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy z okien dyliżansu.

- Zatrzymaj się!

Zadarła głowę i mocniej szarpnęła lejce.

Ktoś musi ją kiedyś nauczyć moresu. Równie dobrze może się to stać i dziś. Obliczył czas i rytm i jednym rzutem ciała przeskoczył z siodła na wóz. Stał na pewnie rozstawionych nogach i wyrwał Sarah z rąk lejce.

- Co za diabeł w ciebie wstąpił, kobieto?! - Przytrzymał ją, bo chciała wyskoczyć w biegu.

- Zabierz ręce! Nikt nie będzie mnie tak traktował.

- Wiesz, co ci powiem? Mam z tobą prawdziwy krzyż pański. - Cofnął rękę, zanim zdążyła go ugryźć. - Chyba już dość bójek jak na jeden dzień? Usiądź, bo zrobisz sobie krzywdę.

- Chcesz ten wóz, to go sobie weź. Ja z tobą nie pojedę.

- Pojedziesz, pojedziesz. - Posadził ją sobie na kolanach. Próbowała się wyrwać, ale wreszcie zmiękła. Ich usta spotkały się w długim pocałunku. Jednak kiedy skończyli, nie mógł się powstrzymać:

- Niezłe mi przyłożyłaś, księżniczko - powiedział, łapiąc się za szczękę. - Możesz mi zdradzić, za co to było?

Żachnęła się, wściekła, że rozbroił ją jednym pocałunkiem.

- Za to, że ci się wydawało, iż mogłabym być zazdrosna i bić się o jakiegoś nic niewartego typa.

- Ha! Więc teraz jestem nic niewart! Zdaje mi się, że mimo wszystko mnie lubisz.

Wyglądziła pogniecioną suknię.

- Może i tak.

Musiał to wiedzieć na pewno. Było mu to potrzebne bardziej, niż przypuszczał. Odwrócił ją ku sobie.

- Zmieniłaś zdanie?

Znów zmięła, bo zobaczyła w jego oczach cień zwątpienia.

- Nie, nie zmieniłam zdania. - Zaczepnęła tchu. - Mimo że nie wróciłeś i poszedłeś do „Srebrnej Gwiazdy”, żeby się zobaczyć z Carlottą.

- Masz dobre źródła informacji. Ciekawe, czego byś się jeszcze dowiedziała, gdybyś mieszkała bliżej miasta. Siedź tu. - Znał już to jej spojrzenie. - Siedź, póki nie przywiążę konia. Jeżeli zaczniesz uciekać i tak cię złapię.

- Nie będę uciekać. - Uniosła głowę i wbiła wzrok w dał. Kiedy wrócił po chwili, nadal uparcie milczała. Jake cmoknął na konie, wóz ruszył.

- Chciałbym się dowiedzieć, czemu jesteś na mnie zła. Powiedz mi, skąd wiesz, że byłem u Carlotty.

- Od Alice.

- Alice Johnson?

- Tak. Twoja przyjaciółka Carlotta o mało co nie zatłukła jej na śmierć.

- Co takiego?

- Chyba słyszałeś, co powiedziałam! - krzyknęła z furją; - Skatowała tę biedną dziewczynę. Eli wywiózł Alice z miasta, a ona resztę drogi przebyła na piechotę. Jest teraz u mnie.

- Co z nią? Wydobrzeje?

- Z czasem, przy odpowiedniej opiece.

- I ty chcesz jej to zapewnić?

- Tak. - Spojrzała mu w oczy. - Masz coś przeciwko temu?

- Nie. - Dotknął jej twarzy z czułością, która jego samego zaskoczyła. Szybko cofnął rękę i chwycił lejce. - Więc to z powodu Alice poszłaś do „Srebrnej Gwiazdy”?

- Nigdy w życiu nie byłam taka wściekła. Przecież Alice to jeszcze dziecko. I bez względu na to, co zrobiła, nie zasługuje na takie traktowanie.

- Powiedziała ci, za co Carlottą tak ją pobiła?

- Ona tego nie wie. Podejrzewa, że musiała popełnić jakiś błąd. W każdym razie mówiła, że Carlottą wpadła w szal po twojej wizycie.

Jake milczał przez chwilę.

- A potem wyładowała się na Alice - powiedział w końcu.

- Po co poszedłeś do Carlotty? Jeżeli jest coś - Sarah nie wiedziała, jak to wyrazić słowami - jeżeli masz jakieś potrzeby, o których nie wiem... Nie mam doświadczenia w tych sprawach, ale...

Namiętny pocałunek zamknął jej usta.

- Nikt nigdy nie znał tak dobrze moich potrzeb jak ty. - Jake z ulgą zobaczył, że uśmiech rozjaśnił twarz Sarah. - Poszedłem do Carlotty, by jej powiedzieć, iż nie życzę sobie, żeby się na mnie powoływała.

- I wszystko skrupiło się na Alice, bo to Alice przyjechała do mnie w tej sprawie. - Sarah potrząsnęła głową. Znów obudził się w niej gniew. - A przecież powtórzyła tylko to, co Carlottą kazała jej powiedzieć. T zapłaciła za moją odmowę.

- Tak to wygląda.

Sarah splótła dłonie na podołku i spuściła wzrok.

- Czy to jedyny powód, dla którego poszedłeś do Carlotty?

- Nie. - Poczekał, aż zobaczy wściekłość w jej spojrzeniu. - Chciałem jej oprócz tego przykazać, że ma się trzymać od ciebie z daleka. Oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałem, że się do niej wybierasz, żeby jej podbić oko.

- Naprawdę? - zapytała, nie kryjąc satysfakcji. - Naprawdę to zrobiłam?

- I rozkwasiałaś jej nos. Chyba byłaś zbyt przejęta, żeby to zauważyć.

- W życiu nikogo nie uderzyłam. - Usiłowała zachować powagę, ale bez rezultatu. - Prawdę mówiąc, sprawiło mi to dużą przyjemność - wyznała cicho.

Jake wybuchnął śmiechem, a potem przygarnął ją do siebie.

- Prawdziwa z ciebie tygrysyca, księżniczko.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

Patrząc, jak Sarah opiekuje się Alice, Jake dokonał paru odkryć. Zawsze mu się wydawało, że kobieta wychowana w luksusowych warunkach skłonna jest lekceważyć - a nawet potępiać - osoby takie jak Alice. Wiele tak zwanych przyzwoitych kobiet przepędziłoby dziewczynę jak parszywego psa.

Ale nie Sarah.

W tym, co robiła, było coś więcej niż tylko chrześcijańskie miłosierdzie. On sam znał ludzi, którzy uważali się za dobrych chrześcijan. Spełniali dobre uczynki, ale nie względem osób, które wyglądały bądź myślały inaczej niż oni. - Wiele szacownych chrześcijanek odsuwało się, na przykład, ze wzgardą od jego matki, bo poślubiła człowieka o mieszanej krwi.

Ludzie ci chodzili w niedzielę do kościoła, cytowali Pismo Święte i głosili, że kochają bliźnich. Ale kiedy ten bliźni nie pasował do ich wyobrażeń, miłość z reguły przeradzała się w nienawiść.

W przypadku Sarah nie chodziło o słowa. Okazywała Alice współczucie, troskę i zrozumienie, jakiego się po niej nie spodziewał. Siedząc przy stole w kuchni, słyszał jej łagodny głos, kiedy przemawiała do dziewczyny, opatrując jej rany.

A co do Alice - jasne było, że dziewczyna po prostu uwielbia Sarah. Nie widział jej wprawdzie, bo Sarah uznała, że jej pacjentka nie jest jeszcze w stanie przyjmować gości, ale słyszał nieśmiały respekt w jej głosie, kiedy odpowiadała na pytania.

A więc Sarah biła się z powodu Alice. Wciąż nie do końca mógł to zrozumieć. Ludzie na ogół biją się o swoją własność albo o coś, co chcieliby posiadać. Ile trzeba było mieć odwagi, żeby przekroczyć próg takiego miejsca jak „Srebrna Gwiazda” i dać w twarz Carolocie. A Sarah to zrobiła. I nie tylko zrobiła, ale wyszła z tego starcia zwycięsko.

Wstał od stołu i wyszedł na podwórze, gdzie Lucius usiłował bez powodzenia nauczyć Lafitte'a dawać łapę.

- Nie mówiłem, żebyś na mnie skakał. Mówiłem „łapa”, ty kurzy mózdzku. Łapa! - Lucius zepchnął psa z kolan i chwycił go za łapę. - Łapa! Zrozumiano? - W odpowiedzi Lafitte podskoczył i polizał go po twarzy.

- Chyba nie zrozumiał - odezwał się Jake.

- Co za głupi pies - westchnął Lucius, drapiąc Lafitte'a po brzuchu. - Ale ciągnie do ciebie. - Spojrzał z uśmiechem na Jake'a. - Ciebie też coś tu ciągnie.

- Ktoś musiał ją przecież odwieźć do domu.

- Chyba tak. - Lucius poczekał, aż Jake się nachyli, żeby pogłaskać psa. - Powiesz mi, czemu nasza panienka wygląda, jakby się biła na pięści?

- Bo się biła na pięści.

- Akurat! - Lucius splunął tytoniowym sokiem.

- Z Carlotta.

Lucius wytrzeszczył oczy, a potem ryknął śmiechem.

- Chcesz powiedzieć, że poszła tam i przyłożyła Carolocie?

- Rozkwasila jej nos - odparł Jake z uśmiechem - i wyrwała trochę włosów z głowy.

- Dobry Boże! Dałbym antałek whisky, żeby to zobaczyć. Byłeś przy tym?

Jake ze śmiechem pociągnął Lafitte'a za ucho.

- Widziałem samą końcówkę. Kiedy tam wszedłem, tarzwały się po podłodze, prychając jak wściekłe kotki. Carlotta musi być z pięć kilo cięższa od Sarah, ale to Sarah na niej siedziała, z zadartą spódnicą i furią w oczach. To był paradny widok!

- Ona ma niezgorszy temperament. - Lucius wyjął flaszkę i wznosił toast za Sarah. - Od razu się domyśliłem, że coś zamierza. Wyleciała, jakby ścigały ją diabły. - Podał Jake'owi butelkę. - Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że przyładowuje Carolocie. Prawdę mówiąc, nikt sobie bardziej na to nie zasłużył. Widziałeś już Alice?

- Nie. - Jake pociągnął łyk i poczuł, jak rozchodzi się w nim fala gorąca. - Sarah uważa, że jeszcze za wcześnie.

- Sam ją zaniósłem na górę i muszę przyznać, że nie widziałam tak zmasakrowanej kobiety. Ta wiedźma pobiła ją pasem. Całe plecy i ramiona ma w krwawych pręgach. Nie potraktowałabyś tak nawet psa. Carlotta musi chyba być stuknięta.

- Stuknięta a podła to dwie różne rzeczy. - Jake oddał Luciusowi whisky. - Carlotta jest podła.

- Wydawało mi się, że ją dobrze znasz.

- Byłem z nią parę razy. Za pieniądze. To nie znaczy, że ją znam.

- Wolałbym usiąść gołym tyłkiem na żmii. - Lucius od-
dał butelkę Jake'owi i nagle się rozkaszał. - Och,
panienko Sarah, nie usłyszałem, jak panienka
wychodziła.

- Tak mi się też wydawało - powiedziała zimno Sarah. -
Skończcie już z tym piciem i ordynarnymi uwagami, i
idźcie się umyć przed kolacją. Bo jak nie, to będziecie jeść
na dworze, - Obróciła się na pięcie i weszła do domu,
trzaskając drzwiami.

- Fiu-fiu! - Lucius wyrwał Jake'owi butelkę i pociągnął
spory łyk. - Wyjątkowo cięty języczek jak na taką słodką
buźkę. Mówię ci, chłopcze, pilnuj się, jeżeli masz wobec niej
jakieś plany.

Jake nadal patrzył na drzwi i myślał, że Sarah, nawet z
podbitym okiem, wyglądała jak królowa przemawiająca do
poddanych.

- Nie mam żadnych planów. Wobec nikogo.

- Możesz sobie mieć albo nie mieć. - Lucius wstał i
otrząsał spodnie. Bał się, że Sarah znowu weźmie je do pra-
nia. - Ona za to ma, a takiej kobiecie trudno odmówić.

Przy kolacji Sarah prowadziła uprzejmą rozmowę, jakby
byli na eleganckim przyjęciu. Uczesała się i przebrała w zie-
loną suknię, która świetnie podkreślała kolor jej włosów i
oczu. Zapiekankę podała w żeliwnych miskach, ale zrobiła
to w taki sposób, jakby jedli w restauracji na porcelanowej
zastawie.

Jake po raz pierwszy od dłuższego czasu pomyślał o
matce. Ona także przywiązywała wielką wagę do
wspólnych posiłków.

Sarah ani słowem nie wspomniała o tym, co stało się w
mieście, i jasne było, że nie ma ochoty poruszać

tego tematu. Trudno było uwierzyć, że ta sama wytworna
kobieta tarzała się na podłodze w „Srebrnej Gwieździe”.
Jednak Jake zauważył, że od czasu do czasu się krzywi.
Podniósł do ust kromkę świeżego chleba, próbując ukryć
uśmiech. Musiało ją boleć. Do końca posiłku z upodo-
baniem wyobrażał sobie, jak będzie w nocy oglądał jej
sińce.

- Może jeszcze trochę zapiekanki, Lucius?

- Nie, panienko. - Lucius poklepał się po brzuchu. -
Ob-żarłem się jak bąk. Pójdę się przejść, a potem wezmę
się do roboty. Zapowiada się ładna noc. - Postął im obojgu
znaczące spojrzenie. - A ja, po takiej kolacji, będę spał
jak suseł. Do samego rana. - Odsunął krzesło i sięgnął
po kapelusz. -To było pyszne, panno Sarah.

- Dziękuję, Lucius.

- Ja też się chętnie przejdę - odezwał się Jake.

Lucius wyszedł na dwór i zaczął głośno gwizdać. Sarah
roześmiała się.

- No, idź już.

- Wolałbym pójść z tobą. - Jake chwycił ją za rękę.

Uświadomiła sobie, że Jake jeszcze nigdy jej nie
poprosił

o coś tak prozaicznego, a zarazem romantycznego, jak
pójście na spacer. Co za szczęście, że nie zapomniała
jeszcze, jak się flirtuje.

- To miłe z twojej strony, ale muszę pozmywać. Poza
tym, Alice może się lada chwila obudzić. Myślę, że
powinna coś zjeść.

- Znajdę sobie tymczasem jakieś zajęcie. Pójdziemy, kie-
dy będziesz gotowa.

Zerknęła na niego spod rzęs.

- Może. - A potem roześmiała się, kiedy posadził ją sobie na kolanach. - Brutal z pana, panie Redman.

Jake delikatnie obwiodł palcem jej zapuchnięte oko.

- Wobec tego musisz uważać. Pocałuj mnie, Sarah.

- A jak nie, to co? - zapytała, z ustami tuż przy jego ustach.

- Pocałuj, pocałuj. - Musnął językiem jej wargi.

Zarzuciła mu ręce na szyję i obdarzyła długim, namiętym pocałunkiem.

- Pospiesz się - wymruczał. Raz jeszcze ją pocałował, a potem zszedł z kolan i wyszedł na dwór.

Kiedy Sarah wreszcie uporała się ze wszystkim, nastał wieczór. Wciąż było ciepło, nie wzięta szala, tylko opuściła rękawy i zapięła guziki mankietów. Woląla nie patrzeć na sińce, jakimi pokryte były jej ramiona.

Wyszła przed dom. Z miejsca, w którym stała, słyszała, jak Luicus przemawia w stajni do Lafitte'a, który stał się teraz, bardziej jego psem niż jej. A może obaj stali się jej własnością? Podobnie jak ta ziemia.

Zamknęła oczy. Lekki wietrzyk chłodził jej twarz. Zaczęła sobie wyobrażać, jak to będzie, kiedy zaczną z Jakiem przesiadywać wieczorami na werandzie, którą każe dobudować do domu. Będą oglądać zachód słońca, Jake zapali papierosa, a potem wspólnie posłuchają muzyki nocy.

Otrząsnęła się i rozejrzała wokół. Gdzie Jake? Nagle usłyszała stukot młotka o drewno i zobaczyła go. Wbijał w ziemię palik, tuż obok kurnika. Zdjął koszulę - na jego ogorzałej piersi lśniły krople potu. Mięśnie przeżyły się, gdy wznosił i opuszczał młotek.

Przypomniały jej się chwile, kiedy te same ramiona ści-

skwały ją i unosiły ku niebu. A dłonie, trzymające teraz młotek, błdziły po jej ciele, doprowadzając do szaleństwa.

Ona także pieściła wtedy jego smukłe, muskularne ciało, biorąc je jak swoją własność.

Serce szybciej zabiło jej w piersi, rumieniec wystąpił na twarz. Czy to źle wyobrażać sobie coś takiego? Jak to możliwe, że pokochała go tak bezgranicznie i zapragnęła nie tylko jego serca, ale i ciała? Nie czuła przy tym cienia wstydu.

Nagle Jake uniósł głowę jak zwierz, który zwietrzył jakiś zapach. I tak też było. Chociaż stała o kilka metrów od niego, wyczuł delikatny aromat bzu i zmysłowy zapach kobiety. Wprostował się.

Wyglądała, jakby zesza z zacienionego tarasu, żeby się przejść po ogrodzie. Wiatr łagodnie igrał z jej suknią i włosami. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlały ją złotym blaskiem. Szła ku niemu, a w pociemniałych oczach miała obietnicę.

- Kiedy patrzę, jak idziesz, księżniczko, zasycha mi w gardle.

- Myślę, że nie o to chodziło pocziwym siostrzyczkom, kiedy uczyły nas prawidłowej postawy. Ale miło mi to słyszeć. - Podeszła i znalazła się w zasięgu jego ramion i ust. - Nawet bardzo.

Po raz pierwszy w życiu poczuł się skrępowany w towarzystwie kobiety.

- Jestem spocony.

- Wiem. - Wyjęła chusteczkę i otarła mu twarz. - Co robisz?

- Mówiłaś, że chcesz hodować świnki. Trzeba zbudować

dla nich zagrodę. - Włożył koszulę i wzruszył ramionami.
- A ty co robisz?

- Patrę na ciebie. - Położyła mu dłoń na piersi. - Zastanawiam się, czy pragniesz mnie tak bardzo, jak ja ciebie.

- Nie, sto razy bardziej. - Sięgnął po pas, ale zamiast go zapiąć, przerzucił go sobie przez ramię. - Chodźmy wreszcie na ten spacer.

Uradowana, chwyciła go za rękę.

- Kiedy przyjechałam, nie mogłam zrozumieć, co zatrzy mało tu ojca i kazało mu zapuścić korzenie. Na początku myślałam, że robił to tylko dla mnie, bo chciał mi zapewnić godziwe życie. Bolałam nad tym. Nawet nie wiesz, jak bardzo. - Spojrzała ku zbocz, gdzie znajdowała się jego mogiła. - Dopiero później zrozumiałam, że był tu również szczęśliwy. To się stało dla mnie wielką pociechą.

Szli ścieżką, prowadzącą do strumienia, którą Sarah знаła już na pamięć.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że zechcesz tu zostać. - Jake ścisnął ją za rękę. - Kiedy cię tu przywozłem, wygładałaś, jakby ktoś dał ci po głowie.

- Bo tak też się czułam. Strata ojca... Prawdę mówiąc, utraciłam go wiele lat temu. Dla mnie ciągle był taki sam jak w dniu, kiedy odjechał. Może to i dobrze. Nie mówiłam ci, ale ojciec wymyślił dla mnie bajkę. - Gdy dotarli nad strumień, Sarah usiadła na ulubionym kamieniu i wsłuchując się w melodię wody, ciągnęła: - Pisał o pięknym domu, który zbudował po tym, jak natrafił na złotodajną żyłę w swojej kopalni. Opisywał mi go. Cztery sypialnie, salon z oknami na zachód, weranda z solidnymi kolumnami. - Uśmiechnęła

się i spojrzała na słońce, znikające za linią wzgórz. - Może myślał, że jest mi to potrzebne, i pewnie tak też było. Nie-wykluczone, że chciałam się widzieć w roli pani wielkiego domu o wysokich, chłodnych ścianach.

Jake bez trudu mógł ją sobie taką wyobrazić.

- Przecież zostałam do tego stworzona.

- Nie, zostałam stworzona dla ciebie. - Wstała i wyciągnęła do niego rękę.

- Pragnę cię, Sarah, ale nie mogę ci zaproponować wiele więcej niż koc na trawie.

Kiedy kładli się na kocu, zapadał zmierzch. Upał zelzał, lekki wietrzyk poruszał trawami. Niebo w górze miało kolor granatu, a ziemia pod wełnianym kocem była sucha i twarda. Sarah otoczyła Jake'a ramionami i wszystko inne przestało się liczyć.

Było tak jak za pierwszym razem, a jednak inaczej. Był głód ciała i niecierpliwość pożądania, a jednocześnie świadomość cudu i magu, którą potrafili wyczarować. Dlatego zmierzali przed siebie wolniej, za to bardziej pewnie.

Pocałunki Jake'a były zachłanne, ale odkryła w nich również czułość, o jakiej marzyła. Urzeczona, wyszeptła jego imię. Jej dłoń natrafiła na szorstki policzek. Wszystko w nim było takie inne - ciało, umysł i serce - a przeciwieństwa te pociągały ją i zachęcały do głębszego poznania.

Kiedy zaczął ją rozbierać, zalała ją fala upojnej słodyczy. Nie było szalonego pośpiechu jak za pierwszym razem. Jake spokojnie rozpinał guziki jej bluzki. Kiedy rozchylił materiał, chłodny powiew musnął jej skórę. A potem poczuła dotyk jego gorących ust.

Gdy westchnęła, zabrzmiało to w jego uszach jak muzy-

ka, Zapragnął ofiarować jej coś, czego nie dał dotąd żadnej kobiecie. Miłość, na jaką tylko ona zasługiwała. Czulość była dla niego nowym odkryciem, ale przychodziła mu coraz łatwiej, w miarę jak zdejmował z Sarah kolejne części ubrania. Gdy ona sięgnęła do paska jego spodni, wstrzymał oddech. Zrobiła to bez wahania, ale w jakiś niewinny sposób. Zawsze będzie w niej ta cudowna niewinność, która podniecała go bardziej niż wyrafinowane doświadczenie.

Sarah zdejmowała z niego kolejne warstwy, jakimi się szczelnie okrył. I to nie materiału czy skóry, lecz cynizmu i rezerwy - zbroi, której używał, aby przeżyć, podobnie jak używał swoich rewolwerów. Przy Sarah stał się bezradny i wrażliwy jak dziecko, a zarazem czuł się mężczyzną, jakim zawsze chciał być.

Dostrzegła w nim tę zmianę, tę eksplozję uczuć, potrzeb i pragnień, kiedy brał ją w ramiona i miażdżył ustami jej wargi. Pozbawiał ją tchu, a zarazem obdarzał nową siłą. A ona bez namysłu oddawała mu się całym sercem i duszą.

Była jak uwolniony żywioł. Wiła się i jęczała w jego ramionach, a on dawał jej jedyne, co mógł - rozkosz i zapałanie.

Aż wreszcie, kiedy nie był już w stanie dłużej czekać, wszedł w nią.

Ręce Sarah dawno już opadły bezwładnie, ich oddechy się uspokoiły, a Jake wciąż na niej leżał, z twarzą wtuloną w jej włosy. Przyniosła mu spokój - choć pewnie nietrwały - ukoiliła również jego myśli, ciało i serce.

Nie chciał miłości, bał się choćby zaryzykować. Nawet

teraz, kiedy nie mógł już dłużej ukrywać tego przed samym sobą, nie był w stanie powiedzieć Sarah, że ją kocha.

- Lucius miał rację - wymruczała mu do ucha.

- Hmm?

- Przyjemna noc. - Poglaskała go po plecach. - Bardzo ładna.

- Nie jest ci ciężko?

- Nie. - Przytuliła go mocniej. - Nie ruszaj się.

- Jestem ciężki, a ty musisz być obolała. Masz sporo pięknych siniaków.

Nie roześmiała się tylko dlatego, że całkiem opadła z sił.

- Zupełnie o nich zapomniałam.

- Sam się chyba do tego przyczyniłem wczorajszej nocy.

- Uniósł głowę i spojrzał na nią. - Nie potrafię być delikatny.

- Ja się nie skarzę.

- A powinnaś. - Zafascynowany jej urodą, dotknął jej policzka. - Jesteś taka piękna. Czasami mam wrażenie, że cię wymyśliłem.

Wtuliła usta w jego dłoń, a jej oczy napełniły się łzami.

- Nigdy mi nie powiedziałeś, że uważasz mnie za piękną.

- A powinienem.

Sarah przytuliła się do niego.

- Teraz czuję się naprawdę piękna.

Leżeli długo, w błogiej ciszy, patrząc w niebo.

- Co to znaczy „enigmatyczny”? - odezwał się w końcu Jake.

- Zagadkowy. Trudny do zrozumienia. A czemu pytasz?

- Słyszałem gdzieś to słowo. - Tak naprawdę natknął się na nie w jej pamiętniku, ale wciąż nie widział związku ze

swoją osobą. Zawsze mu się wydawało, że jest jak otwarta księga. - Robi się chłodno. Nie jest ci zimno?

- Trochę.

Usiedli i Jake sięgnął po jej ubrania. Kiedy naciągnął na nią halkę, objęła go za szyję.

- Miałam nadzieję, że mnie inaczej rozgrzejesz.

- Powiedziałem ci kiedyś, że szybko się uczysz. - Zsunął jej ze śmiechem ramiączko halki. - Chcesz coś dla mnie zrobić?

- Tak. - Musnęła ustami jego usta. - Nawet bardzo.

- To wejdź do strumienia.

- Co takiego? - zachnęła się, zdumiona.

- Nikt nie potrafi tego mówić tak jak ty, księżniczko. Mogę ci to przysiąc. - Pocałował ją delikatnie, niemal przyjaźnie.

- Czemu mam to zrobić?

Pomyślał, że kobiety noszą na sobie tyle najdziwniejszych rzeczy. I zakrywają się od stóp do głów.

- Chciałbym, żebyś weszła do strumienia tylko w tej halce. Jak wtedy, pierwszej nocy.

- Jakiej pierwszej nocy? Pierwszej... Ach, ty! - Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Podglądałeś mnie!

- Pilnowałem tylko, żeby nic ci się nie stało.

- To oburzające! - Próbowała się wyrwać, ale Jake trzymał ją bardzo mocno.

- Wtedy właśnie pomyślałem sobie, że chętnie wziąłbym cię w ramiona. Tamtej nocy miałem kłopoty z zaśnięciem. - Dotknął ustami jej szyi. - Prawdę mówiąc, nie przespałem porządnie ani jednej nocy, odkąd cię poznałem.

- Przestań! - Odwróciła głowę, ale on i tak dosięgnął ustami jej warg.

- No więc jak, postoisz w tym strumieniu?

- Nie. - Roześmiała się, kiedy pociągnął ją na koc. - Ubiorę się, wrócę do domu i zajrzę do Alice.

- Nie ma potrzeby. Lucius jej pilnuje.

- Rozumiem. Widzę, że uzgodniliście to beze mnie.

- Można tak chyba powiedzieć. Nie pójdziesz nigdzie dalej niż ten koc. I może do strumienia, o ile zdołam cię namówić.

- Nie namówisz mnie na to. Nie zamierzam spać na dworze.

- Nie myślałem o spaniu. - Jake położył się na wznak i przygarnął Sarah. - Nie spałaś nigdy pod gołym niebem? Licząc gwiazdy?

- Nie. - Zrobiła to tej nocy. O niczym bardziej nie marzyła. Odwróciła głowę i spojrzała na jego profil. - A ty, liczyłeś kiedyś gwiazdy, Jake?

- Gdy byłem dzieckiem. - Pogłodził ją leniwie po ramieniu. - Matka mówiła mi, że układają się w obrazy. Czasami pokazywała mi je, ale potem nie potrafiłem ich odnaleźć.

- Ja ci jeden pokażę. - Sarah wzięła go za rękę i zaczęła nią wodzić w powietrzu. - To koń. Skrzydlaty. Pegaz - dodała i nagle wstrzymała oddech. - Patrz! Spadająca gwiazda. - Trzymając go za rękę, patrzyła, jak szybuje po nieboskłonie. A potem szybko zamknęła oczy i wypowiedziała w myślach życzenie.

- Opowiesz mi o twojej matce? - zapytała po chwili. Jake milczał, wpatrzony w niebo. Smuga światła zniknęła bez śladu.

- Była nauczycielką - powiedział w końcu. - Przyjechała tu z St. Louis.

- I tu poznała twojego ojca?

- Niewiele wiem na ten temat. Chciał nauczyć się czytać i pisać, a ona mu pomogła.

- I wtedy zakochali się w sobie?

Jake uśmiechnął się. To zabrzmiało tak miło.

- Pewnie tak. Wyszła za niego, chociaż to nie było takie proste, bo był półkrwi Apaczem. Zamierzali razem zdziałać coś pożytecznego. Pamiętam, jak ojciec mówił, że chciałby, by ta ziemia dla niego pracowała. Żeby mógł coś" po sobie zostawić.

Rozumiała to, bo sama także tego pragnęła.

- Byli szczęśliwi?

- Dużo się śmiali. Mama lubiła śpiewać. Ojciec planował kupić pianino, żeby mogła grać, jak w St. Louis. A ona śmiała się i mówiła, że najpierw chce mieć koronkowe firanki. Zupełnie o tym zapomniałem - westchnął. - Marzyła o koronkowych firankach.

Sarah przytuliła się do Jake'a. Jego ból przeżywała niemal jak swój własny.

- Lucius powiedział mi o wszystkim. Tak mi przykro.

Nigdy by nie przypuszczał, że jeszcze kiedyś zapagnie do tego wrócić. Że jest mu to tak bardzo potrzebne.

- Oni przyjechali z miasta... było ich ośmiu, może dziesięciu. .. Nigdy tego tak na pewno nie wiedziałem. - Mówił monotonnym głosem, patrząc w niebo. Widział ich teraz tak dokładnie, jakby to wydarzyło się przed chwilą. Od lat nie pozwolił sobie na coś takiego. - Najpierw podpalili stodołę.

Może gdyby mój ojciec został w domu, postrzelaliby sobie

i pokrzyczeli, a potem zostawili nas w spokoju. Ale i tak by kiedyś wrócili i on o tym dobrze wiedział. Wziął strzelbę i poszedł bronić swojej własności. Zastrzelili go tuż za progiem.

Sarah ścisnęła Jake'a za rękę. Widziała to równie wyraźnie jak on.

- Wybiegliśmy z matką z domu, ale oni poczuli już smak krwi, jak sfera wilków. Matka z płaczem tuliła się do ojca. Konie rżały dziko w stajni. Niebo było rozświetlone łuną, więc widziałem ich twarze, kiedy podpalali resztę.

Czuł też zapach dymu, słyszał rozpaczliwy szloch matki i żarłoczny huk płomieni.

- Wziąłem strzelbę. Po raz pierwszy w życiu zapagnąłem zabić. Ogarnęło mnie szaleństwo. Zacząłem krzyczeć. Zobaczyłem, jak jeden z jeźdźców celuje we mnie. Ja też miałem broń, ale nie bytem dość szybki. W tamtych czasach lepiej radziłem sobie z nożem czy łukiem. Matka rzuciła się i zasłoniła mnie. Kiedy nacisnął spust, kula trafiła ją w pierś.

Sarah poczuła łzy na policzkach.

- Jeden z nich uderzył mnie kolbą. Kiedy odzyskałem przytomność, było już rano. Puścili z dymem wszystko. Dom jeszcze się dopalał. Nie zostało nic prócz zgliszczy. Ziemia była twarda, przy kopaniu robiło mi się słabo, więc zajęło mi to cały dzień, żeby ich pochować. Tamtej nocy spałem po między dwoma grobami. Powiedziałem sobie, że jeśli dożyję rana, znajdę ludzi, którzy to zrobili, i zabije ich. I dożyłem następnego ranka.

Nic nie powiedziała i o nic nie zapytała. Nie było potrzeby. Wiedziała, że nauczył się posługiwać bronią, i to dobrze. I znalazł tych ludzi, a przynajmniej niektórych.

- Kiedy zjawił się Lucius, opowiedziałem mu o wszystkim. To był ostatni raz, kiedy o tym mówiłem.

- Już dobrze - wyszeptwała, odwracając się do niego twarzą. - Nie myśl o tym więcej.

Czuł na piersi jej gorące łzy. A nikt, jak dotąd, nad nim nie płakał.

- Pokaż mi jeszcze raz tego konia na niebie, Sarah - po prosił, podnosząc do ust jej dłoń.

trzymając go za rękę, zaczęła nią wodzić. Miała nadzieję, że czas zemsty i żaloby już minął.

- Gwiazdy nie są tu tak wielkie i jasne jak na Wschodzie. - Leżeli przez chwilę w milczeniu, wsłuchując się w odgłosy nocy. - Na początku podskakiwałam ze strachu za każdym razem kiedy usłyszałam wycie kojota. A teraz lubię ich słuchać. Co' noc, kiedy czytam pamiętnik ojca...

- To Mart pisał pamiętnik? - Jake usiadł, pociągając za sobą Sarah. W oczach miał coś takiego, że się nagle zaniepokoiła.

- Tak. A co?

- Przeczytałaś go już?

- Jeszcze nie. Co wieczór czytam po kilka stron.

Jake nagle zdał sobie sprawę, że boleśnie ścisną Sarah za rękę, więc ją puścił.

- Pozwolisz mi go przeczytać?

- Oczywiście, dlaczego nie - odparła. Niepokój zniknął, ale nie do końca. - Pod warunkiem, że mi powiesz, czemu chcesz go przeczytać.

- Tak po prostu. - Sięgnął do torby po bibułkę i tytoń.

- Dobrze - powiedziała, patrząc, jak zwija papierosa. - Ufam ci, Jake. A kiedy ty mi wreszcie zaufasz?

Potarł zapałkę o skalę. Płomień oświetlił mu twarz.

- O co ci chodzi?

- Czemu kazałeś Luciusowi pracować w kopalni? Jake odrzucił zapałkę. W powietrzu rozszedł się zapach tytoniu.

- Pomyślałem sobie, że Matt byłby zadowolony.

- Ale dlaczego?

- Tak mi się wydawało, - Odsunął się i wydmuchał kłęb dymu. - Ludzie na ogół nie podpalają cudzych zabudowań bez powodu. A w twoim przypadku może być tylko jeden powód: ktoś chce cię stąd wykurzyć.

- Przecież to śmieszne. Nie znam tu prawie nikogo. Zresztą, szeryf mówił, że to pewnie maruderzy. Ty tak nie uważasz, prawda?

- Prawda. A co do Barkera, też nie wiadomo, co tak naprawdę myśli. Ta ziemia kryje w sobie tylko jedną rzecz, której wszyscy pragną. Złoto.

- Tu nie ma złota.

- Jest. - Jake zaciągnął się dymem i spojrzał jej w twarz.

- O czym ty mówisz?

- Lucius natrafił na żyłę. Podobnie jak Matt, Będziesz bogata, księżniczko.

- Poczekaj. - Przycisnęła palce do skroni, w których już rodził się pulsujący ból. - Chcesz mi powiedzieć, że ta kopalnia rzeczywiście jest cokolwiek warta?

- Według tego, co mówi Lucius, znacznie więcej niż cokolwiek.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Ze śmiechem potrząsnęła głową. - Zawsze myślałam, że to jakieś mrzonki. Nawet dziś rano o tym myślałam... ale... Od kiedy wiedziałeś?

- Od jakiegoś czasu.
- Od jakiegoś czasu - powtórzyła. - I nie uznałeś za stosowne powiedzieć mi o tym?
- Uznałem za stosowne nie mówić ci o tym. - Zaciągnął się po raz ostatni, a potem zgasił papierosa. - Nie znam takiej kobiety, która potrafiłaby trzymać język za zębami.
- Naprawdę?
- Tak, księżniczko.
- Ja to potrafię. Dlaczego miałabym trzymać język za zębami?

Nie miał wyjścia - musiał powiedzieć jej prawdę.

- Matt znalazł złoto i zaraz potem zginął.
- To był wypadek... - zaczęła i nagle przeszedł ją zimny dreszcz. - Sugerujesz, że mój ojciec został zamordowany? To niemożliwe! - Chciała wstać, ale Jake mocno ją objął i przytulił do piersi.

- Przez dziesięć lat kopał tu i kopał, i wygrzebał garść piasku. Wreszcie trafił na grubą żyłę i wtedy szyb się zawalił, a on zginął.

- Nie chcę o tym myśleć.
- Będziesz musiała. - Jake potrząsnął nią. - Kopalnia jest teraz twoja. Złoto też jest twoje. Nie dopuszczę do tego, żeby cię spotkało to samo co Matta. - Ujął w dłonie jej twarz. - Nie dopuszczę.

Zamknęła oczy. Nie była w stanie ogarnąć tego wszystkiego w jednej chwili. Znow obudziły się w niej strach, histeria i ból. Chwyliła Jake'a za ręce, żeby się uspokoić. Miał rację. Będzie musiała się nad tym zastanowić. A potem zacznie działać. Kiedy otworzyła oczy, malowała się w nich zimna determinacja.

- Powiedz mi, co mam robić.
 - Masz mi zaufać. - Dotknął ustami jej warg, a potem delikatnie ułożył ją na kocu.
- Wcześniej tej nocy natchnęła go spokojem. Teraz on postara się zrobić dla niej to samo.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Czuję się o wiele lepiej, panno Conway. - Alice wzięła cynowy kubek i napiła się wody.
- Nie chciała się skarżyć na bóle, które wciąż ją nękały mimo troskliwej opieki. Światło poranka bezlitośnie obnażyło jej poranioną twarz. Wyglądała teraz jak mała, skrzywdzona dziewczynka. Zadrapania na policzkach nie były już zaognione, ale Sarah uznała, że musi jeszcze minąć dobre kilka dni, zanim się zagoją.
- Rzeczywiście, wyglądasz sto razy lepiej. - Nie była to tak do końca prawda. Dlatego postanowiła chować jeszcze przez jakiś czas lusterko przed swoją pacjentką. Choć opuchlizna już skłęsała, wciąż martwiła się o oko Alice i zdecydowała, że zawiezie ją do miasta, do lekarza.
- Spróbuj zjeść jajko na miękko. To ci doda sił.
- Dobrze. - Galaretowate białko przypominało Alice zalawione oko, ale zjadłaby nawet skorpioną, gdyby Sarah jej kazała. - Panno Conway?
- Tak?
- Jestem bardzo wdzięczna, że mnie pani przyjęła, ale nie mogę... Oddała mi pani swoje łóżko. To nie wypada.
- Sarah uśmiechnęła się i odstawiła talerz.
- Mimo to bardzo dobrze spałam tej nocy.
- Ale panno Conway...

- Alice, jeżeli natychmiast nie przestaniesz, pomyślę, że jesteś niewdzięczna.
- Och, nie! - W oczach Alice błysnął strach.
- Sarah wstała. Przypomniała sobie, że zakonnice zwykły okraszać współczucie praktycznymi wskazówkami.
- Jeżeli chcesz mi okazać wdzięczność, bądź posłuszną pacjentką i odpoczywaj. Kiedy poczujesz się lepiej, Lucius zniesie cię na dół. Posiedzimy sobie w kuchni i porozmawiamy.
- Bardzo bym chciała. Gdyby nie pani i Eli, jak nic bym umarła. Miałam nadzieję... To znaczy, odłożyłam trochę pieniędzy. Niedużo, ale proszę je wziąć.
- Nie chcę twoich pieniędzy.
- Dziewczyna zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.
- Wiem, co pani myśli. Że to zapłata za...
- Nie. - Sarah wzięła Alice za rękę. - To nie ma z tym nic wspólnego. - Duma. Sama była wystarczająco dumna. Alice także miała prawo do swojej dumy. - Czy Eli zażądał pieniędzy za to, że wywiózł cię z miasta?
- Nie, ale... to mój przyjaciel.
- Ja też chciałabym, żebyś mnie uważała za swoją przyjaciółkę. Teraz odpocznij, a potem porozmawiamy. - Ucisnęła krzepiąco dłoń Alice, zebrała brudne naczynia i zaczęła schodzić po drabinie. Kiedy silne ręce ścisnęły ją w talii, stłumiła okrzyk.
- Mówiłem ci, żebyś nie nosiła gorsetu. Nie jest ci potrzebny.
- Ach, to dlatego nie mogłam go znaleźć, kiedy się rano ubierałam.
- Wyświadczyłem ci tylko przysługę. - Zanim zdążyła

się zdecydować, czy się roześmiać, czy pogniewać, odwrócił ją i zaczął całować.

- Jake, Alice jest...

- Chyba nie zemdleje, nawet jeżeli zobaczy, co robię. - Puścił Sarah. - Miło na ciebie popatrzeć, księżniczko - dorzucił, bo spodobał mu się sposób, w jaki słońce padało przez firanki na jej włosy.

Może to i głupie, ale się zarumieniła.

- Usiądź w kącie i patrz na mnie, a ja tymczasem przygotuję ci śniadanie.

- Chciałbym, ale mam kilka spraw do załatwienia. - Dotknął złotego kosmyka. - Sarah, dasz mi dziennik Matta?

W jej oczach odmalował się lęk. Przez całą noc myślała o tym, co jej powiedział. Jakaś jej część wołała o tym nie wiedzieć, nie mieć pewności. Ale druga część jej natury, ta, która nakazała jej pozostać na tej ziemi, podjęła już decyzję.

- Tak. - Podeszła do kominka i podniosła ruchomy kamień. - Znalazłam go pierwszej nocy. Dziennik, trochę pieniędzy i akt własności kopalni.

Kiedy podała mu gruby zeszyt, z trudem powściągnął chęć, żeby go natychmiast otworzyć. Jeżeli będzie w nim to, czego się spodziewa, będzie musiał załatwić pewne sprawy, i to zanim powie o wszystkim Sarah.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wezmę go ze sobą.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Jake prosił ją przecież, żeby mu zaufała. Może właśnie w ten sposób mogła mu teraz okazać zaufanie.

- Dobrze.

- A akt własności? Pozwolisz mi go zatrzymać, póki nie poznamy odpowiedzi na parę pytań?

Bez wahania wręczyła mu papiery.

- Tak po prostu? - zapytał.

- Tak po prostu - odparła z uśmiechem, patrząc na niego z ufnością.

- Sarah, chciałbym... - zaczął. Ale co? Chronić ją, kochać i mieć na wyłączność? Jej spokój i słodycz pozwoliły mu się pozbyć nagromadzonej przez lata goryczy, ale znowu zabrakło mu słów. Poza tym, nie miał prawa.

- Zajmę się tym.

Coś mignęło w jego oczach. Chciała przywołać ten błysk, żeby mu się lepiej przyjrzeć, żeby zrozumieć.

- Myślałam, że razem się tym zajmiemy.

- Nie. Zostaw to mnie. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

- Ale dlaczego?

- Bo nie. Chcę, żebyś... - urwał i szybko podszedł do okna. - Masz gości. - Na widok bryczki odetchnął z ulgą.

- Pani Cody z córką.

- Och. - Sarah bezwiednie uniosła rękę i przyglądała włosy. - Muszę wyglądać... Nawet nie miałam okazji, żeby popatrzeć w lustro.

- To bez znaczenia. - Jake otworzył drzwi. - Nic na to nie poradysz, jak w tej chwili wyglądasz.

Mruczając coś pod nosem, zdjęła fartuch i wyszła za Jakiem na dwór.

- Pewnie już słyszały o wczorajszym... incydencie?

- Pewnie tak. - Jake schował do torby papiery i dziennik Matta.

- Nie śmiej się. - Sarah dotknęła broszki z kameą, a potem uśmiechnęła się promiennie. - Dzień dobry, pani Cody. Dzień dobry, Lizo.

- Dzień dobry, Sarah. - Annę Cody zatrzymała konie. - Przepraszamy za to poranne najście.

- Nic nie szkodzi - zapewniła je, mnąc nerwowo spódnicę. Bała się, że zaraz usłyszy kazanie. Nasłuchiwała się już dość nauk od pocziwych siostrzyczek przez ostatnie dwanaście lat. - Zawsze się cieszę, kiedy was widzę.

Annę zerknęła na psa, który rzucił się, szczekając, do koni.

- Ale on urósł! - Wyciągnęła rękę. - Panie Redman?

Jake podszedł i pomógł zsiąść najpierw jej, a potem Lizie.

- Muszę już jechać - powiedział, zarzucając torbę na ramię. Dotknął kapelusza. - Moje uszanowanie.

- Panie Redman. - Annę podniosła rękę. - Mogę zamienić z panem słówko?

- Tak, proszę pani.

- Mój syn, John, od dłuższego czasu depcze panu po piętach. Dziwię się, że pan to znosi.

- Chłopak jest w porządku - mruknął Jake i pomyślał, że pewnie nie jest zadowolona, że jej syn spędza z nim z tyle czasu.

Annę przyjrzała mu się.

- To miło, że pan tak uważa.

- Johnny to okropny łobuziak - wtrąciła się Liza, na co matka zgromiła ją wzrokiem.

- To cecha wszystkich moich dzieci. - Annę odwróciła się do Jake'a. - Johnny przeżywa teraz problemy typowe dla chłopców w jego wieku. Tak mi się przynajmniej wydaje. Fascynuje go broń i strzelanina. I rewolwerowcy. Muszę powiedzieć, że mnie to trochę martwi.

- Będę się trzymał z daleka. - Jake odwrócił się z zimnym błyskiem w oczach.

- Panie Redman, jeszcze nie skończyłam. - Annę nie dała mu odejść.

- Mamo! - Liza pobladła. - Nie zatrzymujemy pana Redmana.

- Twoja matka chciała coś powiedzieć - odezwał się ze spokojem Jake. - Więc niech to powie. Słucham.

- Dziękuję. - Annę zdjęła rękawiczki. - Johnny ogromnie przeżywał to, co zaszło między panem a Burtem Donleyem.

- Pani Cody... - zaczęła Sarah, ale i Jake, i Annę uciszyla ją jednym spojrzeniem.

- Jak już powiedziałam - ciągnęła Annę - Johnny od wielu dni o niczym innym nie mówił. Nabrał przekonania, że dopiero taki pojedynek robi z mężczyzny mężczyznę i daje mu powód do chwały. Nawet nudził ojca o broń. - Spojrzała na pistolety na biodrach Jake'a. -I to porządne go colta. Muszę powiedzieć, że zaczynaliśmy już tracić cierpliwość. Aż tu nagle wczoraj przyszedł i powiedział mi coś...

- urwała. - Powiedział, że zabicie człowieka nie czyni nikogo dorosłym ani ważnym. Że człowiek mądry nie szuka kłopotów i jeżeli może, stara się ich unikać. A jeśli to niemożliwe, stawia im czoło. - Annę po raz pierwszy się uśmiechnęła.

- Mam wrażenie, że mówiłam mu mniej więcej to samo, ale czasami łatwiej w coś uwierzyć, jeżeli się to słyszy od kogoś innego, a nie tytko od rodziców. Zaczęłam się zastanawiać, kto tak na niego wpłynął. - Wyciągnęła rękę. - Jestem panu bardzo zobowiązana, panie Redman.

Jake patrzył przez chwilę na jej dłoń, zanim ją uścisnął. Nieczęsto ktoś zwracał się do niego z takim gestem wdzięczności czy nawet przyjaźni.

- To bystry chłopak pani Cody. Sam by do tego doszedł.
- Prędzej czy później. - Annę podeszła do drzwi i odwróciła się. - Maggie O'Rourke bardzo pana ceni. Chyba już wiem za co. Nie będę już pana dłużej zatrzymywać.

Co miał na to powiedzieć? Dotknął tylko runda kapelusza i ruszył w stronę padoku, żeby osiodłać konia.

- To jest mężczyzna - stwierdziła z uznaniem Annę. - Na twoim miejscu poszłabym się z nim pożegnać.

- Tak, ja... - Sarah niepewnie spojrzała na Annę, a potem znów na Jake'a.

- Jeżeli pozwolisz, nastawię wodę na herbatę. - Annę weszła do domu.

- Tak, proszę. - Sarah znów spojrzała na Jake'a. - Zaraz wracam. - Zebrała spódnice i podbiegła do niego. - Jake! Poczekaj! Ja... - urwała, przyłożyła rękę do serca, bo zabrakło jej tchu. Poza tym, nie wiedziała, co tak naprawdę chce mu powiedzieć. - Czy... Kiedy wrócisz?

Koń cicho zarżał, kiedy położył mu na grzbiecie siodło.

- Jeszcze nigdzie nie wyjechałem.

Zrobiło jej się głupio, ale myśl o tym, że mógłby znowu zniknąć na dłuższy czas, wydała jej się nie do zniesienia.

- Miałam nadzieję, że będziesz na kolacji.

- Czy to znaczy, że mnie zapraszasz?

- Tak, chyba że masz coś innego w planach.

Chciała się odwrócić i odejść, ale Jake był szybszy. Chwycił ją za rękę.

- Nieczęsto dostaję zaproszenie od tak pięknej kobiety.

- Spojrzał w stronę domu. Domu...? Więc już zaczynał myśleć o tej glinianej chacie jak o domu? Sytuacja się zmieniała, i to szybko. A on wciąż nie wiedział, co o tym sądzić.

- Gdybym wiedziała, że będziesz się tak długo zastanawiać, dałabym sobie spokój - wycedziła Sarah. - Możesz sobie. .. - nie zdążyła dokończyć, bo Jake uniósł ją do góry.

- Łatwo wpadasz w złość. - Wpił się w jej usta, żeby poczuć smak grzanego miodu. - To mi się właśnie w tobie podoba.

- Puść mnie! - zaprotestowała, ale jej ręce już obejmowały go za szyję. - Pani Cody może nas zobaczyć. - A potem roześmiała się i pocałowała go, kiedy postawił ją na ziemi. - No więc, jak będzie z tą kolacją?

Jednym susem znalazł się w siodle.

- Wrócę na kolację.

- Będę gotowa na" siódmą - zawołała, kiedy spał konia do galopu. Patrzyła za nim, póki nie rozplynął się w chmurze pyłu, a później odwróciła się i pobiegła do domu. Dopadła drzwi i serce podeszło jej do gardła, gdy usłyszała płacz Alice.

Liza stała przy piecu, z parującym czajnikiem w ręku.

- Sarah, mama... - Sarah już wspinała się na górę, gotowa bronić dziewczyny.

Annę Cody obejmowała płaczącą Alice, kołysząc ją w ramionach i głaszcząc po głowie.

- Popłacz sobie, kochanie, wyrzuć to z siebie. - Rzuciła Sarah ostrzegawcze spojrzenie. Oczy miała wilgotne. Sarah cichutko zesła na dół.

- Alice zaczęła cię wołać - wyjaśniła Liza. - Mama poszła na górę, żeby zapytać, czego potrzebuje. - Odstawiła czajnik. Herbata była ostatnią rzeczą, jaka jej była teraz w głowie. - Co się dzieje, Sarah?

- Sama nie wiem.

Liza spojrzała w górę i zapytała półgłosem:

- Czy ktoś ją pobił? Tę... dziewczynę?
- Tak. - Na myśl o tym Sarah bezwiednie dotknęła podbitego oka. - I to potwornie. Nie przypuszczałam, że człowiek może tak okrutnie potraktować drugiego człowieka. - Zaczęła szybko kroić ciasto, żeby się czymś zająć. Zbyt wiele spraw zwały jej się na głowę.
- Czy ona naprawdę pracowała u Carlotty?
- Tak. Jest bardzo młoda. Młodsza od ciebie i ode mnie.
- Naprawdę? - Liza przysunęła się do Sarah. - Ale ona... to znaczy... Jeżeli była w „Srebrnej Gwieździe”, to znaczy, że musiała...
- Nie miała innego wyjścia. - Sarah spojrzała na swoje ręce. Herbata i ciasto. Kiedyś myślała, że życie jest takie proste. - Ojciec ją sprzedał. Jakiemuś obcemu człowiekowi. Za dwadzieścia dolarów.
- Przecież to... - Ciekawość, wycierająca z oczu Lizy, przerodziła się w oburzenie. - To on powinien dostać baty! Jej własny ojciec! Ktoś powinien...
- Cśś, Liza. - Annę zsunęła się cicho po drabinie. - Nikt nie zasługuje na baty.
- Sarah mówi, że to ojciec sprzedał tę dziewczynę. Za pieniądze. Jak konia.
- Czy to prawda? - Dłonie Annę przestały otrząpywać spódnice.
- Tak, ale ona uciekła i w końcu wylądowała w „Srebrnej Gwieździe”.
Annę przygryzła wargi. Wyrazów, które cisnęły jej się na usta, nie powiedziałyby nawet przy mężu.
- Marzę o herbacie - odezwała się w końcu.
- Już podaję. - Sarah podbiegła do pieca. - Przepraszam.

Proszę, niech pani siada. - Rozłożyła na stole serwetki. - Mam nadzieję, że ciasto będzie wam smakowało. Przepis dostałam od mojej najlepszej przyjaciółki z Filadelfii. - A teraz Filadelfia, i wszystko co się z nią wiąże, wydaje się takie odległe. ..

- Dziękuję, kochanie, - Annę poczekała, aż Sarah usiądzie, a potem powiedziała: - Alice teraz śpi. Nie byłam pewna, czy dobrze zrobiłaś, że ją wzięłaś do siebie. Prawdę mówiąc, przyjechałam tu, bo się trochę niepokoiłam.
- Musiałam ją przyjąć.
- Nie, wcale nie musiałaś. - Widząc, że Sarah się zachnęła, Annę nakryła dłonią jej rękę. - Postąpiłaś słusznie. Jestem z ciebie dumna. Ta dziewczyna potrzebuje pomocy.

Annę z westchnieniem popatrzyła na córkę. Liza jest taka ładna, a do tego bystra i miła. I dobrze zabezpieczona, pomyślała, wznosząc dziękczynny wzrok do nieba. Jej dzieci zawsze miały pełen talerz i dach nad głową. A także troskliwego, kochającego ojca. Uznała, że musi mu jak najszybciej podziękować za wszystko.

- Alice Johnson miała takie ciężkie życie.

Annę upiła łyk herbaty. Podjęła już postanowienie. Pozostaje przekonać męża. Usta jej drgnęły w uśmiechu. Nie tak trudno namówić do dobrego mężczyznę, który ma miękkie serce. Gorzej będzie z resztą pań w mieście, ale i z nimi sobie poradzi. Na myśl o tym wyzwaniu zaświeciły jej się oczy.

- Ta dziewczyna potrzebuje uczciwej pracy i normalnego domu. Kiedy znów stanie na nogi, myślę, że mogłaby pracować u mnie w sklepie.

- Och, pani Cody!

Annę machnęła tylko ręką.

- Kiedy Liza wyjdzie za Willa, będzie mi potrzebna pomocnica. Alice dostałaby jej pokój, a także... część zarobków.

- Dziękuję pani - powiedziała ze wzruszeniem Sarah. - To bardzo szlachetne z pani strony. Mówiłam już o tym z Alice, ale ona powiedziała, że nikt jej tu nie zatrudni, bo pracowała w „Srebrnej Gwieździe”.

- Nie znasz naszej mamy. - W głosie Lizy zabrzmiała dumą. - Poradzi sobie ze wszystkimi paniami. Prawda, mamó?

Annę pogłaskała ją po głowie.

- Możesz się o to założyć. - Wzięła kawałek ciasta. - A skoro już wszystko ustalone, Sarah, chciałabym jeszcze porozmawiać z tobą o twojej wczorajszej... wizycie w „Srebrnej Gwieździe”.

- O mojej wizycie? - Sarah mimowolnie zasłoniła siniec pod okiem.

- No wiesz, o twojej bójce z Carlottą - wtrąciła się Liza. - Całe miasto o tym mówi. Że ją stłukłaś na kwaśne jabłko i jeszcze przyłożyłaś Jake'owi Redmanowi. Żałuję, że tego nie widziałam. - Podchwyciła spojrzenie matki i skrzywiła się. - Naprawdę żałuję.

- O mój Boże! - Sarah ukryła twarz w dłoniach. - Rzekniesz całe miasto o tym wie?

- Pani Miller przechodziła obok „Srebrnej Gwiazdy”, kiedy przyjechał szeryf. A wiesz, jak ona lubi roznosić plotki.

Sarah jęknęła. Annę potrzęsnęła głową.

- Kochanie - zwróciła się do córki - weź jeszcze trochę tego ciasta i zatkaj sobie buzię. A ty posłuchaj. - Odciągnęła

Sarah ręce od twarzy. - Na początku byłam zdumiona, że poszłaś tam i szarpałaś się z tą kobietą. Bo, prawdę mówiąc,

taka ładna i miła dziewczyna jak ty nie powinna nawet wiedzieć o istnieniu takich miejsc i osób.

- W Lone Bluff nie da się przeżyć jednego dnia, żeby nie usłyszeć o Carolcie - odezwała się Liza z pełnymi ustami. - Nawet Johnny...

- Lizo! - Annę ostrzegawczo uniosła palec. - Jedz. A ty, Sarah, nie masz tu nikogo bliskiego, dlatego zdecydowałam się na tę poranną wizytę, żeby z tobą porozmawiać,

- Upiła kolejny łyk herbaty, a Sarah pokornie czekała na nieuchronne kazanie. - Tymczasem kiedy zobaczyłam tę biedaczkę na górze, pożałowałam, że sama nie przyłożyłam Carolcie.

- Mamó! - Liza z zachwytem klasnęła w ręce. - Nie zrobiłabyś tego!

- Nie - Annę zarumieniła się lekko - ale bardzo bym chciała. Co nie znaczy, że chcę, żebyś tam jeszcze kiedykolwiek chodziła.

- Więcej tam nie pójde. - Sarah uśmiechnęła się z żalem.

- Chyba już załatwiłam wszystko, co miałam do załatwienia w „Srebrnej Gwieździe”.

- Podbiła ci oko - stwierdziła ze współczuciem Annę.

- Tak, ale ja jej rozkwasiałam nos. - Sarah uśmiechnęła się od ucha do ucha. - A może nawet złamałam.

- Naprawdę? Szkoda, że tego nie widziałam. - Liza wychyliła się do przodu. - Oczywiście nigdy bym tam nie weszła - dodała szybko, widząc spojrzenie matki.

- Nawet nie myśl o czymś takim - powiedziała dobitnie Annę. Przyglądziła włosy, dokończyła herbatę, a potem się poddała. - A niech to! Sarah, powiesz nam w końcu jak tam wyglądało, czy nie?

Sarah wybuchnęła śmiechem, podparta się łokciami i zaczęła opowiadać.

Intrygi były dla Carlotty rzeczą najzupełniej naturalną. Teraz, leżąc w puchowej pościeli, rozpatrywała wszelkie krzywdy, jakie ją spotkały, i snuła plany zemsty. W pokoju panował półmrok. Światło wpadało jedynie przez dwie wąskie szczeliny w okiennicach. Pokój był duży jak na warunki panujące w „Srebrnej Gwieździe”. Carlotta kazała usunąć ścianę między dwoma pokojami, poświęcając pieniądze, jakie mogłaby zarobić jeszcze jedna dziewczyna, dla własnej wygody.

Dla Carlotty pieniądze były równie ważne jak wygody. Chciała mieć i jedno, i drugie.

Choć była dopiero dziewiąta rano, naląła sobie szklaneczkę whisky z butelki, którą zawsze trzymała przy łóżku. Gorzki, palący smak koił pragnienie, z którym budziła się każdego ranka. Sącząc whisky, omiotła wzrokiem pokój.

Ściany pokrywała tapeta w czerwono-srebrne paski, zdaniem Carlotty bardzo elegancka. Okna osłaniały grube czerwone draperie, zbyt ciężkie jak na upalny klimat Arizony. Carlotcie przywodziły na myśl królewskie pałace. Dywan, w odcieniu zasłon, rozpaczliwie domagał się czyszczenia. Ale Carlotta rzadko zauważała brud.

Na toaletce, udekorowanej malowanymi cherubinkami, leżał komplet srebrnych szczotek z wygrawerowaną literą C. Był to jedyny monogram, jakiego używała. Carlotta nie miała nazwiska - a nawet jeżeli, to nie było ono godne zapamiętania.

Jej matka zawsze musiała mieć w łóżku jakiegoś męż-

czynę. Carlotta sypiała w kącie izby na sienniku, a do snu kołysały ją jęki i postękiwania. To, co się działo na barłogu, napawało ją obrzydzeniem. Jeszcze większe obrzydzenie budził w niej płacz matki, kiedy mężczyźni znikali.

Matka płakała wtedy i błagała Boga o przebaczenie. Była dziwką w małym miasteczku, zagubionym pośród gór Karoliny Północnej, ale nie miała na tyle rozumu, żeby czerpać z tego zyski.

Zawsze twierdziła, że robi to, żeby wyżywić swoją małą córeczkę. Carlotta prychnęła pogardliwie na to wspomnienie i dołała sobie whisky. W przyćmionym świetle napój miał barwę bursztynu. Skoro tak, to czemu jej mała córeczka wiecznie chodziła głodna? Pewnie dlatego, że matka czuła taki sam pociąg do butelki, jak ona teraz. Carlotta upiła łyk, delektując się rozgrzewającym trunkiem.

Różnica między tobą a mną, mamó, polega na tym, że ja się niczego nie wstydzę - ani whisky, ani mężczyzn. Poza tym, jestem kimś.

Czy płakałaś, kiedy wyjeżdżałam? Ze śmiechem wróciła myślami do tamtej nocy, gdy na zawsze opuściła cuchnącą budę bez okien. Miała piętnaście lat i zaoszczędzonych trzydzieści dolarów, które zarobiła, oddając się traperom. Młodość zawsze była w cenie, a ona szybko się uczyła. Matka nigdy się nie dowiedziała, że jej najgroźniejszą rywalką była własna córka.

Nienawidziła tych wszystkich mężczyzn, którzy wdierali się brutalnie w jej ciało. Brała od nich pieniądze i rozkładała nogi, pełna obrzydzenia i nienawiści. A nienawiść może być potężnym katalizatorem żądzy. Klienci odchodzili, zadowoleni, a ona skwapliwie odkładała każdy grosz.

Pewnej nocy spakowała swoje rzeczy, ukradła matce z materaca dwadzieścia dolarów i wyjechała na Zachód.

W pierwszych latach pracowała w saloonach, zadowolona, że ma ładne suknie i może się napić do woli. Whisky pomogła jej uśmiechać się i uwodzić kowbojów o wygłodniałych oczach i szorstkich rękach. Oszczędzała i nikomu nie pisnęła ani słowa o napiwkach, jakie wyciągała od zachwyconych klientów.

Kiedy skończyła osiemnaście lat, miała już odłożoną sumę, która umożliwiła jej otwarcie własnego lokalu. Oczywiście nie przypominał w niczym „Srebrnej Gwiazdy”. Jej pierwszy burdel to była zwykła rudera, w zabitej deskami dziurze na wschodzie Teksasu. Za to dziewczyny były ładne i młode.

W tamtych czasach miała krótkotrwały romans z pewnym szulerem, który nosił brokatowe kamizelki i skórzane krawaty. To on naopowiadał jej o kryształowych żyrandolach i czerwonych dywanach. Kiedy przenosiła się do kolejnego miasta, wzięła ze sobą jego szpilkę z perłą do krawata oraz dwieście dolarów gotówką.

A potem otworzyła „Srebrną Gwiazdę”.

Pewnego dnia znów się przenieś - do Kalifornii. Zrobi to w wielkim stylu. Przysięgła sobie, że będzie miała kryształowe żyrandole i białą porcelanową wannę ze złotymi uchwytyami. Złotymi!

Ogarnęło ją błogie uczucie satysfakcji, rozgrzewające jak mocny trunek. Potrzebuje złota, żeby spełnić swoje marzenia, i będzie miała to złoto.

Użyje w tym celu mężczyzny, który chrapał teraz u jej boku. Jima Carlsona. Przyjrzała mu się. Kilkudniowy zarost po-

krywał jego twarz, zapuchniętą od snu, seksu i whisky. Był głupcem - zapalczywym, ograniczonym głupcem, którym łatwo będzie manipulować. Mimo to wydawał jej się bardziej atrakcyjny od wielu mężczyzn, których wpuszczała do łóżka. Ciało miał twarde, dobrze umięśnione. A jednak wołała młodszych i szczuplejszych. Takich jak Jake.

Marszcząc brwi, upiła kolejny łyk. W przypadku Jake'a Redmana złamała swoją najważniejszą zasadę. Pozwoliła sobie na to, żeby go zapragnąć, i to w sposób, w jaki nigdy nie pragnęła żadnego mężczyzny. Z nim po raz pierwszy w życiu nie musiała udawać ekstazy, jakiej klienci oczekiwali od płatnej dziwki. Ona ją po prostu przeżywała. Pragnęła jej równie gorąco jak whisky, władzy i złota.

Kiedy była z Jakiem, pożądanie zalewało ją gorącą falą. I to nie tylko dlatego, że w łóżku zachowywał się inaczej niż reszta jej klientów, którym w ogóle nie chciało się wysilać. Przede wszystkim dlatego, że drzemała w nim jakaś ukryta i ekscytująca siła. Coś, czego chciała dla siebie. Była na najlepszej drodze, żeby to zdobyć - póki ta wymiękła dziwka nie przyjechała do miasta.

Panna Sarah Conway zapłaci jej za wszystko. Carlotta w zamyśleniu dotknęła podrapanego policzka. Za wszystko! Bo ona jej odbierze i Jake'a, i złoto.

A pomoże jej w tym niczego nieświadomy Jim Carlson.

Odstawiła pustą szklanę i wzięła lusterko. Zadrapania irytowały ją wprawdzie, ale wiedziała, że szybko znikną. W przeciwieństwie do cienkich linii w kącikach oczu i ust - te z czasem się pogłębia. Zakłęła i odłożyła lusterko, a potem z zadowoleniem powiodła rękami po swoim ciele. Było jędrne, gładkie i miło zaokrąglone.

To tego ciała pragnęli mężczyźni i tym ciałem posługiwali się, i zamierzała nadal posługiwać, by zdobyć to, czego pozbawiło ją życie.

Odwróciła się i kilkoma wprawnymi ruchami sprawiła, że Jim obudził się w pełnej gotowości.

- Święty Boże, Carlotta! - Z jękiem spróbował zagarnąć ją pod siebie.

- Spieszysz się gdzieś, Jim? - Zrobiła zręczny unik, czym jeszcze bardziej go podnieciła.

- Myślałem, że w nocy wyssałaś ze mnie wszystkie siły. - Wzdrygnął się. - Cieszę się, że jest inaczej.

- Muszę z tobą porozmawiać, Jim.

- Porozmawiać? - Chwycił ją za piersi. - Złotko, znam lepsze sposoby na wydawanie pieniędzy niż rozmowa.

Dała mu się chwilę popieścić, zastanawiając się, na ile może mu pozwolić, żeby go utrzymać na smyczy. Jak psa, pomyślała z pogardą.

- Pieniądze skończyły ci się nad ranem, kotku - powiedziała, głaszcząc go po włosach.

- Mam jeszcze pieniądze. - Ugryzł ją mocno, boleśnie. Jęknęła, bo wiedziała, że tego oczekiwał.

- Znasz regulamin lego domu, Jim. Najpierw forsa.

Zaklął i pomyślał, że mógłby wziąć ją siłą. Gdyby to zrobił, Eli by go wyrzucił, a drzwi „Srebrnej Gwiazdy” zostałyby przed nim zamknięte na zawsze. A on miał pieniądze. I temperament, który wiecznie domagał się zaspokojenia.

Poruszył się. Carlotta przesunęła palcem po jego ramieniu.

- Kiedy już porozmawiamy, Jim - wydała przeciągłe westchnienie i przybrała zmysłową pozę, żeby mógł jej się lepiej przyjrzeć - resztę dostaniesz za darmo.

Perlisty pot wystąpił mu na czoło.

- Ty nie dajesz niczego za darmo, Carlotta.

Powiodła dłonią od piersi aż po miękki brzuch.

- Najpierw porozmawiamy. - Uśmiechnęła się, gdy głośno przełknął ślinę. - O złocie - dodała, a kiedy się zachnął, uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Nie denerwuj się, Jim. Przecież nikomu nie powiedziałam. Nikt nie wie, że to ty i Donley zabiliście starego Matta Conwaya.

- Byłem pijany, kiedy ci to mówiłem. - Otarł usta. Strach walczył w nim o lepsze z pożądaniem. - Człowiek gada różne rzeczy po pijanemu.

Roześmiała się i oparła głowę na skrzyżowanych ramionach.

- Kto może to wiedzieć lepiej niż dziwka albo żona?

Uspokój się, Jim. W końcu kto ci powiedział, że Matt trafił nareszcie na żyłę złota? I że trzeba się pospieszyć, bo przyjeżdża jego córeczka? Nie zaczynajmy od początku, kotku. Nie zapominaj, że to nasz wspólny interes.

Jim usiadł i sięgnął ze złością po butelkę.

- Przecież ci mówiłem, że jak Sam wszystko załatwi, dostaniesz swoją dolę,

- A co takiego ma Sam załatwić? - Pozwoliła mu pociągnąć tylko dwa łyki. Wprawdzie whisky rozwiązywała mężczyznom języki, ale niektórzy zbyt szybko stawali się agresywni. A u Jima ta granica była dość płynna. Dlatego odebrała mu butelkę.

- Już to obgadaliśmy - wymamrotał. Nagle odechciało mu się i seksu, i rozmowy.

- Sam chciał zaciągnąć tę dziewczynę Conway do ołtarza i miał na to dość czasu. Całe miasto już wie, że to nie twój brat, ale Jake Redman wpadł jej w oko.

- A jak to jest z tobą? - Jim poklepał ją brutalnie po podrapanym policzku. - Kogo wypatrują te niebieskie oczy?

- Najlepszej okazji, kotku. Wyłącznie najlepszej okazji. - Obwiodła językiem wargi. Jim patrzył na nią zafascynowany. Najłatwiej omotać mężczyznę, jeżeli się go chwyci poniżej pasa. Wstała. Przyćmione światło było bardzo korzystne dla jej ciała. Uniosła powoli ręce i dotknęła piersi.

- Wiesz, co ci powiem, Jim? - Narzuciła cienki czerwony negliz, przezrysty jak szkło. - Pamiętasz tę noc, kiedy przyszedłeś do mnie i opowiedziałeś mi, jak razem z Donleym zawlekliście starego Matta do kopalni i go zabiliście? I jak go wcześniej męczyliście, bo nie chciał wam oddać aktu własności? Pamiętasz tę noc, Jim? Poszliśmy potem do mnie na górę i było nam bardzo dobrze.

Jim oblizwał wargi. Sutki Carlotty były ciemne i znajdowały się tuż poza zasięgiem jego rąk.

- Pamiętam.

- To było takie podniecające. Świadomość, że przyszedłeś po zabójstwie człowieka. A zabiłeś go, żeby dostać to, czego pragnąłeś. Czulałam wtedy, że jestem z prawdziwym mężczyzną. - Negliz zsunął jej się z ramienia. - Kłopot polega na tym, że od tamtej pory sprawy nie posunęły się do przodu. A ja czekam.

- Mówiłem ci, że Sam...

- Do diabła z Samem! - Powściągnęła gniew i uśmiechnęła się. - On jest zbyt powolny i za ostrożny. Prawdziwy mężczyzna powinien działać. Jeżeli chce tej Conway, czemu jej po prostu nie weźmie? - Przysunęła się bliżej. - Tylko ona stoi nam na drodze, Jim. Rozpraw się z nią - i nie mówię tu o podpaleniu starej szopy. Pomęcz ją trochę, a na pewno szybko odda

ci papiery. A potem ją zabij. - Głos Carlotty brzmiał zmysłowo jak miłosna pieśń. Stała obok łóżka, w całej swojej krasie. - A jak ją zabijesz, przyjdź do mnie. Zrobię wszystko, co zechcesz, i nie będzie cię to kosztowało ani centa.

Nie krzyknęła, kiedy jego ręce zacisnęły się wokół jej przegubów. Twarze ich płonęły podnieceniem, choć z różnych powodów.

- Zajmiesz się nią?

- Tak. Niech cię diabli! Chodź tu!

Kiedy Jim zwałił się na nią jak kłoda, uśmiechnęła się gorzko do sufitu.

Godzinę później Carlotta patrzyła przez okno, jak Jake wjeżdża do miasta. Zacisnęła pięści - z gniewu i z pożądania. Już niedługo. Wkrótce Jake stanie u jej drzwi.

Odwróciła się z uśmiechem. Jim wkładał właśnie spodnie.

- Myślę, że nadeszła pora, byś złożył wizytę pannie Sarah Conway.



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy Jake wszedł do zajazdu, Maggie ujęła się pod boki i zaatakowała go.

- O której to się wraca, chłopcze? - Prawdę mówiąc, chciała posłuchać nowych plotek i miała nadzieję, że wydusi je z Jake'a. - Nie rozumiem, jak można płacić za łóżko, a potem wcale w nim nie spać.

- Płacę też za twoje kurczaki i kluski, ale nie jestem na tyle głupi, żeby je jeść. - Zaczął wchodzić na górę, a Maggie deptała mu po piętach.

- Nie wyglądasz mi na człowieka, który nie dojada. - Dźgnęła go pod zebro. - Pewnie gdzie indziej karmią cię lepiej.

- Pewnie tak.

- Sarah dobrze gotuje?

Jake bez słowa pchnął drzwi do swojego pokoju.

- Mnie nie oszukasz, mój chłopcze. - Maggie machnęła ścierką od kurzu. - Już za późno. Całe miasto widziało, jak patrzyłeś na nią na tańcach. Widzieli też, jak przyłożyła ci w policzek. O, już lepiej - zachichotała, kiedy w oczach Jake'a pojawił się zimny błysk. - Od takiego wzroku można paść trupem. Jak od kuli. Ale do mnie nie musisz strzelać.

Coś mi się wydaje, że potrzebny ci ktoś, kto cię utemperuje.

Taki jak panna Conway.

- Tak ci się wydaje? ~ Jake rzucił torbę na łóżko. Przyszedł mu na myśl, że gdyby zaczął się rozbierać, Maggie musiałaby wyjść z pokoju. Już raz spróbował tego sposobu, a ona nie ruszyła się z miejsca. - Zostaw mnie w spokoju, Maggie.

- Chciałbyś zobaczyć moje plecy, co? - Roześmiała się i poklepała go po policzku. - Nie ty jeden uważasz, że najlepiej wyglądam od tyłu.

Jake z trudem powstrzymał się od śmiechu. Bóg jeden wie dlaczego, ale miał dziwną słabość do tej wścibskiej starej baby.

- Znajdź sobie nowego męża, Maggie. Będiesz miała komu wiercić dziurę w brzuchu.

- Szybko byś się za mną stęsknił.

- Podobno niektórzy tęsknią za pchłami, ledwo się ich pozbędą. - Usiadł na parapecie i oparł się o framugę.

- Ktoś musi cię czasami ukąsić, chłopcze. Mogę to być ja. Chcę ci coś powiedzieć o pannie Conway.

Jake wyjrzał przez okno i zmarszczył brwi.

- Pewnie nic, czego już sam sobie nie mówiłem. Wyjdz stąd, Maggie.

- Posłuchaj mnie, chłopcze - odezwała się niespodziewanie poważnym tonem. - Są na tym świecie ludzie dobrze urodzeni. Wyślizgują się ze swoich matek na jedwabie i atłasy. A inni muszą dobijać się o wszystko. Oboje coś o tym wierny, prawda?

Spojrzał na nią, wciąż zasepiony, i skinął głową.

- Jedni wciąż chodzą głodni, inni mają zawsze pełne brzuchy. Bóg jeden wie, czemu zarządził tak, a nie inaczej.

Bóg nie stworzył jednych lepszych niż drugich. To ludzie sami decydują, czy chcą być silni, czy słabi; dobrzy czy źli.

Na

ogół to kobieta popycha mężczyznę na tę czy tamtą drogę. Trzymaj się panny Conway, Jake. Ona skieruje cię tam, gdzie trzeba.

- Może być odwrotnie - rzekł. - Kobiętę łatwiej popchnąć niż mężczyznę.

Maggie pokiwała głową.

- Jake, mój chłopcze, musisz się jeszcze dużo nauczyć o kobietach. - Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Słyszał to już po raz drugi. Nie chciał teraz myśleć o kobietach. Miał inne sprawy na głowie.

Na przykład złoto, a także morderstwo.

Wziął dziennik Matta Conwaya i zaczął czytać, ale nie interesowały go pierwsze strony. Rozpoczął od środka, gdzie Mail opisywał pracę w kopalni i swoje nadzieje. Tu i ówdzie natrafiał na wzmianki o Sarah. Matt bolał nad tym, że musiał ją zostawić, i pisał, jaką dumą napawały go jej listy. Zawsze podkreślał też swoją tęsknotę i pragnienie, żeby ją sprowadzić na Zachód.

Najpierw chciał zbudować dla niej dom - prawdziwy dom, taki jak ten, o którym pisał w listach. Uważał, że umożliwią mu to zyski z kopalni. To przekonanie nie opuszczało go ani na chwilę.

„Za każdym razem, kiedy wchodzę do kopalni, czuję to. Nie tylko nadzieję, ale i pewność. Dzisiaj. Za każdym razem mam pewność, że to będzie dziś. Wiem, że tu jest złoto -dość złota, aby moja Sarah mogła żyć jak księżniczka. Takie życie chciałem stworzyć jej matce. Boże, jakie one są do siebie podobne. Miniaturka, którą Sarah przysłała mi na Gwiazdkę, równie dobrze mogłaby przedstawiać moją śłod-

ką, utraconą Ellen. Patrząc na nią co noc, oplakuję małą dziewczynkę, którą opuściłem, i tęsknię za młodą kobietą, na jaką wyrosła moja córka”.

Jednak istniał jakiś portrecik. Może jego odnalezienie dostarczy odpowiedzi na parę istotnych pytań. Przerzucił kilka kartek i czytał dalej:

„Lata, kiedy dobrze prosperowałem, nauczyły mnie, że sukces jest równie ulotny jak marzenia. Można mieć mapę i narzędzia, zręczność i wytrwałość. Ale jednej rzeczy nie można ani kupić, ani się nauczyć. Szczęścia. Bez niego człowiek może kopać całymi latami, a żyła, jakiej poszukuje, zawsze będzie tuż poza zasięgiem. Tak było ze mną. Bóg wie, że tak było.

Czy to los sprawił, że wciąż drżała mi ręka, że musiałem czołgać się w pocie i znoju, przeklinając Boga, i ryc w ziemi pokrwawionymi palcami? A kiedy upadałem, na wpół oślepiiony łzami rozczarowania i bólu, czy to on kazał mi kopać jeszcze głębiej, w szaleńczym zapamiętaniu?

Aż wreszcie ją znalazłem! Była tam! Pod moimi zakrwawionymi rękami! Połyskiwała na tle skały! Spływała w ciemną głąb kopalni jak rzeka, to zwężając się, to rozszerzając. Wiem, że to niemożliwe, ale dla mnie lśniła i pulsowała jak żywa. Złotodajna żyła! Nareszcie!

Nie wstydzę się przyznać, że usiadłem na ziemi, z lampką między kolanami, i wybuchnąłem płaczem”.

A więc odkrył złoto. Jake wpatrywał się w ostatnie zdania. To już nie było marzenie ani przecucie, ale fakt. Matt Con-

way trafił na złoto i umarł. Może z następnych stron dowie się, jak i dlaczego.

„Czy ludzie z wiekiem głupieją? Być może. Whisky zmienia w durniów i starych, i młodych. Nie ma na to żadnego usprawiedliwienia. Po latach trudów człowiek znajduje to, o czym zawsze marzył. I na co to obraca? Na kobietę i flaszkę. A ja obie te rzeczy znalazłem w „Srebrnej Gwieździe”.

Chciałem zachować w tajemnicy moje odkrycie jeszcze przez jakiś czas, ale list Sarah wszystko odmienił. Przyjeżdża! Moja mała córeczka jest w drodze! Nie mam już jak przygotować jej na to, co tu zastanie. Na szczęście wkrótce będę mógł dać jej wszystko, co obiecywałem.

Ja wcale nie chciałem powiedzieć Carolocie o złocie i o przyjeździe Sarah. Zawiniły whisky i moja słabość. Za brak dyskrecji zapłaciłem nazajutrz potężnym kaczem. A także wizytą Samuela Carlsona.

Czy to zbieg okoliczności, że właśnie teraz, po tylu latach, on chce odzyskać dawną rodzinną posiadłość? Jego oferta była bardzo szczodra. Zbyt szczodra, żebym mógł uwierzyć, że w grę wchodzi jedynie sentymenty. Może jednak moje podejrzenia są bezpodstawne? Odmowę przyjął ze spokojem, zostawiając mi otwartą furtkę. Jednak mam wrażenie, że trzyma Donleya i brata w odwodzie, jak dzikie psy na łańcuchu. Jutro rano pojedę do miasta i powiem Barkerowi o moim odkryciu. Dobrze byłoby też zatrudnić kilku ludzi do pomocy w kopalni. Im prędzej zacniemy, tym szybciej będę mógł wybudować Sarah jej wymarzony dom”.

Na tym kończył się dziennik Matta Conwaya. Jake zamknął zeszyt i wstał. Znalazł już odpowiedzi na swoje pytania.

- Panienko Sarah, skoro jedzie panienka do miasta...

Sarah, która właśnie wiązała wstążki czepka, głęboko westchnęła.

- Co znowu?

Lucius niepewnie podrapał się po brodzie.

- Przy takiej robocie chce się okropnie pić.

- Dobrze - powiedziała Sarah. Udało jej się już przełamać jego wodowstręt, ale oduczenie go skłonności do mocniejszych trunków będzie musiało jeszcze trochę potrwać.

- Będę bardzo zobowiązany, panienko. - Lucius wyszczerzył zęby w uśmiechu. Podczas kilku tygodni, które przepracował u Sarah, odkrył, że ma nie tylko miękkie serce, ale i twardą rękę. - Niech panienka sprawdzi, co z tym drewnem. Z przyjemnością położę podłogi, jak tylko przywiozą deski.

- Możesz tymczasem skończyć zagrodę, którą zaczął stawiać Jake.

- Tak jest, panienko. - Lucius splunął. Zbuduje tę cholerną zagrodę, ale za nic w świecie nie będzie doglądał świń. - Aha, i jeszcze jedno, panienko. Kończy mi się tytoń.

Whisky i tytoń! Sarah wzniosła oczy do nieba. Co by na to powiedziała matka przełożona?!

- Załatwię ci to. Pamiętaj, że masz zaglądać do Alice. Do pilnuj, żeby wypila trochę rosołu, i niech dużo odpoczywa.

Usłyszała, jak mruczał coś ze złością, że nie jest niańką, i z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- Wróć koło trzeciej i przygotuję coś specjalnego na kolację. - Spojrzała na niego po raz ostatni. - Będziesz musiał zmienić koszulę. - Szarpnęła lejce i odjechała, i dopiero kiedy znalazła się w bezpiecznej odległości, wybuchnęła śmiechem.

Życie jest piękne. A ona może i jest bogata, ale to nie ma większego znaczenia. W ciągu ostatnich tygodni tak wiele rzeczy, które dawniej uważała za bardzo ważne, straciło nagle znaczenie.

Była zakochana, szaleńczo i nieprzytomnie. Całe złoto świata nie było warte tej miłości.

Pokochała Jake'a Redmana, i zrobi co w jej mocy, żeby i on był szczęśliwy. Będzie to oczywiście wymagało czasu i cierpliwości, ale już ona się postara, żeby Jake uwierzył, że mogą mieć wszystko, czego dusza zapagnie. Dom, dzieci, swoje miejsce na ziemi i długie, piękne życie.

To, co dali sobie nawzajem, odmieniło ich oboje. Ona nie była już tą samą dziewczyną, która wsiadała do pociągu w Filadelfii. Przebyła długą drogę. I to nie tylko mierzoną w kilometrach. W grę wchodziło coś więcej. Jeszcze parę tygodni temu była przekonana, że szczęście zależy od tego, czy ma się nowy czepek. Do Lone Bluff przyjechała pełna marzeń o balach i porcelanowych serwisach. Choć tego tu nie było, znalazła coś znacznie ważniejszego.

Jake także zmienił się pod jej wpływem. Poznawała to po spojrzeniach, jakimi ją obrzucał, po sposobie, w jaki szukał jej przy sobie przez sen, żeby ją przytulić. Słowa przychodziły mu z większym trudem, ale ona mogła poczekać.

Teraz, kiedy go odnalazła, nikt i nic już jej nie powstrzyma. Zrobi wszystko, żeby zawsze mogli być razem.

Gdy zobaczyła w oddali sylwetkę jeźdźca, promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz. Jednak to nie był Jake, tylko Jim Carlson. Podjechał i zatrzymał konia. Chciała go ominąć, skinawszy głową, ale on zastawił jej drogę.

- Dzień dobry, moja pani. - Wychylił się w jej stronę. Oddech miał przesycony whisky. - Taka ładna i taka sama?

- Dzień dobry, panie Carlson. Przepraszam, ale jadę do miasta i trochę się spieszę.

- Czyżby? - To będzie łatwiejsze, niż myślał. Nie musi zawracać sobie głowy tym głupim Luciusern. - Jaka szkoda, bo właśnie jechałem do pani z wizytą.

- Ach tak? - Nie dostrzegła spojrzenia, jakim ją obrzucił. Bijący od niego odór whisky budził w niej obrzydzenie. - Co mogę dla pana zrobić, panie Carlson?

- Jedną rzecz. - Wbił w nią wzrok i wyciągnął broń. - Zsiąść z wozu.

- Pan chyba oszalał! - Na widok wycelowanej lufy zamarła, ale jej palce już zaczęły wędrowkę w stronę strzelby.

- Nie radziłbym sięgać po broń, moja pani. Byłoby mi przykro, gdybym musiał wystrzelić dziurę w tej białej rączce. No, wysiadaj!

~ Spróbuj mnie tknąć, a Jake cię zabije.

O tym także już pomyślał i dlatego zmienił plany. Nie zamierzał na razie zabijać Sarah - chyba że popełniłaby jakieś głupstwo.

- Mam swoje zamiary co do Redmana. Spokojna głowa, kotku. Wsiadaj, zanim rozwałę twoje konie.

W to nie wątpiła. Podobnie jak w to, że strzeli jej w plecy, gdyby spróbowała ucieczki. Czyli znalazła się w potrzasku. Co robić? Wsiadła i stanęła sztywno obok wozu.

- Boże, ale z ciebie kobieta, Sarah. To dlatego wpadłaś Samuelowi w oko. - Zeskoczył z konia, z bronią w rękę. - Masz urodę jak nasza matka. Widziałaś jej portret? Sam lubi ładne obrazy. - Znowu się uśmiechnął i wyciągnął rękę, żeby poklepać ją po twarzy. - Masz też w sobie ogień - dodał, gdy odepchnęła go z gniewem. - A nasza mama była wariatką. Czystą wariatką. - Przysunął się bliżej, przypierając ją do wozu. - Sam mówił ci, że była wrażliwa, prawda? A ona była po prostu szalona. Ojciec musiał ją zamykać na całe dni. Aż pewnego razu, kiedy otworzył drzwi, zobaczył, że się powiesiła na jedwabnym szalu.

Spojrzała na niego z przerażeniem. Strach chwycił ją za gardło.

- Puść mnie. Jak Samuel się dowie, co zrobiłaś...

- Myślisz, że się go boję? - Jim ze śmiechem przybliżył twarz do twarzy Sarah. - Może ci się wydaje, że jest mądrzejszy ode mnie? Że ma więcej rozumu? Jesteśmy tej samej krwi. - Jego palce boleśnie wpiły się w jej ciało. - Pamiętaj o tym. Pozwoliłaś mu kiedykolwiek zbliżyć się do siebie? Dałaś mu, czego chciał? Czy chowasz wszystko dla tego parszywego mieszańca?

Trzasnęła go w twarz. Strach i wściekłość dodały jej sił. A potem rzuciła się na niego z nadzieją, że uda jej się dopaść jego konia. Niestety, poczuła ucisk lufy pod brodą i usłyszała metaliczny szczęk.

- Złoto, nie złoto; spróbuj jeszcze raz, a zostawię twoje szczątki sępom na pożarcie. Twój ojczulek też chciał się wykręcić. - Wyraz osłupienia w jej oczach sprawił mu dziką radość. - Przypomnij sobie, co go spotkało, i bądź na przyszłość mądrzejsza. - Oddech miał szybki, palce drżały mu na

cynglu. Kłamał, mówiąc, że nie boi się brata. Już by w nią wpakował kulkę, gdyby nie strach przed gniewem Samuela.

- A teraz rób, co ci każe, to jeszcze trochę pożyczysz.

- Ciekawa lektura. - Barker spojrzał na dziennik Matta.

- On umiał ładnie przelewać słowa na papier.

- Ładnie czy nie, wszystko jest już jasne. - Jake podszedł do okna. Był zły, że przyszedł do szeryfa z czymś, co mógł i powinien załatwić sam. A wszystko przez Sarah.

- To jasne, że Mattowi się wydawało, że znalazł złoto.

- Bo znalazł. Lucius dokopał się do tego miejsca. Wszystko się zgadza z tym, co pisał Matt.

Barker zamknął zeszyt i zamyślił się.

- Biedny stary Matt. Kiedy wreszcie trafił na żyłę, musiał zginać w kopalni.

- Gdy zawalił się chodnik, on już nie żył.

Barker wsunął do ust prymkę tytoniu.

- Oczywiście wolno ci tak myśleć. Wezmę to pod uwagę, pamiętnik to nie jest żaden dowód. Niełatwo będzie mi pojechać na ranczo Carlsonów i rozmawiać z Samuelem o morderstwie, z samym tylko pamiętnikiem w rękę. Poczekaj! - dorzucił, widząc, że Jake sięga po zeszyt. - Nie powiedziałem, że nie pojedę, twierdzą tylko, że to nie będzie łatwe.

Wachlując się kapeluszem, odchylił się na krześle. Chciał to sobie dokładnie przemyśleć. Carlsonowie mieli długie ręce. Tego obawiał się bardziej niż zapalczywości i strzelby młodego Jima.

- Mam do ciebie jedno pytanie, Jake. Czemu przyniosłeś mi pamiętnik, zamiast pojechać na ranczo i podziurawić kułami obu Carlsonów?

- Z głębokiego szacunku dla prawa.

Szeryf parsknął śmiechem, a potem wypluł brunatny sok do spluwaczki.

- Znałem pewną kobietę - to było jeszcze przed panią Barker - która umiała kłamać równie gładko. Była w tym na prawdę dobra. - Nałożył z westchnieniem kapelusz. - Bez względu na twoje motywy, mam obowiązek zająć się tą sprawą. Choć wyznam ci szczerze, że nie ma nic bardziej nużącego niż obowiązek. - Bez entuzjazmu sięgnął po pas.

W tym momencie drzwi otworzyły się i do pokoju wpadła Nancy, dziewczyna ze „Srebrnej Gwiazdy”.

- Muszę z panem porozmawiać!

- Poczekaj, aż wrócę. Jeden z kowbojów za bardzo sobie podchmielił w barze, a ja jeszcze nie zdążyłem tam zajrzeć.

- Niech pan posłucha. - Nancy zagroziła mu drogę. - Robię to tylko z powodu Alice. - Spojrzała a Jake'a. - Carlotta obdarłaby mnie ze skóry, gdyby się dowiedziała, że tu przyszłam. Ponieważ panna Conway pomogła Alice, uważam, że teraz ja powinnam jej pomóc.

- Przestań paplać. Mów, o co chodzi.

- O Carlottę. - Nancy ściszyła głos, jakby - się bała, że mogą ją usłyszeć w „Srebrnej Gwieździe”. - Od wczoraj jest naprawdę wściekła.

- Carlotta urodziła się wściekła - odparł Barker, a potem skinął na Nancy. - W porządku, mów dalej.

- Wczoraj wieczorem zaprosiła na górę Jima Carlsona. Na ogół nie pozwala nikomu zostać przez całą noc, ale on był z nią aż do rana. Mój pokój sąsiaduje z jej pokojem, więc słyszałam, co mówili.

Jake wziął ją pod ramię i wciągnął do pokoju.

- Co takiego usłyszałaś?

- Rozmawiali o tym, jak Jim i Donley zabili starego Matta. A potem ona kazała mu zająć się panną Conway. - Krzyknęła, bo palce Jake'a boleśnie wpiły jej się w ramię. - Ja nie mam z tym nic wspólnego. Przyszłam tu, bo panna Conway wzięła do siebie Alice po tym, jak Carlotta ją pobiła.

- Wygląda na to, że najpierw powinienem pogadać z Carlotta - stwierdził Barker, poprawiając kapelusz.

- Nie może pan tego zrobić! - wykrzyknęła z przerażeniem Nancy. - Ona mnie zabije. Zresztą, i tak już za późno

- dodała, wyszarpując rękę.

- Dlaczego? - Jake złapał ją, zanim dopadła drzwi.

- Carlotta nakazała Jimowi rozprawić się z panną Conway. - Nancy doszła do wniosku, że skoro już tyle powiedziała, powinna dokończyć. - Miał wziąć od niej akt własności kopalni, a potem ją zabić. Wyjechał godzinę temu, ale nie udało mi się wyrwać wcześniej.

Jake już był za drzwiami i dosiadał konia.

- Zawołam Willa i pojedziemy za tobą - krzyknął za nim Barker.

Czasami zabójstwo przychodziło Jake'owi łatwo. Tak łatwo, że po fackie nie czuł absolutnie nic. Tym razem będzie inaczej. Czuł to, kiedy pędził w stronę domu Sarah. Jeżeli dopadnie Carlsona, zabije go jak psa. Bez żadnych oporów i z najwyższą rozkoszą.

Za plecami słyszał tętent koni, ale nawet się nie obejrzał.

Jego ogier musiał wyczuć napięcie, bo przeszedł w galop. Pędzili co tchu, zostawiając za sobą żółtą ścianę pyłu.

Na widok wozu Jake poczuł, że zimna furia, jaka nim trzęsła, przeradza się w kipiącą nienawiść. Zeskoczył z konia, a za nim Barker.

- Uspokój się. - Szeryf chciał mu położyć rękę na ramieniu, ale się rozmyślił. - Jeżeli gdzieś ją zabrał, wytropimy go. - Prócz Willa towarzyszyło mu jeszcze trzech mężczyzn z miasteczka, wśród nich John Cody, który przybiegł prosto ze sklepu i nawet nie zdążył zdjąć fartucha. - Zajmiemy się tym, Jake. Znajdziemy ją.

Jake schylił się w milczeniu i podniósł kameę, która leżała na ziemi, wdeptana w kurz. Szpilka była odpięta. Kilka bładoniebieskich nitok tkwiło na ułamanym koniuszku. To znaczy, że Sarah walczyła. Na myśl o tym, co musiała przeżyć, włos zjeżył mu się na głowie. Wsunął broszkę do kieszeni, wskoczył na konia i popędził w stronę rancza Carlsonów.

Ręce miała skrępowane i przywiązane do siodła. Gdyby to było możliwe, zeskoczyłaby z konia. Choć nie mogła uciec, odczułaby przynajmniej satysfakcję, że zdenerwowała Carlsona.

Wszystko, co Jake mówił, okazało się prawdą - i o złocie, i o śmierci jej ojca. Nie miała już żadnych wątpliwości, że człowiek, który go zamordował, siedział teraz za jej plecami.

Na początku myślała, że chce ją zabrać w góry albo na pustynię, gdzie mógłby ją bez trudu zabić i ukryć jej zwłoki. Jednak potem, ku swemu zdumieniu, zobaczyła w oddali ranczo Carlsonów.

Widok był isticie sielankowy. Na tle zielonej doliny rysowały się okazałe zabudowania rezydencji. Usłyszała szcze-

kanie psa. Kiedy podjechali pod dom, drzwi otworzyły się i wypadł z nich pobladły Samuel.

- Coś ty narobił, na Boga?

Jim odwiązał linę i zsadził Sarah z konia.

- Przywiozłem ci prezent.

- Sarah, moje kochanie. - Carlson z zaciśniętymi ustami zaczął rozwiązywać pęta. - Nie wiem, co powiedzieć. Nigdy w życiu nie zdołam... - urwał i zaczął masować jej zdrętwiałe przeguby. - On musi być pijany. Wprowadź konia do stajni, durniu! - krzyknął na Jima. - Potem przyjdź do mnie. Będę miał do ciebie kilka pytań.

Jim wzruszył tylko ramionami i odprowadził konia. To chyba jakiś okrutny żart. Sarah podniosła drżące dłonie do ust. Jednak to wszystko było zbyt przerażające, żeby można to uznać za żart.

- Samuelu...

- Nie wiem, co powiedzieć, kochanie. - Jego silne ramię otoczyło ją w talii. - Jak przeproszać za skandaliczny postępek brata? Nic ci się nie stało? Boże, masz podartą suknię. - Chwycił ją za ramiona. Wzrok miał błędny. - Zrobił ci coś? Molestował cię?

Potrząsnęła głową raz i drugi. A potem przyszły słowa.

- Samuelu, on zabił mojego ojca. Dla złota. Bo w tej ko palni jest złoto. Musiał się o tym dowiedzieć i... i zabił go.

Nagle zabrakło jej tchu. Kurczowo uchwyciła się jego kamizelki. Patrzył tylko na nią tak długo, aż zachciało jej się krzyczeć.

- Musisz mi uwierzyć, Samuelu.

- Jesteś wykończona - powiedział sucho. - Zresztą, nic dziwnego. Wejdz. Nie stójmy w upale.

- Ale on...

- Nie przejmuj się Jimem.-Wprowadził ją do chłodnego wnętrza. - Już ci się nie będzie naprzykrzał. Masz na to moje słowo. Poczekaj w gabinecie. - Głos Samuela brzmiał kojąco i miękko, kiedy prowadził ją obok portretu matki. - Spróbuj się odprężyć. Ja zajmę się resztą.

- Ale proszę cię, uważaj na siebie. On... on może ci coś zrobić.

- Nie. - Samuel posadził ją w fotelu i poklepał po ręce.

- On zrobi dokładnie to, co mu każe.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Sarah ukryła twarz w dłoniach. Histeria, tak długo tłumiona, wreszcie nią zawładnęła. Przecież Jim chciał ją zabić! Była tego pewna. Wyczytała to z jego wzroku i uśmiechu. Dlaczego przywiózł ją na ranczo, gdzie pod opieką Samuela mogła czuć się bezpiecznie?

Zaczerpnęła tchu i poczekała, aż uspokoi jej się serce. Była już bezpieczna, ale to jeszcze się nie skończyło. Zamknęła oczy. Jeszcze daleko do końca.

To chyba obłąd. Jim Carlson musi być szalony. Jak jego biedna matka. Tylko że zamiast zabić siebie, zabił jej ojca. Nagle zebrało jej się na płacz, ale ostatkiem sił powstrzymała się od łez. Nie będzie płakać i nie będzie siedziała z założonymi rękami.

Wstała i zaczęła krążyć w kółko. Pokój był mały, lecz pięknie umeblowany. Na półkach stały porcelanowe figurki, na ścianie wisiał delikatny pastel. Wszystko to świadczyło o dobrym guście Samuela i o jego umiłowaniu piękna.

Jak niepodobni do siebie byli ci bracia! Kain i Abel.

Zdjęta niepokojem podeszła do drzwi. Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby jeden z braci zabił drugiego z jej powodu.

Drzwi okazały się zamknięte. Przez moment myślała, że to tylko nerwy. Wzięła głęboki oddech i ponownie nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz!

Odwróciła się i rozejrzała po pokoju. Była uwięziona. Ale dlaczego? Dla bezpieczeństwa? Widocznie Samuel uznał, że lepiej będzie ją zamknąć, póki po nią nie wróci.

A jeżeli to Jim wróci z kluczem? Serce podeszło jej do gardła. Rozpaczliwie zaczęła się rozglądać za czymś, czym mogłaby się obronić.

Wysunęła kolejno szuflady biurka i przeszukała ich zawartość. Jeżeli nie znajdzie pistoletu, to może jakiś nóż, albo choćby nóż do papieru? Zajrzała do środkowej szuflady i nagle, wśród papierów, natknęła się na mahoniową ramkę. To był jej portrecik!

Sięgnęła po niego, jak lunatyczka.

Ten sam, który ojciec z dumą pokazywał całemu miastu. Ten, którego brakowało wśród jej rzeczy. A brakowało go, bo ukradł go morderca jej ojca.

Kiedy usłyszała zgrzyt klucza w zamku, nie zamknęła szuflady i nie próbowała ukryć tego, co trzymała w ręku. Wstała i spojrzała mordercy w oczy.

- To byłeś ty! - odezwała się, kiedy Samuel Carlson wszedł i znów zamknął drzwi na klucz. - To ty zabiłeś mojego ojca!



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Carlson przeszedł przez pokój. Teraz dzieliło ich już tylko biurko.

- Sarah... - Jego głos zabrzmiał jak westchnienie. W ręku trzymał porcelanową filiżankę. Sarah zdążyła jednak zauważyć, że założył pas z pistoletami. - Wiem, że oburzające zachowanie mojego brata musiało być dla ciebie szokiem. Mimo to usiądź i spróbuj się opanować.

- Zabiłeś mojego ojca - powtórzyła z furją.

- To śmieszne - powiedział łagodnym tonem. - Nikogo nie zabiłem. Masz, moja droga, przyniosłem ci herbatę. Napij się, to ci dobrze zrobi.

W jego oczach malował się niezmacony spokój, który osłabił determinację Sarah. Samuel musiał to wyczuć, bo uśmiechnął się i zrobił krok w jej stronę. Instynktownie się cofnęła.

- Więc skąd się to wzięło w twoim biurku?

Carlson spojrział na miniaturę, którą trzymała w ręku.

- Kobieta nie powinna nigdy grzebać w rzeczach mężczyzny. - Postawił filiżankę na blacie. - Skoro już to zrobiłaś, muszę ci coś wyznać. Jestem niepoprawnym romantykiem. Kiedy zobaczyłem tę miniaturę, zakochałem się w tobie. A gdy spojrzałem na twoją twarz, zapragnąłem cię. - Wyciągnął rękę, jakby prosił Sarah do tańca. - Nie możesz mnie za to potępić.

Zdezorientowana, pokręciła głową.

- Wytłumacz mi, w jaki sposób coś, co należało do mojego ojca, trafiło do twojej szuflady?

- Czy nie wystarczy, że obnażam przed tobą duszę? - odezwał się tonem pełnym wyrzutu. - Od początku wiedziałaś, co do ciebie czuję. Oszukałaś mnie. - Na jego twarzy odmalowało się zniecierpliwienie i jeszcze coś, od czego strach ścisnął ją za gardło.

- Nie wiem, o czym mówisz, Samuelu - powiedziała, nie spuszczając z niego wzroku. - Masz rację. Jestem zdenerwowana i nie jestem sobą. Wolałabym pojechać teraz do domu. Później porozmawiamy. - Ściskając w ręku portrecik, obeszła biurko i skierowała się do drzwi. Chwycił ją i popchnął pod ścianę tak gwałtownie, że zakreśliła jej się w głowie.

- Za późno! - krzyknął. - Karygodny wybryk Jima wszystko zmienił. Jego wybryk i twoje wścibstwo. Długo byłem cierpliwy, Sarah, ale teraz już za późno.

Jego głowa znalazła się tuż przy jej głowie. Zajrzała mu w oczy i cała krew uciekła jej z twarzy. Jak to możliwe, że dotąd tego nie zauważyła? Z oczu Samuela wzyrało szaleństwo.

- Puść, to boli - wykrztusiła.

- Zrobiłbym z ciebie królową. - Podniósł rękę i dotknął jej policzka. - Dałbym ci wszystko, czego może zapragnąć kobieta. Jedwabie. - Obwiodł palcem owal jej twarzy. - Brylanty. - Dotknął jej podbródka. - Złoto. - Jego palce zacisnęły się wokół jej szyi, by zaraz zwolnić uścisk. - Złoto, Sarah. Ono należało do mnie. Dziadek nie miał prawa pozbywać się mojego dziedzictwa. A twój ojciec... nie miał prawa odmawiać mi tego, co już do mnie należało.

- Zrobił to dla mnie. - Może uda jej się uspokoić go, zanim będzie za późno. O ile sama zdoła nad sobą zapanować. - On chciał mnie tylko zabezpieczyć.

- Oczywiście. - Samuel pokiwał głową, jakby się cieszył, że zrozumiała. - Oczywiście, że tak. Podobnie jak ja. Ta kopalnia byłaby twoja, tak samo jak moja. Nie ucierpiałabyś na tym, że ją odzyskałem. A jako moja żona, opływałabyś we wszelkie luksusy. Wrócilibyśmy razem na Wschód. Taki był mój plan. Miałem zamiar pojechać za tobą na Wschód i starać się o twoją rękę. Ale ty postanowiłaś tu zostać. Nie powinnaś była tego robić, Sarah. To nie jest miejsce dla ciebie. Wiedziałem to już w chwili, gdy zobaczyłem twój portrecik. Leżał za łóżkiem, w tej nędznej chacie. Znalazłem go, kiedy szukałem aktu własności kopalni.

Twój znowu mu się zmieniła. Wyglądał teraz jak mały chłopiec, któremu odmówiono kolejnego kawałka tortu.

- Byłem bardzo niezadowolony, że Jim i Donley zabili Malta. Co za idioci. Mieli go tylko... przekonać, żeby od dał im papiery. Potem wszystko spadło na mnie. Musiałem upozorować wypadek w kopalni, żeby zatuszować ich błąd. W dodatku nigdy nie znalazłem tego aktu. Znalazłem za to twój portret.

Chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, jak boleśnie ścisnął jej ramię. Była pewna, że nie wiedział już, co mówi. Milczała, upatrując jedynej nadziei w czasie.

- Taka delikatna buzia - rzeki. - Niewinny wzrok, słodkie usta. Ale to wszystko kłamstwo, prawda, Sarah? - Znowu obudziła się w nim gwałtowność. - Jaka tam delikatność, jaka niewinność? Igrałaś ze mną, uśmiechałaś się do mnie,

a jednocześnie oddawałaś się temu Redmanowi. Jak dziwka. Powinien już nie żyć, bo sięgnął po to, co do mnie należało. Oboje powinniście umrzeć.

Pomyślała, że jest gotowa na wszystko. Będzie krzyczeć i walczyć. Drogo sprzeda swoje życie.

- Sam! Sam! - Usłyszała krzyk i walenie do drzwi.

Carlson, klęcząc, pociągnął ją za sobą i otworzył.

- Niech cię wszyscy diabli! Przecież kazałem ci wrócić. Miałaś się pozbyć wozu i koni.

- Jada do nas! - Twój Jima była mokra od potu. - Redman z szeryfem i ludźmi z miasta. - Spojrzał na Sarah. - Będą jej szukać.

Chciała się wyrwać, ale Samuel znowu chwycił ją za szyję.

- Po co ją tu przywiozłeś? Wszystko popsujesz.

- Zrobiłem to dla ciebie. Mogłem ją przecież zabić już wtedy, kiedy podpaliliśmy tę szopę, ale ty powiedziałaś, że włos nie może jej spaść z głowy.

Carlson coraz mocniej ścisnął Sarah za gardło. Zaczęła się dusić. Pociemniało jej w oczach. Jak przez mgłę usłyszała głosy braci:

- Ile jeszcze?

- Najwyżej dziesięć minut... Musisz ją zabić.

- Nie tutaj, idioto... Zatrzymaj ich... Na wzgórzach.

Zdażyła pomyśleć, że Jake tym razem przybędzie za późno, po czym straciła przytomność.

- Posłuchajcie. - Barker zatrzymał ludzi na stoku nad ranczem. - Wiem, że chcielibyście tam od razu popędzić, ale trzeba się zastanowić. - Spojrzał na Jake'a. - Jeżeli ona tam jest, musimy działać rozważnie.

- Ona tam jest - odezwał się Jake, który już w myślach wydał wyrok śmierci na obu Carlsonów.

- Musimy ją odzyskać w jednym kawałku. Will, ty pojedziesz w stronę stajni. John, ty okrążysz dom od tyłu. Nie chcę żadnej strzelaniny, póki to nie będzie konieczne. - Bar-ker skinął głową i spał konia.

Jim patrzył, jak jeźdźcy zbliżają się do rancza, i raz po raz ocierał pot z czoła. Gdzie się podzieli jego ludzie? A zresztą, i tak nie byłoby z nich wielkiego pożytku. Jeden Donley potrafiłby może zatrzymać" szeryfa, ale Donley już nie żył.

Oblizwał wyschnięte usta i wystawił lufę przez okno.

Musi zaczekać, aż podjadą bliżej. Tak kazał mu Sam. „Poczekaj, aż będą blisko”. A potem ma zabić, ilu się da. Poczynając od Redmana.

Pot zalewał mu oczy; drżały ręce. Przypomniawszy sobie, że Sam wysłał Donleya, żeby zabił Redmana. Jednak to Donleya trzeba było później pochować. Teraz on musi zabić Redmana. Zrobi to jak należy. Zobaczył Jake'a, zwilżył usta i uważnie wycelował. Jednego nie przewidział - że z nerwów palec drgnie mu na cynglu.

Jake usłyszał świst kuli, która przeleciała tuż obok jego policzka. Wyrwał jedną stopę ze strzemienia, zsunął się na koński bok i z coltem w ręku popędził w stronę domu. Słyszał za sobą strzelaninę i krzyki, ale myślał tylko o jednym.

Żeby jak najprędzej znaleźć Sarah.

Przed wejściem zeskoczył z konia. Kopnął drzwi i wyciągnął drugiego colta. W holu nie było nikogo. Z dworu dobiegały go krzyki i odgłosy wystrzałów. Rozejrzał się wokoło i pobiegł na górę.

Kiedy wyłamał drzwi, zobaczył w oknie plecy Jima Carl-sona.

- Gdzie ona jest? - Nawet nie drgnął, kiedy kula wystrzelona przez kogoś na dole, trafiła w ścianę tuż obok jego głowy.

Jim odwrócił się powoli.

- Z Samem. - Podniósł z uśmiechem broń. Od miesięcy marzył tylko o jednym - żeby zabić Jake'a Redmana. I oto dostał nareszcie swoją szansę.

Kiedy padał na ziemię, ciągle jeszcze się uśmiechał. Jake schował pistolety do kabury i zaczął przeszukiwać dom. Barker spotkał go na schodach.

- Nie ma jej tu. Znalazłem to na podłodze. - W ręku trzymał portrecik Sarah.

Jake popatrzył mu w oczy. Trwało to tylko kilka sekund, ale Barker już wiedział, że do końca życia nie zapomni jego spojrzenia.

Potem Jake odwrócił się i pobiegł do wyjścia. Szeryf ruszył za nim, z niespotykaną u niego żwawością.

- O Boże! - Odepchnął Jake'a i podbiegł do dwóch mężczyzn, którzy nieśli Willa Metcalfa.

- On żyje. - Cody położył Willa na ziemi i podtrzymał mu głowę. - Trzeba go zaraz zabrać do miasta, do doktora.

Barker przyklęknął obok rannego.

- Wszystko będzie dobrze, synu.

- Wziął mnie przez zaskoczenie - wyszeptał Will i syknął z bólu, gdy Cody obwiązał mu ranę na ramieniu. - To był Sam Carlson. Miał ją. W siodle. Jechali na zachód.

- Dobra robota, Will. - Barker zdjął chustkę z szyi i otarł mu czoło. - Niech jeden z was postawi wóz i weźmie kilka

kołder. Zawieź go do doktora, Cody. A Redman i ja pojedziemy za Carlsonem.

Kiedy wstał, zobaczył, że po Jake'u pozostała już tylko chmura pyłu.

Sarah odzyskała przytomność. Gdy poczuła narastające mdłości, zakrzuszyła się z jękiem. Chciała pomasażować sobie skronie, ale ręce miała skrępowane i przywiązane do siodła.

Przez moment wydawało jej się, że nadal jest z limem. A potem wszystko sobie przypomniała.

Koń wspinał się pod górę, stromą ścieżką między skałami. Grudy ziemi i kamyki spod kopyt spadały w głęboką przepaść. Człowiek za jej plecami ciężko dyszał. Starając się zachować spokój, próbowała zapamiętać drogę, którą jechali. Kiedy ucieknie -a zrobi to na pewno - nie będzie błąkać się wśród skał.

Wreszcie koń zatrzymał się nad krawędzią kanionu. W dole widniała srebrzysta wstęga rzeki. W górze orzeł zatoczył krąg i wylądował na gnieździe.

- Samuelu, proszę cię! - krzyknęła, kiedy rozwiązał jej ręce i zepchnął ją z siodła. Jedno jego spojrzenie upewniło ją o bezcelowości wszelkich prób porozumienia.

Twarz miał spoconą i bladą, a w oczach szaleństwo. Wodził oczyma po otaczających ich głazach, jakby się spodziewał, że coś zza nich wyskoczy.

To już nie był ten sam mężczyzna, który uśmiechał się i całował jej ręce. Dawny Samuel Carlson przestał istnieć. Człowiek który stał teraz przed nią, był szaleńcem, równie dzikim jak bestie żyjące wśród tych skał.

- Co chcesz zrobić?

- On zaraz tu będzie. - Carlson, dysząc, otarł czoło. - Widziałem go. Jestem gotowy. - Szarpnął ją za rękę, żeby wstała. - Zabiję go, Sarah. Zabiję jak psa. - Wyciągnął broń i przyłożył jej lufę do twarzy. - A ty będziesz na to patrzeć. Chcę, żebyś to zobaczyła. Wtedy wszystko zrozumiesz. To ważne, żebyś zrozumiała. Człowiek taki jak on zasłużył na śmierć od kuli. On jest nikim. To rewolwerowiec, półkrwi mieszaniec, kundel. - Szarpnął ją za włosy. - Zabiję go. Zrobię to dla ciebie, Sarah. A potem uciekniemy. Ty i ja.

- Nie. - Wyrwała mu się. Kiedy stanęła przed nim, kanion znajdował się za jej plecami. Pomyślała, że jeśli się potknie, runie w przepaść. Ogarnął ją strach. Ale nie chodzi o nią. Chodzi o Jake'a. Zaraz tu będzie i wtedy ktoś musi umrzeć. - Nigdzie z tobą nie pojedę. To już koniec, Samuelu. Nie widzisz tego? Szeryf już wie, co zrobiłeś, i dopadnie cię, choćby na końcu świata.

- Ten tępy grubas? - Samuel wybuchnął śmiechem i złapał ją za rękę. - Nigdy mu się nie uda. To wielki kraj, Sarah. Nie znajdą nas.

- Nie pojedę z tobą. Ucieknę.

- Zamknę cię, jak ojciec matkę, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Dla twojego własnego dobra.

Usłyszała tętent, zanim zdążyła cokolwiek zobaczyć.

- Nie, Jake! - krzyknęła. - On cię zabije! - A potem krzyknęła z bólu, bo Carlson wykręcił jej rękę i przytknął lufę do skroni.

- Wyjdź, Redman. Tylko powoli. Trzymaj ręce tak, żebyś mógł je widzieć. Bo jak nie, to rozwalę jej głowę. - Znów wykręcił jej rękę, żeby Jake mógł usłyszeć krzyk bólu. - Wylaż, Redman, bo zepchnę ją do kanionu.

- Nie! Nie! - Łzy przesłoniły jej wzrok, kiedy Jake wyszedł na otwartą przestrzeń. - Proszę, nie! Co ci to da, że go zabijesz? Pojadę z tobą. - Próbowała odwrócić głowę, żeby spojrzeć Carlsonowi w oczy. - Dokąd zechcesz.

- Co mi to da? - powtórzył ze śmiechem. - Satysfakcję, moja droga. Satysfakcję.

- Jesteś ranna? - zapytał cicho Jake.

- Nie. - Potrząsnęła głową, modląc się do ducha, by schował się za skały. - Nie. On nic mi nie zrobi, jeżeli się wycofasz.

- Mylisz się, moja droga. - Carlson nachylił się i musnął ustami jej włosy. Z satysfakcją zauważył błysk furii w oczach Jake'a. - Muszę go zabić, żebyś zrozumiała. Inaczej nic nie zrozumiesz. Rzuć broń, Redman. - Odwiódł kurek. - A teraz rozepnij pas.

- Nie! - szarpnęła się, ale Carlson przytrzymał ją mocno. - Zabiję cię, Samuel. - Płakała teraz z wściekłości. - Przysięgam, że cię zabiję.

- Kiedy z nim skończę, będziesz robić dokładnie to, co ci każe. Z czasem zrozumiesz, że to było dla twojego dobra. Rzuć pas, Redman. O tak, dobrze. - Wycelował broń w pierś Jake'a. - Wiesz, że jeszcze nigdy nie zabiłem człowieka? Wołałem wynajmować kogoś w tym celu. Kogoś takiego jak ty. - Uśmiechnął się. - Uwierz mi, zrobię to z wielką przyjemnością.

- Może i tak. - Jake patrzył mu w oczy. Mógł mieć tylko nadzieję, że Sarah zdoła uciec, kiedy będzie po wszystkim. Barker musi być już całkiem blisko. - Zwłaszcza jeśli ci powiem, że zabiłem twojego brata.

- Ty draniu! - wrzasnął Carlson.

Sarah z krzykiem rzuciła się na niego. Poczula silne uderzenie, jakby została trafiona. Osunęła się na kolana i zobaczyła, że Jake leży na ziemi, a z boku tryska mu krew.

- Och, nie! Boże, nie!

Carlson spojrział w niebo i wybuchnął śmiechem.

- Miałem rację. To było bardzo przyjemne. Ale on jeszcze żyje. - Wyszczrzył zęby i uniósł broń.

Nie zdążyła nawet pomyśleć. Działała odruchowo. Wyciągnęła rękę i namacała gładką kolbę strzelby Jake'a. Nie podnosząc się z klęczek, wycelowała.

- Samuel! - Poczekała, aż się odwróci.

Kiedy nacisnęła spust, strzelba podskoczyła jej w rękach. Huk wystrzału odbił się echem od skał. Samuel stał i patrzył na nią. Przez moment myślała, że chybiła, więc odwiódła kurek i znów wycelowała.

Wtedy Carlson zachwiał się i wciąż na nią patrząc, przycisnął dłoń do piersi, na której wykwitła czerwona plama. Potem runął do tyłu, w czeluść kanionu.

Odrzuciła broń i wstrząsana dreszczem podpełzła do Jake'a. Podparty na łokciu, trzymał w ręku nóż.

- Myślałam, że cię zabił. Wyglądałeś... - Z płaczem zaczęła drzeć halki, żeby mu opatrzyć ranę. Tyle krwi, myślała z trwogą, szarpiąc materiał. - Potrzebujesz doktora. Wsadzę cię na konia.... - urwała, głos jej zadrżał. - Nie trzeba było wychodzić. Myślałam, że masz więcej rozumu.

- Też tak myślałem. - Ból w boku narastał, promieniując na całe ciało. Zrobiło mu się gorąco. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć Sarah po raz ostami. Zanim umrze.

- Sarah...

- Nic nie mów - wyszeptała ze ściśniętym gardłem.

Krew sączyła się przez białe płótno. - Leż spokojnie. Zajmę się tobą. Nie pozwolę ci umrzeć.

Nie widział jej twarzy. Wyczerpany wysiłkiem zamknął oczy. Zdawało mu się, że słyszy konie.

- Ale z ciebie piekielna kobieta - mruknął i stracił przytomność.

Kiedy oprzytomniał, było już ciemno. W ustach miał smak goryczy; czuł dziwne pulsowanie u podstawy czaszki. Ból w boku nie ustał, ale był teraz przytępiony. Jake leżał przez chwilę bez ruchu, zastanawiając się, od jak dawna jest w piekle.

Znów zamknął oczy. Czy to ważne, skoro i tak zostanie w nim na zawsze? W tym momencie poczuł słodki zapach. Jej zapach. Otworzył oczy i spróbował usiąść.

- Nie rób tego. - Była przy nim i szeptała mu coś do ucha, przyciskając go delikatnie do poduszki. Mokrą, chłodną ściereczką, otarła mu rozpaloną twarz.

- Jak długo... - Sił starczyło mu tylko na te dwa słowa.

- O nic się nie martw. - Podsunęła mu do ust kubek. - Napij się, a potem zaśnij. Jestem przy tobie - ciągnęła, kiedy zakaszlał i próbował odwrócić głowę.

- To nie może... - Wytężył wzrok, ale udało mu się zobaczyć tylko zarys sylwetki. A jednak wiedział, że to Sarah. - To nie może być piekło - mruknął i znów osunął się w ciemność.

Kiedy się obudził, był już dzień. Sarah nachylała się nad nim z uśmiechem, szepcząc coś, czego nie mógł zrozumieć. Była blada, na policzkach miała ślady łez. Usiadła na łóżku,

wzięła go za rękę i przycisnęła ją do ust. Chciał coś powiedzieć, ale po raz kolejny stracił przytomność.

Ten pierwszy tydzień był dla Sarah istnym koszmarem. Jake, trawiony gorączką, był przez większość czasu nieprzytomny, a lekarz nie dawał już żadnej nadziei. Siedziała przy nim całymi dniami, chłodząc mu spoconą twarz, okrywając, kiedy wstrząsały nim dreszcze, i modląc się, gdy zapadał w sen.

Co takiego powiedział tego dnia, kiedy się ocknął? Sarah podeszła do okna, w którym Jake zwykł przesiadywać, rozsunęła zasłony i wyjrzała na opustoszałą ulicę. Powiedział, że to nie może być piekło. Ale się mylił. To było piekło, a ona tkwiła w nim po uszy. Każdego dnia przeżywała piekielne katusze na myśl o tym, że mogłaby go utracić.

Stracił tyle krwi. Nim przyjechał Barker, udało jej się prawie zatamować krwotok, ale podczas jazdy do miasta rana znowu się otworzyła. Doktor musiał wykonać głębokie cięcie, żeby wyjąć kulę, która utkwiała w boku. Sarah nigdy by nie przypuszczała, że kula opuszczająca ciało może być równie groźna jak kula, która w nie wchodzi.

Później przyszły ataki gorączki, zabójcze i bezlitosne. W ciągu całego tygodnia Jake był przytomny zaledwie przez kilka minut. Czasami zaczynał coś mówić. Lucius twierdził, że to język Apaczów. Doktor powiedział, że jeśli gorączka na spadnie, Jake nie ma żadnych szans.

Wróciła do łóżka, usiadła obok Jake'a i patrzyła na niego w bladym świetle poranka.

Tak jak dla niego, tak i dla niej czas przestał się liczyć. Straciła poczucie rzeczywistości. Gdy nadszedł ranek, wzięła go za ręce i zaczęła wspominać dni, kiedy byli razem. Te ręce

były kiedyś takie silne. Thumiąc szloch, położyła mu głowę na ramieniu. Potrafiły też być takie delikatne, gdy jej dotykał i ją uczył.

Z nim odkrywała coraz to nowe piękno, nowe wspaniałości. Wschód słońca. Wartką rzekę. Burzę. Teraz już wiedziała, że jeden mężczyzna może ofiarować jej wszystko - miłość, namiętność i czułość. Od pierwszego, porażającego odkrycia na sianie po słodką miłosną noc nad strumieniem, dostawała od Jake'a więcej niż inne kobiety przez całe życie.

- Jestem taka zachłanna - wyszeptwała. - Ciagle chcę więcej. Jake, nie opuszczaj mnie. Nie pozbawiaj mnie tego, co moglibyśmy mieć. - Kiedy usłyszała odgłos otwieranych drzwi, szybko otarła łzy.

- Jak on się czuje?

- Ciagle tak samo.

Maggie postawiła na stoliku tacę. Sarah dawno już jej ustąpiła w kwestii jedzenia. Zrozumiała, że jeśli chce zachować siły, żeby móc czuć przy Jake'u, musi jeść.

- Annę Cody przyniosła ci śniadanie.

- To miło z jej strony - szepnęła Sarah.

- Pytała o naszego chłopaka i kazała ci powtórzyć, że Alice świetnie sobie radzi.

- Cieszę się- mruknęła obojętnie Sarah i złożyła serwetkę, pod którą parowały gorące jeszcze biszkopty.

- Wygląda też na to, że Carlotta uciekła z miasta.

- Teraz to już bez znaczenia. - Sarah obejrzała swoją twarz w lustrze, w którym odbijało się również łóżko i nieruchoma postać Jake'a. - Co się stało, już się nie odstanie.

- Musisz się trochę przespać, dziecko. Co to za sen na

krześle, na siedząco? Idź do mojego pokoju, a ja trochę przy nim posiedzę.

- Nie mogę. - Sarah nawet nie tknęła biszkoptów, tylko sięgnęła po kubek z kawą. - Czasami mnie woła, a ja się boję, że jeśli mnie nie będzie, on się po prostu... wymknie. Może to głupie, ale nie mogę od niego odejść, Maggie.

- Rozumiem. - Maggie położyła jej rękę na ramieniu, a słysząc jakiś szelest za plecami, odwróciła się. - Johnny Cody! Co ty tu robisz, chłopcze?

Johnny wślizgnął się do pokoju i stanął w progu, mnąc w rękach czapkę.

- Chciałem go zobaczyć, to wszystko.

- Pokój chorego to nie jest miejsce dla małych łobuzów.

- Nic się nie stało. - Sarah przywołała go i nawet zmusiła się do uśmiechu. - Jake'owi byłoby na pewno miło, gdyby wiedział, że przyszedłeś go odwiedzić.

- Ale on nie umrze, prawda, Sarah?

- Nie. - Nagle odzyskała pewność, utraconą w ciągu nocy. - Nie umrze, Johnny.

- Mama mówi, że dobrze go pielęgnujesz. - Wyciągnął rękę, ale się zawahał.

- W porządku, chłopcze - odezwała się Maggie. - Możesz go pogłaskać, kiedy sobie nie zdaje z tego sprawy. Sama też to robie.

Johnny nieśmiało dotknął czoła Jake'a.

- Jest strasznie gorący.

- Tak, ale gorączka w końcu spadnie. - Sarah położyła chłopcu rękę na ramieniu. - I to już niedługo.

- Will czuje się lepiej - powiedział Johnny z uśmiechem.

- Ma rękę w gipsie, ale może już wszystko robić i Liza nie musi się martwić.

- Ja też już niedługo nie będę musiała się martwić.

Kilka godzin później drzemała, zmorzona popołudniowym słońcem. Głowę złożyła na oparciu fotela, w rękach trzymała pamiętnik. Opisywała w nim swoje uczucia, nadzieję i rozpacz. Ktoś nagle wypowiedział jej imię. Machnęła ręką, jakby chciała odpędzić ten głos. Chciała już tylko spać.

- Sarah...

Otworzyła oczy i poderwała się z fotela. Jake z uniesioną głową patrzył na nią, na wpół zmieszany, na wpół zirytowany. Wzrok miał przytomny i skupiony.

- Co się tu dzieje? - zapytał. Wtedy ona osunęła się na łóżko i wybuchnęła płaczem.

Minęły kolejne trzy tygodnie, zanim odzyskał siły na tyle, żeby stanąć na nogi. Miał dużo czasu na rozmyślanie - może nawet zbyt dużo - ale ilekroć próbował coś zrobić, stwierdzał, że jest słaby jak dziecko.

Złościło go to i krępowало. Kiedy skłął Maggie któregoś ranka, ta uszczęśliwiona powiedziała Sarah, że ich pacjent wraca do zdrowia.

- To twardy gość - mówiła Maggie, kiedy wchodziły na górę, do jego pokoju. - Powiedział, że ma już dość bab, które nim obracają, wlewają w niego różne świństwa i zmuszają go do kąpieli.

- To się nazywa wdzięczność - roześmiała się Sarah. Nagle zachwiała się tak, że musiała się uchwycić poręczy.

Maggie złapała ją za rękę.

- Wszystko w porządku, dziecko?

- Tak. Tylko trochę mi słabo. - Sarah wzruszyła ramionami i czekała, aż przestanie jej się kręcić w głowie. - Jestem po prostu przemęczona. - Spojrzała na surową twarz Maggie i potulnie usiadła na schodach.

- Który to tydzień?

Ku swemu zdumieniu, nawet się nie zarumieniła na to obcesowe pytanie.

- To już chyba miesiąc. - Wiedziała dokładnie, kiedy poczęła dziecko Jake'a. To było tej nocy nad strumieniem, przy blasku księżyca. - Miałam oczywiście wiadome objawy. Od paru dni nie mogę rano nic jeść.

- Wiem. - Maggie zachichotała z zadowoleniem. - Domyśliłam się już trzy dni temu, kiedy zzieleniałaś na widok omletu Annę Cody. Jake chyba padnie trupem, jak się dowie.

- Jeszcze nie - powiedziała szybko Sarah. - Nie chcę, żeby wiedział, póki... póki my.... - Podparła głowę na łokciu. - Jeszcze nie teraz, Maggie.

- Ty o tym decydujesz.

- Tak. Proszę, nie mów o tym nikomu.

- Ani mru-mru.

Sarah wstała i ruszyła schodami na górę.

- Doktor powiedział, że zajrzy za kilka dni. Nie miałam okazji, żeby z nim porozmawiać, odkąd Jake zaczął wracać do zdrowia. - Zapukała do drzwi, a potem je otworzyła.

Łóżko było puste.

- Co...? Maggie!

- Przecież był tu godzinę temu! Nie wiem gdzie... - Sarah już zbiegała po schodach.

- Sarah! Sarah! - Johnny podbiegł do niej. - Widziałem, jak Jake wyjeżdżał z miasta. Wyglądał sto razy lepiej.

- W którą stronę pojechał?
- Tam. - Pokazał Johnny. - Wolalem za nim, ale mnie chyba nie słyszał.
- Co za dureń bez serca - burknęła Maggie w drzwiach.
- Więc jemu się wydaje, że może tak po prostu odjechać - powiedziała Sarah przez zęby. - No to będzie miał niespodziankę. Potrzebuję konia, Maggie. I strzelbę.

Wszystko już sobie przemyślał. Od trzech tygodni nie robił nic innego, tylko myślał. Oczywiście Sarah będzie wściekła, ale jakoś to przeżyje. Z czasem znajdzie sobie kogoś odpowiedniego. Takiego, który będzie dla niej dobry.

Rozmowa z nią nic by nie dała. W życiu nie znał tak upartej kobiety. Dlatego osiadł na konia i wyjechał z Lone Bluff tak jak wcześniej z niezliczonych miasteczek. Tyle tylko, że tym razem to bolało. I nie chodzi o ból gojącej się rany, lecz ten głębszy i bardziej dotkliwy niż wszelkie cierpienia od kuli.

Ale on go pokona. Bo przecież oszukiwał sam siebie, że Sarah mogłaby do niego należeć.

Nigdy nie zapomni tego widoku, gdy klęczała w pyle, z jego strzelbą w ręku. W jej oczach malowało się przerażenie. Nigdy sobie nie wybaczy, że nauczył ją strzelać.

Wygląda na to, że ocaliła mu życie. Najlepsze, co mógł dla niej zrobić, to usunąć się z jej życia. Przysługa za przysługę.

Była teraz bogata. Pamiętał, jak podniecony był Lucius, kiedy zdawał mu relację z tego, co działo się w kopalni. Sarah mogła wrócić na Wschód albo zostać w Arizonie i wybudować ten wielki dom z salonem, o którym tyle mówiła.

A on... on będzie żył jak dawniej. Kiedy usłyszał tętent, odwrócił się i instynktownie sięgnął po broń. Na widok Sarah zaklął. Podjechała bliżej.

- Ty draniu!

Skinął zimno głową na powitanie. Jeśli chciał, żeby odjechała i zostawiła go na zawsze, mógł ją potraktować tylko w jeden sposób.

- Nie wiedziałem, że umiesz jeździć konno, księżniczko. Przejechałaś taki kawał drogi, żeby mi powiedzieć do widzenia?

- Mam ci więcej do powiedzenia. - Szarpnęła cugle, próbując powściągnąć gniew. - Jak tak można, bez słowa? Ani do mnie, ani do nikogo innego? Myślisz, że można dosiąść konia i po prostu wyjechać?

- Tak myślę. Przyszła pora, żeby wyjechać, więc wyjechałem.

- Chcesz powiedzieć, że nic cię tu nic zatrzymuje?

- Właśnie tak. - Wiedział, że prawda potrafi być przykra, ale żeby kłamstwo było aż tak bolesne? - Jesteś ładną kobietą, księżniczko. Dasz sobie w życiu radę.

W jej oczach odmalował się ból, a potem dumnie uniosła głowę.

- To miał być komplement? Masz rację, Jake. Dam sobie radę. A ty nigdy nie pokochasz innej kobiety tak jak mnie - dodała cicho.

- Wracaj do miasta, Sarah. - Chciał obrócić koniem, ale zamarł, gdy zobaczył lufę, wycelowaną w serce. - Mogłabyś celować gdzie indziej?

W odpowiedzi wycelowała nieco niżej, w równie istotne miejsce.

- Słyszałeś, co mówią o wściekłości oszukanej kobiety?
- Słyszałem. - Poruszył się niepewnie w siodle. - Może byś jednak podniosła rękę trochę wyżej?
- Zsiadaj z konia!
- Uspokój się, Sarah!
- Powiedziałam, zsiadaj! - Odwiodła kurek. - No już!
- Skąd mam wiedzieć, że jest załadowana?
- Skąd masz wiedzieć? - zapytała z uśmiechem, uniosła rękę i wystrzeliła, strącając mu z głowy kapelusz.
- Zwariowałaś?! - W osłupieniu chwycił się za głowę. - O mało mnie nie zabiłaś!
- Zawsze trafiam do celu. Nie tak mnie uczyłeś? - Opuściła broń nieco niżej. - No, zsiadaj, zanim ci coś odstrzelę.
Klnąc, zsunął się na ziemię.
- Co chcesz przez to osiągnąć?
- Nie ruszaj się. - Zeskoczyła z siodła, ale zrobiło jej się słabo i musiała oprzeć się o koński bok.
- Sarah...
- Powiedziałam, nie ruszaj się! - Potrząsnęła głową, żeby dojść do siebie.
- Źle się czujesz?
- Nie. - Wyprostowała się z uśmiechem. - Nigdy w życiu nie czułam się lepiej.
- To znaczy, że postradałaś zmysły. - Odetchnął, ale zaniepokoiła go jej bladeść. - Po to przez miesiąc próbowałaś utrzymać mnie przy życiu, żeby mnie teraz zabić? Strzelaj!
- Masz rację. Próbowałam cię utrzymać przy życiu. Ale nie po to, żebyś odjechał, jak tylko staniesz na nogi. Robiłam to, bo cię kocham. Bo jesteś wszystkim, czego pragnę. A teraz powiedz mi, czemu chciałeś wyjechać?

- Już ci mówiłem. Przyszła pora.
- Jesteś kłamcą. I, co gorsza, tchórzem.
Właśnie na taki efekt liczyła. Jake już nie miał zimnego spojrzenia. W jego oczach nagle zapłonął gniew.
- Nie prowokuj mnie, Sarah!
- Nawet nie zaczęłam. Na początek powiem ci, czemu chciałeś wyjechać. Bo się bałeś. Mnie. A nawet nie mnie, tylko siebie i swoich uczuć do mnie. - Uniosła wyzywająco podbródek, jakby chciała, by zaprzeczył jej słowom. - Kochałeś mnie tak bardzo, że nie bałeś się stanąć bez broni naprzeciw szaleńca. Ale nie aż na tyle, żebyś potrafił stawić czoło własnym uczuciom.
- Nie możesz wiedzieć, co czuję.
- Nie mogę? Jeżeli w to wierzysz, jesteś głupcem i kłamcą. - Z satysfakcją zauważyła, że jego oczy znów zapłonęły gniewem. - Czułam to za każdym razem, kiedy mnie dotykałeś i całowałeś. - Milczał, więc zaczerpnęła tchu. - Możesz sobie wsiąść na tego swojego konia i jechać od miasta do miasta albo ukryć się w górach. Możesz uciec tysiące kilometrów stąd. Może nawet będziesz na tyle szybki, że mi w końcu uciekniesz. Ale najpierw musisz mi to powiedzieć.
- Ale co?
- Chcę usłyszeć, że mnie kochasz.
Przyjrzał jej się uważnie. W oczach miała determinację, a policzki zarumienione z gniewu. Wiatr rozwiewał jej włosy. Dawno powinien był się domyślić, że nie ma dokąd uciec.
- Mężczyzna powie wszystko, kiedy kobieta celuje mu w brzuch.

- No to powiedz to wreszcie.

Sięgnął po kapelusz i otrzepał go z kurzu.

- Kocham cię, Sarah. - Włożył kapelusz na głowę. - Mo-
żesz to teraz odłożyć?

W miejsce gniewu w jej oczach pojawił się błysk nadziei.

- Musiałam to z ciebie wydusić, ale przynajmniej
usłyszałam, jak to mówisz. Jedź już. Nie będę cię zatrzy-
mywać.

Nie będzie płakać. Nie będzie szantażować go łzami.
Przygryzając wargi, spróbowała dosiąść konia. Jake
delikatnie dotknął jej ramienia, choć tak naprawdę
pragnął zmiażdżyć ją w uścisku.

- Kocham cię, Sarah - powtórzył. - Bardziej niż mi wol-
no. O wiele bardziej, niż jestem w stanie znieść.

Zamknęła oczy, modląc się w duchu, by jej decyzja oka-
zała się słuszna dla nich obojga. Odwróciła się do niego,
trzymając cugle.

- Jeżeli teraz odjedziesz, pojedę za tobą. Będę wszędzie
tam, gdzie ty. Zamienię ci życie w piekło. Przysięgam.

Dotknął z uśmiechem jej policzka.

- A jeżeli nie odjadę?

- Też będziesz miał piekło. Ale tylko czasami.

- To chyba lepszy interes. - Nachylił się i delikatnie ją
pocałował. A potem z jękiem wpił się w jej usta. - Daleko
bym nie odjechał, nawet gdybyś do mnie nie strzelała.

- Wolałam nie ryzykować. Miałaś szczęście, że strzeliłam
ci ponad głowę.

Jake odsunął ją z westchnieniem.

- Jesteś mi winna nowy kapelusz, księżniczko. - Zdjął
go i z wyrazem zdumienia w oczach przyjrzał się dziurce po

kuli. - Mie ma wyjścia, chyba będę musiał ożenić się z
kobietą, która tak dobrze strzela.

- Czy to mają być oświadczyzny? Wzruszył ramionami i
nałożył kapelusz.

- Coś w tym rodzaju.

- Nic stać cię na więcej?

- Nie umiem się pięknie wysławiać. - Zdeprymowany
ruszył w stronę konia. Nagle przystanął i odwrócił się.
Sarah czekała, z rękami skrzyżowanymi na piersi i
uśmiechem na twarzy. - Co kilka tygodni do naszego
miasteczka przyjeżdża pastor. Mógłby dać nam ślub, jaki
tylko zechcesz. Z całym tym cyrkiem. Wybuduję dla ciebie
dom, między kopalnią i miastem. Z salonem, jeśli będziesz
chciała, z drewnianymi podłogami i prawdziwą sypialnią.

Jak na Jake'a, były to bardzo wykwintne oświadczyzny.
Sarah wyciągnęła ręce.

- Będą nam potrzebne dwie sypialnie.

- Posłuchaj, księżniczko. Nie wiem, jak się to robi u
was, na Wschodzie, ale moja żona nie będzie sypiać w
oddzielnym pokoju.

- Oczywiście, że nie. - Uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Do
końca życia będę spała nie tylko w tym samym pokoju,
ale i w tym samym łóżku, co ty. Mimo to będą nam
potrzebne dwie sypialnie. Przynajmniej na wiosnę.

- Nie rozumiem dlaczego... - Nagle pojął i osłupiał. Nie
mógłby być bardziej wstrząśnięty, nawet gdyby wpa-
kowała mu kulę w brzuch. Chwycił ją za ręce. - Jesteś
pewna?

- Tak. Będziemy mieli dziecko. Nasze dziecko.

Nie był w stanie się mszyć, a co dopiero mówić. Ujął tylko w dłoń jej twarz, a potem oparł czoło o jej czoło.

- Dwie sypialnie. Na początek. Uszczęśliwiona, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Tak. Na początek.